

SIÓDME AMEN

WIKTOR GOMULICKI

□□□

SIÓDME AMEN
IMCI PANA MOKRZECKIEGO

POWIEŚĆ
Z CZASÓW SASKICH



Rogozki

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1910



INSTITUT
BADAŃ ANTRACENOLOGICZNYCH
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

9/6
<http://rcin.org.pl>

I.

Rubinowy promień zachodu, przez otwarte okna wpadając, rozczzerwieniał siwą, podgoloną czupryną, czerstwe oblicze i zawiesziste wąsy pana cześnika powiatu lidzkiego a razem rotmistrza Buławy Wielkiej Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zmieniał też ów promień barwę wina w szklanym, przy jegomości stojącym kielichu, czyniąc ją ze złocistej oniemal krwawą.

Pan cześnik, drobnymi łykami węgryna pociągając, mozolił się nad pisaniem. Stało przed nim ogromne, do maźnicy podobne *calamarium* i leżał duży arkusz papieru rygałowego.

Gatunek papieru, w solennych jeno okazyach używanego, wskazywał, że pisanie było wagi niemałej. Jeszcze wyraźniej mówił o tem krzyżyk, nakreślony piórem u góry arkusza, oraz starannie wypisane abrewiacye:

L. J. Xstus J. M. J.

Pan cześnik, mąż lat sześćdziesięciu z okładem, pijąc i wzdychając, trąc czuprynę i w sadwiśniowy spojierając, pisał co następuje:

»Roku 1751, miesiąca lipca 20 dnia, najmilsza Żona moja Dobrodzika, o godzinie 7 z południa, ten świat pożegnała, mając lat wieku swego 46.

Żyliśmy z sobą lat 20 z łaski Pana Boga naszego, jakoby niedziel 20, przy błogosławieństwie Pana i Boga naszego.

Pochowana w cerkwi rakowickiej.

Której niech Pan, Stwórca nieba i ziemi, będzie miłościwy i duszy Jej da odpocznienie, za protekcyą Panny Najświętszej i przyczyną Wszystkich Świętych Pańskich, osobliwie Patronek Jej Świętych: Katarzyny i Eufrozyny.

Amen.

Imię Jej Katarzyna Eufrozyna z domu Churniewiczówna, strażnikówna powiatu oszmiańskiego.

Urodziła się z Krasińskiej Anny, starościanki homelskiej.

Splodziliśmy ze sobą dziątek, na chwałę Panu Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu i Najświętszej Matce Boskiej: siedmioro — synów pięciu, cór dwie.

Syn pierwszy, Joachim January, umarł dwiema niedziel przed rokiem wieku swego

w Rohaczewie i tam u Bazylianów pochowany.

Którego niech Pan, Stwórca nieba i ziemi, między Anioły swe przyjmie.

Amen. Amen.

Elżbieta, córka, która żyje, i niech Pan Bóg błogosławi Jej w dalszem życiu, pozostała po Matce, lat ośmnastu.

Józef, syn, pozostał w lat siedmnastu, który niech żyje w błogosławieństwie Boskiem.

Jan od Krzyża, syn żyjący, pozostał, lat trzynastu — i temu, Panie, daj wiek długi z błogosławieństwem Swojem Boskiem.

Andrzej Ursyn, syn, umarł w Berdyczowie i tam u Karmelitów Bosych pochowany — miał półtora roku.

Któremu miejsce między Aniołami Swymi daj, Panie Boże Wszemogący.

Amen. Amen. Amen.

Syn Stanisław, kilkunastą niedziel nie dożywszy roku życia swego, umarł — pochowany w cerkwi rakowickiej.

Którego do pułków Anielskich, Serafinowych i Cherubinowych wliczyć racz, Panie.

Amen. Amen. Amen. Amen.

Urszula, córka, mająca półtrzecia roku wieku swego, umarła 1750 r. octobra 28 dnia — pochowana w cerkwi rakowickiej.

Światłość wiekuista niechaj Jej świeci.

Amen. Amen. Amen. Amen. Amen.

Stanisław i Urszula wraz za jedno w sklepie położeni z Matką Ich a moją Żoną i Dobrodzikiem.

Wieczne odpoczywanie racz Im dać, Panie«.

Otarł pan cześnik spocone czoło; chustką nieznacznie po oczach przesunął; do kielicha zajrzał. Węgrzyn nie zawiódł. Rozjaśniło się i kraśnym rumieńcem rozkwitło dorodne oblicze; przymglone oczy żywym płomieniem strzeliły.

Rażno w palce pochwycone pióro gęsie, długim białym proporczykiem wiewające, cwałem po papierze pobiegło.

Pan cześnik, ręki od papieru nie odejmując, dopisał:

»Dla pamięci, takową moją notacyę ręką moją własną napisałem dla dalszego czasu; i dla wiadomości w przyszły czas dzieciom moim zostawuję.

Pisan w Rakowiczach, roku 1751 miesiąca lipca 28 dnia, z podpisem ręki mojej.

Antoni Kazimierz Mokrzecki,
cześnik powiatu lidzkiego, rotmistrz Buławy W.
W. Księstwa Litewskiego, mp.«.

Z westchnieniem ulgi pióro otarł i odłożył. Potem głębiej się w krzesło zasunął, głowę na poręczy wsparł, powieki przymknął.

Gonił ulatujące marylki przeszłości, czy też słuchał muzyki letniego wieczoru?...

[Cieniuchno brzęczały komary; otwartem oknem ciężkie żuki wbiegały i wybiegały, hucząc monotownie; porykiwały tęskno krowy, beczały owce, rżały źrebięta; żóraw studzienny na chwilę skrzypiec nie przestawał. Czasem w sędzie dojrzała gruszka oderwała się od gałęzi i zaszeleściwszy między liśćmi, z cichem plaśnięciem na tłustej ziemi się kładła.]

Nagle, nad wrzawą zmieszanych głosów, zapanował jękliwy a donośny głos dzwonka. Dzwoniono na Anioł Pański.

Osunął się pan cześnik na kolana i wzdychając, oczy do nieba wznosząc, w pierś się bijąc, odmawiać jął:

— »Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi«...

Po modlitwie, znów zabrał się do pisania. Na obliczu miał jeszcze jasność, jaką daje obcowanie z Bogiem. Dla pokrzepienia dusznego już mu nie trzeba było sięgać do kielicha.

Jednak drżała mu cokolwiek ręka, gdy na drugiej połowie arkusza nowy krzyżyk i nowe abrewiacje nakreśliwszy, pisał:

»Pierwszą Żonę miałem *de domo* Golijewską, skarbnikównę powiatu oszmiańskiego — która była pierwaj za Faszczem, sędzicem

grodzkim starodubowskim. Żyła z onym lat trzynaście; potomstwa nie miała.

Wziąłem pierwszą Żonę wdową i żyłem z nią lat półszosta szczęśliwie i pomyślnie, mając Anioła w postaci ludzkiej.

Splodziłem z nią córek dwie: Annę i Konstancyę.

Umarła Dobrodzika Żona moja z Golijewskich Bogumiła roku 1731, miesiąca maja 1 dnia, w dzień Świętych Apostołów Filipa i Jakuba.

Ciało Jej pochowane w kościele homelskim, w babińcu, przy drzwiach kościelnych, u samego progu, podług samej Zeszłej dyspozycji.

Która niech spoczywa z Bogiem Panem, w Trójcy Świętej Jedynym, w światłości wiekuistej, za przyczyną Najświętszej Panny, Wszystkich Świętych Pańskich, a osobliwie Patronki swej, Świętej Bogumiły.

Amen. Amen. Amen. Amen. Amen. Amen.

Ta notacya jest pisana roku 1751 miesiąca lipca 28 dnia w Rakowiczach.

A. K. Mokrzecki,

cześnik p. l., rotmistrz B. W. W. Ks. L.

ręką swą«.

Odetchnął pan cześnik po skończonem pisaniu, jakby ciężar wielki z serca zrzucił.

Świeżego pisma nie zasypywał piaskiem, pozwalając mu schnąć drogą naturalną. Czoło miał potem zroszone, żyły na szyi i skroniach nabrzmiałe.

Przepatrzył raz jeszcze z uwagą oba dokumenty, poprawiając tu i owdzie niewyraźną literę, kładąc, gdzie trzeba, opuszczone *punctum* lub komę.

Suchem piórem postukał w papier, pilnie coś obliczając — potem chorągiewką pióra musnął czoło zmarszczone i szepnął z westchnieniem:

— Sześcioro *amen*..

Podniósł głowę, czoło wygładził, pióro, z niechęcią jakowąś, na stół cisnął..

— *Satis!* — wyrzekł głosem mocnym, stanowczości pełnym.

I powstawszy z miejsca, przechadzać się jął po komnacie krokami mierzonymi, jak przystało mężowi, dwojgiem znacznych dostojenstw obciążonemu.

Oblicze miał już teraz niemal pogodne, tchnące jeśli nie spokojem, to przynajmniej rezygnacją. Było to oblicze człowieka, który, widząc czarę utrapień swych po same brzegi nalaną, nie bez pewnego smutnego zadowolenia myśli, że się już w niej ani jedna kropla więcej nie pomieści..

— Sześcioro *amen*.. *Satis!* — powtórzył

w sposób jeszcze bardziej stanowczy, i nogą w czerwonym bucie mocno przytupnął, jakby sentencję swą podkreślając.

A w tejże chwili wbiegła do komnaty nieszpeta panienska lat dwudziestu z czemś i wesoło zawołała:

— Tatuńciu! goście!..

— Kogóż Pan Bóg dał?

— Pani sędzina Towiańska z Kotczyna, z Anusią.

— Same?

— Gdzie zaś! Pan sędzia takoz.

— Skądże tak *ex abrupto*?

— Z Lidy jechając, pan sędzia zanie-
mógłszy.

— Alkiermesu do wnętrza i na serce.

— Już to szafarka aplikuje.

— Gdzież ichmościów przyjmujecie?

— W ganku tymczasem — aby na świeżo-
ści powietrza rychlej odstąpiło.

— Proście do komnat gościnnych. Za mo-
mencik przybędę.

II.

— Witam wielmożną panią sędzinę dobrodzikę i niziuchno do jej stopek przypadam. Wielki to honor *et magnum gaudium* dla mego domku mizernego, że go tak wspaśniała gościa nawiedzić raczyła..

— Mnie to raczej, panie cześniku dobrodzieju, mizeractwo swe wyznawać przystoi. Admirować też muszę niedosiężone dowcipem ludzkim *fata*, że mię w niefortunności mojej tak fortunnie do progów waszmościnych przywiodły.

— Progi moje, mościa sędzino dobrodziko, wielkoduszną, acz w rozmiarze swym maciupeńką jej stopką *in aeternum* ucelebrowane zostały. I nie wiem, zaiste, jak mi *ab hoc instante* poczynać wypadnie, już bowiem tych progów zwykłym śmiertelnikom przystępować nie będzie się godziło.

— Konfundujesz mię waszmość bystrołot-

nym swego dowcipu afektem. Znam-ci ja dobrze swój walor prawdziwy i wiem, żem jest proszkiem nikczemnym w obliczu zasług waszmościnych, które na całą ziemię ludzką splendor oślepiająco rzucają.

— Widzę, mościa pani, że iść w komparacyę z trefnością jej obrotów byłoby dla mnie to samo, co dla żółwia z orłem się ścigać. Więc kapituluję i buzdygan swój rotmistrzowski do kolan jej pochylam — żebrząc o łaskę rozgoszczenia się w skromnieńkim domku moim.]

Nastąpiły liczne ukłony i dygi, gesty zapraszające i wzdragające się — wreszcie unieruchomili się oboje, miejsca swe zasiadając.

Pani Towiańska rozpostarła swą rogówkę na kanapie jesionowej, krytej prześlicznym cyncem w różnofarbne pasy. Pan Mokrzecki spoczął na takimże rozłożystem krześle, o wyginanych misternie poręczach.

Jejmości minęła już trzydziestka, była wszakże z tych, które i po czterdziestce nie abdykują. Słusznego wzrostu, szczupła acz nie chuda, przytem zgrabna i zwinna, miała wabny uśmiech, ponętne usta, przyciągające spojrzenie. Ubierała się z wdziękiem, dobierała umiejętnie kolory, nie gardziła bielidłem i różowidłem, a czarne »muszki« tak mądrze na twarzy rozmieszczała, że w mężczyznach budziły

zawsze myśli — płocze. Po za tem, w minach jej i poruszeniach było coś niespokojnego i niepokój budzącego.

Ledwie usiadła, kręcić się jąta, rzucając spojrzenia w prawo i w lewo, i wołając:

— Anusiu! Anetko! Anuleńko!.. A chodźże, a pokaż się, a obłap za kolana pana cześnika, osobliwego dobrodzieja naszego!..

Nikt się wszakże nie zjawiał. Sędzianka oddawna już wyfrunęła z cześnikówną do ogrodu.

Gdy matce o tem powiedziano, w ręce plaśnie.

— Ach, utrapienie! Pewna jestem, że na drzewie siedzi i wiśnie smyka. Pannica jedenaścieletnia!

W tejże chwili roześmiała się.

— Amarylis! istna Amarylis!.. Gdyby jej na flecie przygrywać, z kozami skakałyby przy strumyku. A śliczna, że jeno w ramki oprawić. Na aniwersarz pana ojca dobrodzieja za pasterkę ją przebrałam. Różowe ciżemki, różowy kabacik, bieluchna spódniczka z różowymi wstęgami — na główce z róż białych wianuszek, w ręce laska biała, mirtem opleciona..

Niezmierną radością rozbłysnęło ruchliwe liczko jejmości. Aż drżała z uciechy.

Ale trwało to krótko.

W jednym momencie od wesołości do smutku przeszła. Główkę zwiesiła, ręce załamała:

— Ach, mości cześniku dobrodzieju, w strasznej widzisz mię alteracyi! [Mój mąż mileńki.. moje oczko w głowie... moja cała kontentacya...]

Łkania zatamowały jej mowę.

Pan Mokrzecki mógł być nareszcie język w ruch wprowadzić.

— Właśnież ja - z niskim pokłonem wyjąkał — submitując się pokornie jejmości pani dobrodziejce, o szacowne pana sędziego dobrodzieja zdrowie zapytać chciałem...

— Jak skorupka porcelanowa, kruche, mości cześniku! Zawždy kwęka, słabuje; zawždy w plastrach a dekoktach. Toć znana jest waszmości mego męża konstytucya. Lada wiaterek mu wadzi; lada kąsek humory wzbuźda. Wciąż go jeno okrywaj, kleiki mu warz, forteczki zaszczepiaj, aby się nie przestudził. Kurczątko takie...

— Szczęśliwy, że mu Pan Bóg zdarzył żonkę, co mu we wszystkim dogadza. Pływa w delicyach, jak małdrzyk w maśle...]

— Jakżeby inaczej!

Weszła do bawialni staruszcza niziuchna, pomarszczona, jak wiórek sucha — dziewięćdziesięcioletnia Kundzia, szafarka.

Przybywała od chorego, którego złożono w alkierzu.

— Jakże tam mój pan małżonek? — przywitała ją sędzina.

— Marudzi... Krupniczkciem-by go napoić. Taż on, niebożątko, głodnieńki...

— Napój go, Kundzio, mateczko. Bóg ci zapłaci.

Wyszła staruszka.

Po pewnym czasie zjawiała się z powrotem. Uśmiechała się, głową trzęsła, bezrzesne oczki mrużyła.

— Wypił, niebożątko — do kropli wycmoktał. Ani skrzywił się, ani zachłysnął. Będzie zdrów.

— Jakichże krupek uwarzyłaś, Kundziuniu?

— Krupek? A po cóż tu krupki? Okowitki wzięłam, jak zwyczajnie, i miodu przasnego. Dodałam gwoździków, muszkatelowej gałki, cynamonu, imbiru, tureckiego pieprzu. Wszystkiego zadość, jak się patrzy. Było tego kwarta — może więcej. Do kropli wycmoktał..

— Ba! jeszcze wąsy i brodę oblizał, jak miś, kiedy się całą barcią uraczy! — huknięto od progu. — Nie trzeba Świętych Stanisławów — tybyś, babciu, i Piotrowina swym dekoktem wskrzesiła. Za to na twojem weselu dżyguna wyskoczę, a pierwsze twoje dziecko do chrztu podam. Hu! jakże mi ucieszenie!

Piłbym i tańcowałbym, ażby się piekło śmiało.
Chodź, Kasiuniu! chodź, cześniczeńku! A ka-
pela niech urznie wesoło, Hu — ha!

Stał pan sędzia we drzwiach, które jego olbrzymia postać rozsadzać się zdawała. Pas mu się rozwiązał, kontusz zmiął, żupan przekrzywił, spinka pod szyją rozpięta. Czerwony był, niczem najdojrzalszy pomidor.

Podbiegła doń zaraz małżonka, jak sprężyną podrzucona. Jedną ręką głaskała mu pyzate, gęstym włosiem obrośnięte policzki; drugą odzież na nim gładziła.

— Mileńki... kochanieńki... Nie alteruj się, dzieciątko... Niegodziwa ona... okowity tobie dała... humory ogniste zapaliła... Chodź, wedle mnie usiądź — utulę cię, upieszczę... Ty kareski lubisz, filutku — co? ej!...

Głaszcząc, mizdrząc się, przywiodła olbrzymia do kanapy, na cycowem pokryciu usadowiła.

— Jakże się waszmość czujesz, mości sędzio dobrodzieju? — troskliwie zagadnął cześnik.

Pan Towiański wyciągnął wielką, żyłastą rękę i ciężko, niby maczugę, na stole złożył.

— Tak się czuję, cześniczeńku, żebym zdruzgotał ten stół, ciębie skruszył i cały twój dwór potrzaskał i rozmiótł. Drzazeczka na

drzazeczce nie pozostałaby z tego wszystkiego.
Hu — ha!

Pani sędzina wpatrywała się w męża takim wzrokiem, jakim matka przygląda się małemu synkowi, który dosiadł konika na biegunach i szabelką drewnianą wywija.

— [Koguciku ty mój mileńki... Cipulku... cipuleńku... Dzieciątko roztkliwione... Maślany pampuszku... małdryku... konfetciku...]

Od pieszczącej się pary pan cześnik oczy odwracał i oblizywał się a wzdychał...

Z twarzy sędziego ustępowała czerwoność, a w miarę, jak stawał się blady, posepniał.

Po dłuższej chwili milczenia, gospodarz zagadnie:

— I gdzież to waszmości pana mojego ona słabość zdybała?

— Nie indziej, mości cześniku, jeno przy tym zaścianku pohanym, co go zowią: Pielewiszki.

— Pilwipiszki... — poprawiła spokojnie sędzina.

— Pielewiszki — powtórzył pan Towiański z naciskiem.

— Nie przeciw się, mileńki. Wiem dowodnie, że Pilwipiszki...

— A ja cię uręczam, kochana, że Pielewiszki.

— Pilwipiszki...

— Pielewiszki...

— Ustąp, dzieciątko... Jaż wiem, co mówię.

— To ty ustąp. Ja nigdy na wiatr słów nie rzucam.

— Otóż nie ustąpię...

— Ja także.

Zamilkli nadąsani.

Do komnaty wsunął się jeden z domowników — chudy szlachetka w cynamonowym kontuszu, z pochylonemi plecyma, z profilem charcim, z twarzą, wyrażającą dowcip i przebiegłość.

Był to rezydent domowy, pono daleki krewniak, imćpan Pafnucy Mleczek, którego nazywano zwyczajnie »Pafciem«.

Wsunął się Pafcio w niskich pokłonach, nos wytknął, powietrza pociągnął — odrazu zwąchał, co się święci. Zwąchawszy, skulił się pokorniuchno i siadł na krześle przy drzwiach, ze zwieszoną głową, skrzyżowanemi rękoma, nogami pod krzesło schowanemi.

Pan cześnik, długą nieruchomością znużony, wstał i przechadzać się jął po bawialni. Przechadzał się krokami wyciągniętymi a cichymi, starając się tłumić skrzypienie swych butów safianowych, w Wilnie kupowanych, do których szewc, niecnota, umyślnie skórę »grającą« włożył.

Sędziego nagle jakoś animusz opuścił.

Twarz mu pobladła, oczy przymykały się — cały osowiał.

Przysunęła się do męża pani Towiańska — nuż się przymilać, po twarzy go głaskać, swój policzek o jego ramię ocierać, białymi paluszkami brodę mu przegartywać...

Pan cześnik odwracał się i aż chrząkał z pasyi tłumionej.

— Zesłabłeś, dzieciątko — mówiła sędzina pieszczotliwie. — Zwiesił się dziobek wróblczkowi mojemu... Na serduszku jakowaś opresya... Coś w kontr poszło niebożątku... Daj łapcię, mileńki... Ach! jak pulsa galopują!... A kto winien? kto? Pamiętasz, kurczątko, com mówiła, gdyśmy jechali przez Pilwipiszki...

— Pielewiszki!... — jęknął sędzia.

— Nie upieraj się, mileńki. Jaż wiem lepiej od ciebie. Nasz ciwun ma tam siestrzana i zawždy mówi: Przyjechawszy ten osieł z Pilwipiszek...

Pan Towiański uniósł się nieco i dosadnie oświadczył:

— Właśnież wczoraj mnie on gadał: — Obabiwszy się mój byk z Pielewiszek...

— Z Pilwipiszek!

— Z Pielewiszek!

— Kostusiu, nie kontruj!

— Kasieńko, ustąp!

— Uch!... Wapory na mnie biją... Uch!...
uch!...

— Och!... Serce mi kołata... Och!... och!...

— Pil... Pil... Pil...

— Piele... Piele... Piele...

— Uch!... Słabo mi... Pomóżcie!

— Och!... Umieram... Ratunku!

Jedno upadło w prawy róg kanapy, drugie w lewy. Jęki i stęki napełniły bawialnię.

Cześnik, pospołu z Pafciem, rzucili się na pomoc chorym, choć i jeden i drugi nie wiedzieli zgoła, jak się brać do tego.

Rezydent, niewiadomo z jakiej racyi i w jakim celu, usiłował ściągnąć buty sędziemu, ów zaś, wierzgając nogami, odrzucał go nieustannie na środek komnaty.

Cześnik skoczył do alkierza i, wyniósłszy stamtąd tabakierkę panny Kunegundy, wtykał ją pod mały nośek sędziny, która, krztusząc się i kichając, broniła się od osobliwego medykamentu.

Dopiero sędzianka, przy pomocy cześnikówny, uśmierzyła alterację małżonków, wyprowadziwszy jejmość na ganek i pozwoliwszy jegomości wyciągnąć się na kanapie.

Nie wyszło trzy »Zdrowaś Marya«, a już pan sędzia chrapał, grzmotliwymi głosami wprawiając w drżenie szyby w oknach; pani sędzina zaś, z właściwą sobie swadą, opowia-

dała pannom o nowych deseniach adamszków, czamlotów i gredyturów, które oglądała u kupców w Lidzie.

Ona też tylko siadła z domownikami do podwieczorku, który w altanie chmielowej zastawiono. Zanim z półmisków i talerzy zniknęły poziomki, śmietana, suche ciastka i orzechy laskowe z miodem, zdążyła kilkakrotnie wyłajać i ucałować córkę, z panem Pafnucym posprzeczać się i pogodzić, oświadczyć, że »niema jak wieś«, a zaraz potem, że »jeno w mieście żyć można«, wreszcie, wybuchnąc szaloną wesołością i do łez się rozrzewnić.

Pan Towiański spał a spał.

Dopiero gdy nad pola i zagajniki rakowickie wypląnęła czerwona bania księżyca, ocknął się i wielkim głosem zawołał:

— Kto w Boga wierzysz, ogórka daj kiszzonego!

Przyniesiono ich słój ogromny, z którego, po czasie niedługim, pozostało jeno szkło i listków bobkowych kilka.

Wyspany i orzeźwiony, zażądał, by zaprzęgano, pilna bowiem sprawa graniczna wzywa go do Kotczyna. Jejmość nie kontrowała, więc, po obowiązkowych ze strony gospodarza a daremnych molestacyach o przyjęcie wieczerzy i noclegu — państwo sędziostwo odjechali do siebie.

Przed pójściem na spoczynek, pan Mokrzecki zapuścił się z rezydentem w długie o swych gościach dysputy. Wynosił pod niebiosą nadobność, gracyę, dowcip i krasomówskie obroty jejmości; przypominał, że znał ją jeszcze młodzusięnką jejmościanką Bobolanką; dodał, nie bez jakowegoś zakłopotania, że, gdy ta znajomość na czas pierwszego wdowieństwa przypadła, skłonny był pannę *in sociam vitae* pojąć, pełnoletności jej doczekawszy, ile że mu sprzyjał jej rodzony, imćpan obożny litewski.

— Ale [trudno iść przeciw losowi swemu.] Już to było w kancelaryi niebieskiej podpisane i przypieczętowane, że kontentacyą mego serca i sukursem życia całego stać się ma jejmościanka strażnikówna oszmiańska — takż Kasia, Kasięńka, Kasiunia, której niech Bóg Najwyższy, Stwórca ziemi i nieba, odpoczywanie da wieczne — amen.

Pochylił głowę i milczał czas dłuższy, w pobożnem myśli skupieniu.

Nagle odezwał się innym zgoła, bardziej świeckim tonem:

— Ależ upór, Pafciu miły! Daj go katu, co za upór!...

— Prawdziwie babski, mości rotmistrz dobrodzieju!...

Mleczeko zawsze nazywał pana Mokrze-

ckiego rotmistrzem, gdyż jako bywszy porucznik chorągwi JKMcI B. W. W. Ks. L., więcej ważył jego stopień wojskowy, niż świecki.

— Babski upór w mężczyźnie! Nie jesteście to, mój Pafciu, ludzka i Boska obraza?

Rezydent nos wytknął, w prawo i lewo wiatru spróbował, niby chart, straconego tropu szukający.

— Jakże to, mości rotmistrzu dobrodzieju? *Error* tu być musi jakowys...

— Jaki, do kata, *error*!

— Toć — zająknął się tamten — światu wiadomo całemu, że owo lichy nie w panu Towiańskim siedzi, lecz...

Pan cześnik poczerwieniał, jak ćwikła, nogą tupnął, oczy wybałuszył. Zdało się przez moment, że, jak wulkan, ogniem wybuchnie...

Pohamował się wszelako i przez zaciśnięte zęby syknął jeno:

— Bajesz waść, Pafciu pocieszny!...

I dyskurs ślizki kończąc, zabrał się, nie mieszkając, do pacierzy łacińskich, które odmawiał w głos, po izbie chodząc.

Potem, przed obrazem Matki Bożej, na blasze malowanym, przystanąwszy, jął się modlitw łacińskich i polskich, sześciorgiem

westchnień i sześciorgiem *amen* one zamykając.

Mleczko wyszedł na palcach, z nosem przed się wytkniętym. Węszyć tam i sam nie potrzebował, poznawszy już dokumentnie: z której strony wiatr wieje...

III.

Przyszła jesień, a z nią mgła, wichry, plucha. Drogi rozmiękły, popsuły się. Trudno było nosa na świat wytknąć, gościa uwidzieć i samemu w odwiedziny ruszyć. Musiałeś, człowieku, w domu kamieniem siedzieć, myśli słodkie lub gorzkie przeżuwać i ziewać — za całą rozrywkę mając spoglądanie raz po raz na niebo: czy się nie przeciera?..

Dobrze jeszcze temu, kto młody, rozkochany i ma przy sobie gładkie liczko, w które godzinami wpatrywać się może (choć i to za czasem spospolicieje, znuży i znudzi).

Ale dla takiego, co, jak cześnik, młodość pogrzebał, niewiastę umiłowaną stracił i sny one cudne, które żywot nam złocą, prześnił — jesienna szaruga i w czterech ścianach zamknięcie równają się kaźni więziennej i powolnemu konaniu..

Już i modlił się pan Mokrzecki i »Kro-

nikę« Strykowskiego czytał, i z ciwunem o gospodarstwie gadał, i z domownikami dyskurował, i dziecku służebnej, z czeladni *ad hoc* przyniesionemu, za wąsy ciągnąć się dawał — ba! już i z pieskami igrał, i kolejno: to wina, to miodu, to piwa, to nalewek różnych próbował — [chandra, w samym rdzeniu duszy zagnieżdżona, nie ustępowała.]

Więc, w przeciągłem, szerokiem ziewnięciu ramiona rozkrzyżowawszy, na rezydenta zakrzyknie:

— Pafciu-sercel!... A chodźże!... a pomóż!...

Wysunął się z kąta pan Mleczek, zawsze znajdujący się w pobliżu, dla weneracyi wszelako, gospodarzowi domu należnej, trzymający się w przyzwoitym odeń dystansie.

— Na rozkazy wielmożnego rotmistrza dobrodzieja...

— Rozdeszczyło się, mój Pafciu — flaga okrutna... Ckliwo jakoś i obleśnie — we łbie pustki, jak w starym ulu... Ta i cóż robić, serce?... Do kancelaryi pójdziemy, albo co?...

— Aplauduję fortunnej myśli pana rotmistrza dobrodzieja. Dawno już kancelarya nie była honorowana prezencją osoby pańskiej. Zaszczyt to będzie dla niej i radość niemała, widzieć w swych progach waszmości pana mojego — ile, że *multum* interesów przeróż-

nych, juryzdycznej, że tak rzekę, natury, na rezolucję pańską pilnie oczekiwają.

— Pafciu - niecnoto!... Jabym chciał wytechnąć, a ty mię ciężarem obarczasz...

— *[Dura necessitas]* mości rotmistrzowi dobrodzieju. *[Samą krotofilą żyć trudno — podczas i interesu jąć się trzeba.]* Już to pan rotmistrz dobrodzieju w czasie ostatnim coś się bardzo w tych sprawach negliżuje...

— To prawda, ale — czyż nie wiesz dla czego? Od zgonu świętej pamięci jejmości mojej, sprawy doczesne całę mię nie obchodzą. Krzyżyk na onych położyłem.

— Zawcześnie, rzec się ośmielę. Zawcześnie i razem: zapóźno.

— Nie bądź enigmatyczny, Pafciu - serce. Gadaj: jak to rozumiesz?

— Zawcześnie, mości rotmistrzowi, bowiem starość jeszcze daleko za wrotyma i przystępu jej do siebie waszmość pan dobrodzieju nie dajesz. Zapóźno — bowiem kto liczną progeniturą otoczył się, temu przyszłość onej na sercu leżeć powinna. Chciałżebyś, rotmistrzowi dobrodzieju, synów swych i córy w zamieszaniu majątkowem pozostawić i na łup złym ludziom a chytrym palestrantom oddać?

Potał pan Mokrzecki siwej, gęstej czupryny — coś-nie-coś pomyślał...



— Ha! to i chodźmy do onej kancelaryi... — z rezygnacją oświadczył.

Po małej chwili, znaleźli się obaj w dużej komnacie, surowo i nieco posepnie wyglądającej.

Powietrze tchnęło tu dziwnym aromatem ziół zasuszonych, dawnych papierów, odwiecznych sprzętów — aromatem, cenionym przez miłośników starożytności, do których wszakże imćpan cześnik powiatu lidzkiego i rotmistrz Buławy Wielkiej nie należał.

Ledwie wszedł i nosem pociągnął, zaraz na pachółka krzyknie:

— Słysz, ty tam!... Kłodeę na komin — dwie grube świece na stół! A jedno okno niech mi będzie na całą szerz rozwarte.

Dopiero, gdy izbę ogrzano, przewietrzono i oświecono, rozchmurzył się i z twarzą pogodniejszą zasiadł w wielkiem krześle po pradziadku.

W drżącej poświacie świec woskowych, klócej się z resztkami blasku dziennego, kancelarya, pełna cieniów ruchomych i płomiennych migotań, nabrała osobliwej, razem klasztornej i rycerskiej piękności...

Po ścianach wisiały zbroje, kolczugi, bechtery, misiurki ze stalowymi czepcami, nagoniki, skrzydła usarskie, tarcze, miecze i szable kształtów przeróżnych, od koncerza

olbrzymiego, aż do małej a kąśliwej augustówki, wreszcie rzędy i rzędziki końskie bogate, srebrem nabijane, turkusami sadzone — owo zgoła cały rynsztunek wojenny, od dziada pradziada, Mokrzejcy bowiem z dawien dawna rycerskiem rzemiosłem się parali.

Pod ścianami — szafy wielkie, dębowe i półki z przegródkami licznymi, a w nich, niby gąsienie w pszczelnych komórkach, poźółkłe fascykuły, w ośmioro i w dwanaścioro poskładane.

Na wierzchu szaf, wśród kurzu i pajęczyn, istny kram osobliwości: prastare garnki, urny, zżarte rdzą ostrogi, bronzowe do stroju białołłowskiego objekty — wszystko, co na gruntach rakowickich kmieć wyorał lub wykopał, fala wyrzuciła, wiatr z wydmy piaszczystej wywiał...

A niżej jeszcze: skrzynie okowane gdańskie, sepety, szkatuły; w kątach zasie: formy do lania kul, musaty stalowe do ostrzenia brzeszczotów, rzemieńne zapinki, jedwabne rapcie, sprzężki, młotki, dłota, świdry i wszelakie rycerskie rupiecie.

Cześnik wodził po tem wszystkim smętnemi oczyma, z których niekiedy błyskawica wypadła i gasła. To pasa poprawiał, to za wąs się ciągnął, to napiętkiem w pawiment uderzał i — dumał.

Tymczasem myszkujący po kątach rezydent wyciągał zewsząd i na stole rozkładał stare papiery, czyniąc to z widocznym ukontentowaniem. Nos mu się wydłużył — chuda twarz przybrała wyraz wybitnie charci.

— I cóż tam, Pafciu-serce?... — zagadnął pan Mokrzecki po długim milczeniu. — Cóż z tych papierzysków wywąchał?...

— Wywąchałem, panie rotmistrzu dobrodzieju, że przed waszmością droga się ściele...

— Bodajże cię!... Tuszę, że przynajmniej niedaleka?...

— Nieblizka takż. W Wołkowyskie.

— Szyję utnij, jeśli zgadnę: po co i do kogo?...

— Do Łopienicy... do ichmościów państwa Bitowtów...

— Tyleż wiem o Bitowtach, co o Łopienicy!... Chociaż... poczekaj, serce... Z Łopienicą — może nie tą? — miał świętej pamięci rodzic mój coś tam, kiedyś tam, do czynienia... Pędrakiem byłem — od matki jeno wiem o tem... A i Bitowt jakowyś wpadł mi raz w ucho — obersztlejtnant, jeśli dobrze pomnę...

— Ten sam, mości rotmistrzu dobrodzieju. I Łopienica taż sama.

— [Ale: gdzie Rzym, gdzie Krym!...] Onego Bitowta na oczym nigdy nie widział — a co

się tknie Łopienicy, to rodzic mój od trzydziestu lat w grobie, a z nim i sprawa jego *in aeternum* pogrzebiona.

— *In aeternum*, mości rotmistrzu dobrodzieju, nawet sum neapolitańskich nie pogrzebiono i dotąd się o nie Rzeczpospolita upomina. Tu interes prościejszy i młodszy znacznie, bo jednego półwiecza zaledwie dosięgający. Czcigodny rodzic pana rotmistrza dobrodzieja, imćpan Piotr Mokrzecki, poborca powiatu lidzkiego, *anno Domini millesimo septingentesimo*, pożyczył talerów bitych pięćset imćpanu Mikołajowi Ogińskiemu, marszałkowi wołkowyskiemu, *ex post* kasztelanowi trockiemu, i małżonce onego, jejmości pani Katarzynie Ogińskiej.

— Tak to jest — poświadczył cześnik. — A tę sumę zabezpieczono na majątności Łopienica-Skinderowszczyzna. Jakoś wrychle potem rodzic mój przeniósł się *ad patres*; matka zażądała zwrotu sumy od ichmości państwa Ogińskich, ci zasie odprawili ją z tem do nowych posiadzicieli Łopienicy. *Amabiliter* uładzić się to nie dało, wyniknął proces, a *in tractu* onego Łopienica po raz wtóry posiadzicieli zmieniała. W takowem zamieszaniu cóż było czynić? Ten pożyczył, ów ma oddać, trzeci o niczem nie wie... zaczem: [zgadnij, Jezu, kto cię bije?...] Puściliśmy to

wszystko w niepamięć, ile, że jejmość pani matka statecznie słabowała, a jam się żołnierką bawił.

Mleczek słuchał tego wywodu z nosem wetknionym w papiery, z zagadkowym na wążkach wargach uśmiechem. Głowy nie podnosząc, bąknął:

— Tymczasem, *in effectu*, wszystko było inaczej...

— Jakto inaczej?

— Łopienica posiedzicieli cale nie zmieniała. Zawsze była w jednych i tych samych ręku.

— W czyich?

— Imcipana Karola Władysława Smogorzewskiego, wojskiego wołkowyskiego i małżonki onego, imcipani Rozalii Tyszkiewiczówny Smogorzewskiej.

— A Ogińscy?

— W zastawie Łopienicę trzymali.

— A ciż drudzy?

— Prawo zastawne od onych przejęli.

— A potem co?

— Potem, w roku Pańskim tysięcznym siedmsetnym piętnastym, Smogorzewscy Łopienicę od zastawników eliberowali.

Tu uśmiechnięty Pafcio wziął przed się i do światła przybliżył stary dokument, a wy-

gładziwszy papier dłonią, czytać jął, co następuje:

»List otworzysty, obwieszczy ichmości państwa: Karola Władysława Smogorzewskiego etc. i Rozalii Tyszkiewiczówny Smogorzewskiej etc., do ichmości państwa: Jana Krzywkowskiego, horodniczego trockiego, i Krystyny Rejtanówny, bywszej Krzywkowskiej, terazniejszej Płaskowickiej, łowczyny pińskiej. Pamiętnym będąc terminu okupna majątności Łopienicy Skinderowszczyzny, z przykupią etc. prawem zastawnem puszczonych etc. etc., uwiadamiamy, że w dniu etc. sumę zastawną spełna wyliczymy i prawu zastawnemu niwczem ubliżyć nie zechcemy etc., zatem żądamy, aby waszmość państwo, sumę rzezoną odebrawszy, majątność Łopienicę z przykupią, z poddanymi, z zasiewem żytnym i jarzynnym, jako jest przez antecesorów naszych jaśnie wielmożnych państwa Ogińskich postąpioną, nam, jako wiecznikom należąca postąpili i ustąpili. *Datum* w Łopienicy Skinderowszczyźnie, roku tysięcznego siedmsetnego piętnastego, miesiąca marca trzydziestego dnia«.

Odwrócił papier i dodał:

— Kwit relacyjny z doręczenia listu podpisał Krzysztof Flaszkiewicz, jenerał powiatu wołkowyskiego.

Położył papier na stole i cześnikowi tryumfująco w oczy spojrział.

— Zatem, Pafciu-serce? — spytał ów.

— Zatem, mości rotmistrzu dobrodzieju, pretensya waszmości pana mego, jako *pendebal*, tak i *pendet*, i talerów bitych pięćset, z prowizją i kosztami sądowymi, każdego momentu wywindykowane być mogą.

— Od kogo, Pafciu-rybko? — od kogo?

— Od kogóż, jak nie od Smogorzewskich, Karola Władysława Smogorzewskiego, wojskiego wołkowyskiego zstępnych i sukcesorów?

— Samżeś, serce, powiedział, że w Łopienicy dziś nie Smogorzewscy, ale Bitowtowie...

— Powiedziałem, rotmistrzu dobrodzieju. Ale cóż stąd? Czy wiadomo waszmości panu mojemu: kto jejmość pani Bitowtowa *de domo*?

— Nic mi tam do wołkowyskich koligacyi!...

— Smogorzewska, wielmożny rotmistrzu — Stefana Smogorzewskiego, kapitana, *ex post* pułkownika jego królewskiej mości wojsk litewskich, starosty bernatowskiego, córka. Ten zaś Stefan toć syn rodzony Karola Władysława, którego zastawnikowi świętej pamięci rodzic waszmoścín talerów bitych pięćset na Łopienicę pożyczył. Bowiem rodowód Smogorzewskich-Junoszków — ile pamięć ludzka zasięgnąć może — takowy jest...

Tu pan Mleczek zapuścił się w rozległe

genealogie — w czem mu nikt na trzy okoliczne powiaty, a mało kto na Litwę całą, dorównać nie mógł.

Na czasie wolnym nie zbywało mu — poświęcał go w całości dociekaniom familijnym. W wątpliwościach wszelakich szli do niego ludzie, jak w dym. Wyśmienie też wywąchał swym długim nosem wszelki neofityzm, wszelkie skartabelstwo — miał nawet ułożony przez się katalożek »parwieniuszów *alias* lisów farbowanych«, który dobrej, starej szlachcie na zjazdach sąsiedzkich ciszkiem prezentował.

Niesieckiego nie miał za jaje...

— Ten Jezuita — mawiał — wie coś-niecoś o domach na Czerwonej Rusi, bo ma one przed nosem, i winem a tabaką jest przez nie traktowany. Ale spytaj dobrodzieja o Białą Ruś, o Litwę, o Żmujdź, to — *pasz!*

Wysłuchał pan miecznik swego rezydenta z niejakiem roztargnieniem — w tem mu wszelako przyznał rację, że pięciuset talerów bitych na Bitowtach i ich Łopienicy dochodzić należy.

Wziąwszy na uwagę to i owo, postanowili obaj, żadną literą dziedziczki łopienickiej nie uprzedzając, wyruszyć w Wołkowyskie zaraz po Godach, to jest po święcie Narodzenia Chrystusa Pana.

— Daj Boże — westchnął przytem pan Mokrzecki — aby nam się udało skończyć z Bitowtami tak gładko, jak z wdową po Girgasie!

Pafcio drgnął i wynurzył z pomiędzy papierów twarz, naznaczoną wyrazem osobliwego, płaczkliwie-komicznego zdziwienia.

— Z kim, z kim, panie rotmistrzu dobrodziej? — jękając się, spytał.

— Z Girgasiną, o granicę od Lisiego pagórka... Wytknięto ją raz nareszcie po sprawiedliwości i komornik kopce usypał. Nowa pomiaru na mapę wniesiona, a mapa ot tam, na szafie...

Gdy Pafcio, mimo wyjaśnienia, nie przedstawiał powiekami mrugać i płaczkliwie uśmiechać się, cześnik rzucił niecierpliwie:

Zapomniałeś o tem, Pafciu-nieboże?

— Com miał zapomnieć! Toć sam krzyżki kreśliłem świadkom, pisma nieumiejętnym.

— Więc czemuż się dziwujesz?

— Czemu? A oto temu, że pan rotmistrz dobrodziej uważa sprawę za skończoną...

— Samżeś widział, że kopce sypano.

— Ta i cóż! Kopce rzecz ludzka. Można je usypać — można i rozsypać.

Pan Mokrzecki skrzywił się.

— At!... — z wyraźnym gniewem mruknął.

I zaczął bębnić palcami po stole.

Mleczko stulił uszy — twarz wnurzył na powrót w stare papierzyska. Rezydentom gniew pański niebezpieczny, jak grzmoty rakowi.

Przydłuższe milczenie, jakie zapanowało, przerwał nagle umorusany chłopiec z kredensu, który, fartucha nawet nie odpasawszy, do kancelaryi wpadł i wrzasnął:

— Jenerał jedzie!

Porwie się pan cześnik, jakby go co podrzuciło — do otwartego okna skoczy...

— Zamykać wrota!... Ludzie pod dach!...— padła energiczna komenda.

W momencie wrota zostały zatrzaśnięte i kołem podparte; dziedziniec i całe obejście folwarczne opustoszały.

Zamknął i pan Mokrzecki okno — na domowników zaś zakrzyknął, aby nikt nie ważył się wyglądać i nosa na szybie rozpląszczać.

Cisza stała się odrazu taka, jakby we dworze i na folwarku wszyscy ludzie, jeśli nie pomarli, to — posnęli.

Aż tu, niewiele poczekawszy, na drodze, co się wiała płasko a kręto, widna ze dworu, jak na dłoni, ukaże się wśród szarugi jesiennej kałamaszka, w konia jedynaka zaprzężona.

Na bryczuszce, człowiek takóž sierota, da-

chę włosistą od deszczu nakryty, i kopie siana — jeśli nawet nie stercie mierzwy — podobny.

Przed wrotami zatrzymał się koń, człowiek się wygramolił. Koń parsknął, grzywą i ogonem wstrząsnął, zrzucając z siebie gęste krople wody deszczowej; człowiek, w tym samym celu, pozbył się przemokłej burki i wierzchem dłoni wycierać jął wielkie, białe, obwisłe wąsiska, które mu połowę oblicza zakrywały.

Był to mężczyzna stary już, wysoki, chudy, nieco przygarbiony, w czarnym, skromnym kontuszu i w takimże, wełnianym pasiku, który luźno wisiał mu na brzuchu, nieosobliwe pełności onego wystawiając świadectwo.

Przystąpił ów chudziaczek do wrót i otworzyć je spróbował — mina jego wszakże wyraźnie mówiła, że to czyni tylko *pro forma*. Na chwilę nawet nie przypuszczał, że się te wrota gościnnie przed nim rozewrą.

Nie rozgniewał się, nie zdziwił nawet — ziewnął jeno szeroko i w kieszenie kontusza ręce głęboko zanurzył. Z jednej wydobyl okulary w oprawie rogowej, któremi zaraz czerwone (od zimna zapewne) nosisko osiodłał; z drugiej — blaszany kałamarz z piórnikami. Potem wyciągnął z zanadrza arkusz papieru, i rozłożywszy go, wylazł z onym na duży kamień, nieopodal leżący.

Cześnik, który się tym manipulacyoni z głębi kancelaryi przypatrywał, za boki się brał od śmiechu. Mleczek, nie śmiać przy gospodarzu wesołości swej folgować, parskał jeno, jak kot, rękawem usta zasłaniając.

Tymczasem »jenerał«, na wyniosły posturunek personę swą dźwignąwszy, wytknął przed się papier, ręką prawą groźnie potrząsnął i jął głośno czytać, a raczej na całe gardło krzyżeć, ku czterem stronom świata kolejno się obracając.

Mimo zakazu pana Mokrzeckiego, ten i ów z czeladzi, zwłaszcza z ciekawych niedorostków, nos z za węgła wyściubiał — ale wówczas jeno, gdy mówca plecyma był doń zwrócony. Zaledwie jednak ów zmienił pozycję, wszystkie nosy natychmiast znikwały i przed obliczem jeneralskiem martwa rozpościerała się pustka.

Wykrzyczawszy się, zlazł »jenerał« z kamienia, papier na płocie rozpostarł i z wielkim trudem coś tam na nim piórem swem nabazgrał. Markotny był, raz po raz z deszczu się otrząsał i melancholijne rzucał spojrzenia to na konika swego, z obwisłym łbem dygocącego na słocie; to na dwór okazały a nieprzystępny, z którego kominów dym gęsty buchał, świadcząc o przygotowywanej, obfitej wieczerzy...

Wreszcie ręką machnął, jakby mówił: »Ha, głową muru nie przebijesz!...« — i z rezygnacją do wrót przystąpiwszy, wetknął w one swój papier, we czworo złożony.

Obowiązkom urzędowym stało się zadość — a że sprawa nie poszła, jak należy, temu już jego jeneralsko-woźnińska persona winną nie była.

Konik żałośnie zarżał — uczyniłby to samo i jego pan, gdyby umiał. Wytrwał jednak w rezygnacji i, tłumiąc żal w sobie, konik z dryndylką odwiódł w bok, pod drzewa wysokie, gdzie przerzedzone już jesienią listowie dawało jaką taką przed deszczem ochronę.

Tam, wydobywszy z bryczuszki worek z owsem i sakwy z prowiantem, jął przygotowywać posiłek dla konika i dla siebie.

W tymże momencie pan cześnik pacholika przywoła i rozkaże:

— Zbiegnij, duszo, bokiem, wedle lamusa, do starego Hryniewieckiego, co za wrotyma moknie. Przelazem przy rzeczulce, przez sad i przez ogród, do dworu go przyprowadź. Kobyłkę do stajni wziąć i owsem dobrze nakarmić. A papieru, co tkwi we wrotach, wara palcem tknąć, bo — sto batów i na tydzień do lochu!

Niebawem stary woźny, *alias* »jenerał Jego

Królewskiej Mości« powiatu lidzkiego, witał się z panem cześnikiem wdzięcznie i kordyalnie, acz bez zbytniej submisyi — [Hryniewieccy bowiem są dobrą szlachtą, pieczętują się Przegonią] i niwczem Mokrzeckim nie ustępują.

Gwarno i wesoło było przy wieczerzy, bo stary wyga sądowy miał wiele do opowiadania, a jego trybunalskie awantury były nieraz tak ucieszne, że cześnik, chandry swej zabuwając, za brzuch trzymać się musiał od śmiechu. Sekundował też gościowi pan Pafnucy, »z cicha pęk«, rzadko głos zabierający, ale którego głowa była, jak lamus, cennymi i ciekawymi rupieciami napchana.

Długo zabawiali się ichmoście wesołym dyszkursem, któremu nie bez zajęcia a profitu i młodzież się przysłuchiwała — tymczasem papierzysko ono, wetknione we wrota, na deszczu mokło i wichrem srodze było targane. Wyrwał je wreszcie i uniósł podmuch silniejszy, a utarzawszy dowoli w błocie, cisnął do kałuży, gdzie marnie krótkiego dokonało żywota.

Przy stole żadnej o onem mowy nie było. Unikał jej pan cześnik z rozmysłem, a i generał, wiedzący, gdzie raki zimują, tak dyszkursem kierował, aby o ów obiekt, broń Boże, nie zahaczyć.

Dopiero przy ostatniej kolejce, gdy już od

stołu wstawać miano, pan Mokrzecki, symulując ziewnięcie, tonem rzekomo obojętnym, zagadnie:

— A ów fascykuł skąd?...

I podkreślił zapytanie ruchem głowy w stronę wrót wjazdowych.

Dopiero stary Hryniewiecki z pasyą splunie i, namarszczywszy się, rzecze:

— Skądżeby, jak nie od tej pohanej pie-niaczki, Girgasiny z zaścianka!...

Cisza po tem wyznaniu nastąpiła — cisza tak wielka, że głośnym wydał się w niej stłumiony a tryumfujący śmiech pana Pafnucygo, choć ten, wesołości swej folgując, usta rękawem zatykał...

IV.

— Ojciec przeor mocno w tym momencie *occupatus*. Przyjąć waszmości pana i dobrodzieja nie może.

— Sprawa moja krótka a pilna. Sumę przywiozłem, którą świętej pamięci małżonka moja na klasztor ojców wielebnych zapisała.

— Ubożuchny jest nasz klaszorek i posłów takich z kontentacją niezmierną przyjmuje. Wszelako ojciec przeor *nullo modo* widzialnym być teraz nie może. Chyba przeto waszmość pan i dobrodziej dłuższą chwilę na jego przewielebność oczekiwać zechcesz.

— Pilno mi jechać dalej, ojczye wielebny. Przed nocą wyruszyć radbym, a dzień w decembrze to jeno mignie...

— Wążąc w sercu wielką *necessitas* braci-szków klasztornych z niemniejszą estymą, tak godnej personie należną — nie widzę, niestety, sposobu wybrnięcia z tego labiryntu...

— Czy ojciec przeor w chórze zabawiony? Czy z szafarzem lub piwnicznym dłuższą odbywa naradę? A może — *quod Deus avertat!* — niedyspozyt?

— Ni to, ni tamto. Jego przewielebność w tym momencie — Dzieciątko kołysze.

Pan Mokrzecki wytrzeszczył oczy na braciszka, który, nieświadom wywołanego przez się zdumienia, bawił się niewinnie wiszącymi na habicie ogórkami.

— Dzieciątko?... — wykrztusił głosem prawie gniewnym, jakby podejrywał, że żeń żarty sobie stroją.

Z kolei zadziwił się braciszek...

A gdy tak obaj stali, wpatrując się w siebie rozszerzonymi nad miarę oczyma, umitygował ich towarzyszący cześnikowi pan Pafnucy. Zwyczajów bernardyńskich świadomszy, odrazu zrozumiał, o co idzie.

— Wielce świątobliwa to zabawka... — wyrzekł, głowę nisko pochylając. — Radość z niej w niebiesiech, a na ziemi zbudowanie dobrym i wierzącym.

Przytaknął głową braciszek — on zaś, zwrot wydworny czyniąc, dokończył:

— Czemużbyśmy przecie i my uczestnikami onej świętości być nie mogli? Toć, dzięki Najwyższemu, nie Żydzi jesteśmy, ani insze pogany!...

Miło uśmiechnął się braciszek.

— Byłoby nieprzystojnie, i owszem całe po barbarzyńsku, oponować waszmości panu i dobrodziejowi. Przed tymi, co są *dona ferentes*, wszystkie drzwi stać muszą otworem. Więc, jeśli wola waszmościów panów i dobrodziejów, proszę za mną. Ale śpieszyć nam trzeba, już bowiem śpiewy słyszę.

Poprowadził ich długim, ceglami wyłożonym korytarzem, gdzie po ścianach żarliwiec jakiś, pendzlem władający, wymalował całe szeregi nabożnych alegoryi, najzatatwardzialsze serca zmiękczyć mogących — z niezmierną profuzją barwy krwisto-czerwonej i farbkowo-niebieskiej.

Weszli do wielkiej komnaty, huczącej śpiewem chóralnym, i zatrzymali się w progu — olśnieni.

Ukośne promienie zimowego, a przecie ja-skrawego jeszcze słońca, wpadające przez zakratowane okna, mieszały się ze światłem mnóstwa świec woskowych i lampek, kołyszących się na srebrnych łańcuszkach — a także z blaskiem altembasów, aksamitów, jasnych, srebrem i złotem szytych makat oraz perskich kobierczyków.

Dym ambry i innych, w trybularzu palonych, wonności, niebieską chmurą w powietrzu wisiał.

Na środku komnaty stała kołyska. Przed kołyską, w pół okręgu koła, klęczało całe zgromadzenie, wszyscy *patres* i *fratres*, z płonącymi świecami w rękach. Za nimi, oraz z drugiej strony kołyski, również na klęczkach i również ze świecami, cisnął się lud pobożny — nie pospólstwo wszelako, lecz ichmoście, jejmoście i jejmościanki, bliżej z klasztorem związani, tak z miasteczka, jak i z dworów okolicznych.

Kołyska była taka, że i królewicz-by się w niej przespał — w koronki cieniuchne spowita, wstęgami jedwabnymi fruująca, puchem wysłana. Jeszcze ją cne ręce zamożnych dobrodziejek klasztoru sznurami koralu i pereł obwiesiły i w mnóstwo splendorów bogactych przybrały.

Wśród koronek, wstąg i świecideł klejnotnych, na poduszczyce puchowej, pod aksamitną kołderką, któż to spoczywa w gieźlczku batystowem, rumianiuchny, jak najdostalsza reneta, z nie zmrużonemi, błyszczącemi, jak kryształ, oczętami, w nimbusie złotych, jedwabnych, jakby słońcem prześwieconych, włosków?

Jezusek spoczywa małeńki, Dzieciątko Boże *in effigie*, figurka przenajcudniejsza, z wosku misternie wyrobiona, wielkości przyrodzonej, farbami wybornemi umalowana,

mająca w żrenicach wielkie, brylantowe solitery, przez jaśnie wielmożnego wojewodę *ad hoc* klasztorowi wypożyczone.

Gdzie Dzieciątko, tam być musi i Matka... Jakoż stoi u wezglowia Najświętsza Paniienka, *ad instar* wielkiej damy, któraby i na królewskich pokojach rum wywołała.

Gdyby nie mała, pozłocista koronka, na samym wierzchołku sutego, na drutach nastrzępionego kornetu nasadzona, łącznoby kto wziął Matkę Bożą za wydorną kasztelanową albo wojewodzinę, »w gości« jadącą. Bławatna na onej suknia barwy słomkowej, w wielkie bukiety róż ponsowych i bzu białego, z rękawami krótkimi, do których przyszyto sowite, koronkowe, do samej pięści sięgające angażanty. Z tyłu sukni, od karku pochodząc przez całą długość figury, idzie fałda wydatna — jak to zawždy bywa przy tego rodzaju mantaszustach, szamerlakach czy szlomprach, bo trudno wszystkie nazwy stroju białogłowskiego zapamiętać. Nie brak także długiego na dwa łokcie ruchu, nowomodnie ogonem nazywanego. Na piersi, do połowy odkrytej, chusteczka leży, na krzyż spięta, z leciuchnej, jakby pajęczej, złotem i srebrem dzianej, tkaniny. Piękne w uszach wisiorki i na rękach manele skrzą się blaskiem drogich kamieni.

Obok Bożej Rodzicielki, wspiera się na łasce wysokiej dostojny starzec, z białą, jak śnieg, brodą, w bogatych, jedwabnych, wesołej barwy, szatach, kroju wszakże starożydowskiego. Święty Józef to jest, nieodstępny Najświętszej Paniénki i Dzieciątka Bożego towarzysz.

Ledwie pan cześnik z rezydentem próg przestąpili, zaraz im sługa kościelny świece zapalone podał. Uklękli z onemi pobożnie i ciekawym wzrokiem przyglądać się jęli obrzędowi, który był całé ekstraordynaryjny.

Któż to bowiem czynność piastunki przy kołysce sprawował i ostrożnie, z macierzyńskim iście afektem, onę kolebał? Oto we własnych personach: ojciec przeor i ojciec gwardyan.

Klęczęli po obu stronach kołyski, wzajem ją ku sobie popychając i tworząc figurami swemi prawdziwą antytezys: przeor dorodny i czerwony, jak ćwikła, tuszy, nawet na bernacha, zdumiewającej; gwardyan zaśie chuderlawy i żółty, jakby się w szafranie wykapał.

Gdy już ono kolebanie moment dłuższy trwało, najprzewielebniejszy oczy wzniesie do powały i zaintonuje kolendę. Głosem całé cienkim i zgoła nie takim, jakiego po takowym olbrzymie można było oczekiwać, zacznie:

— A cóż z tą Dzieciną będziemy czynili,
Pastuszkowie mili, że się nam kwili?

Odpowiedział mu natychmiast chór, do którego i cześnik z rezydentem głosy swoje dołączyli:

— Zaśpiewajmy Mu wesolo
I obróćmy się z Niem wkoło —
Hoc, hoc, hoc, hoc!

Niezbyt składnie poszła ta pierwsza strofa— ile, że szewiec pewien z miasteczka, kęs sobie podpiwszy, melodyę z niewłaściwej wziął nuty, a nosa, tabaką zapchanego, oczyścić zaniedbawszy, iście klarynetowym beczał głosem.

Nie było czasu na korekturę; strofa następna popłynęła tymże kształtem, co pierwsza. Przeor zaczął *solo basso*:

— Czy bez Matuleńki płacze Dziecina?
Więc Ją do miłego zaprośmy Syna.

Brzmiało to na podobieństwo inwokacji. Więć odezwą się zaraz żałośnie nawoływania — przeważnie białogłowskie dyszkanty:

— Mama! Mama! do Dziecięcia!
Utul tego płacz Panięcia!
Ma, ma, ma, ma!

Były te wołania haniebnie czule i roztkliwiające — nadewszystko ostatnia przyśpiewka,

w której zdało się niejednemu słyszeć kwilenie dziecięce.

Jaki-taki nos wytarł z hałasem, aby się płaczu uchronić — wszystkie zaś oczy white były w Przenajświętszą Panienkę, jakby Ją do spełnienia macierzyńskiej powinności obligując. Ona stała sztywno, boć trudno kule woskowej z miejsca ruszyć; brylantowe wszakże źrenice ekstraordynaryjnie błyszcząły, — łzami, rzekłby kto, nabrzmiałe...

Ale ów smętny afekt trwał niedługo. Poweselała cna kompania, gdy przeor raźnie zakrzyknął:

— A my Pacholęciu w dudki zagrajmy
I na piszczałeczkach rozweselajmy...

Dopieroż hukną wszyscy z niemałym ukontentowaniem:

— Li-li-li-li, moje dudki!
Skacz, Robaczku nasz malutki!
Li, li, li, li!

Aż tu i kapela klasztorna, na chórkę ulokowana, a tego momentu wyczekująca, urznie *fortissimo*, aż szyby zabrzęczały i Dzieciątko w kołysce drgnęło... Flety i klarynety, oboje i pikuliny zaświegotały rozgłośnie, niby ptaszki w gaju o majowym rozświcie.

Wesołe »li-li« dzwoniło długo w powietrzu, napelniając wszystkie kąty izby i wszyst-

kie załomy sklepienia, aż wreszcie ścichło i jakby roztajało, pozostawiając w duszach smutek a żal...

Po odśpiewaniu kolendy, przeorowi wstać wypadało z klęczek — łacniej bywa przecie niekiedy rzecz takową pomyśleć i wymówić, niż wykonać.

Podsadzili się pod jego przewielebność: zakrystyan i organista, ale gdzie! — tyle jeno, że mu habitu pod pachami naderwali. Posunie się przeto z pomocą imćpan Mokrzecki, wezwawszy ku posiłkowi sąsiada swego, męża z obliczem statecznem, choć, jak się później (nie bez zawstydzienia niejakiego) okazało, człeka profesyi rzeźniczej.

Samoćwierć, *unitis viribus*, dobrze się przy tem zasapawszy i napociwszy, dźwignęli ichmoście on kolos przewielebny w górę i na rodzonych nogach ustawili.

Stęknął przeor; chustą, z rękawa dobytą, czoło otarł, głęboko odetchnął i do adherentów swych z wdzięcznym obrócił się uśmiechem. Potem, głosem nie nazbyt grubym, odmawiać jął modlitwę, do okoliczności zastosowaną.

In tractu onej modlitwy, Dzieciątko Boże kolebał ojciec gwardyan, z kolan nie powstając.

Z kolei, podano przeorowi trybularz, a on

nim długo, na wszystkie cztery strony, machał, napelniając izbę wonnym, niebieskim dymem. Dopieroż zaczęto kichać, grubo i cienko, strzeliście i tak, jakby na panewce spaliło — dym bowiem był gryzący i srodze w nosach wiercił.

Wszelako kichała jeno strona świecka, wszystkie zaś nosy klasztorne uroczyście milczały — jako że *abusus* tabakowy już je był na wszelkie aromaty znieczulił.

Po krótkiej benedykcji i aspersioni, gdy już kroplisty deszcz wody święconej obficie zmoczył podgolone lub całkiem gołe łby szlacheckie i mieszczańskie — porwali się wszyscy z kolan i hałaśliwie do wyjścia cisnęli.

Nabożna zabawka była skończona -- powtórzyć się zaś nie miała, aż dopiero za rok calusienki.

Pan cześnik posunął za przeorem do zakrystyi, aby zaraz, gdy się ów z szat pontyfikalnych rozbierze, sprawę załatwić i w dalszą drogę jechać. Na noc wyruszyć zamierzał — śpieszno mu bowiem było do córki najstarszej, która w klasztorze Panien Benedyktynek nowicyat odprawiała, do klasztoru zaś onego było mil ośm z ogonem.

— *Festina lente*, dobrodzieju mój — cienko a przeciągle zaśpiewał *reverendissimus*, gdy przełożeń pana Mokrzeckiego wysłuchał. —

Za przywiezione dukaciki do stóp dobrodziejowi memu upadnę (cześnik zadrżał na myśl, że to *in effectu* stać się może); Msze solenne *pro defunctam* zaordynuję; cne imię Mokrzczych na dyamencie serca wyrznię i do końca życia konserwować będę — ale klasztor zamknąć kazałem i nikt już stąd, aż do dnia jutrzejszego, nie zostanie wypuszczon.

Pan cześnik jął stawiać swoje racye — przeor słuchać ich nawet nie chciał.

— Ani siostrzyczki wielebne nie palą się, ani nikt dobrodzieja mego nie goni, ani *salus Reipublicae* od tej podróży zawisł. Klasztor, acz ubożuchny, postara się, aby gość tak dostojny miał co na ząbek położyć. Jest ci tu jeziorko, jest i loszek, niewieliczki wprawdzie, lecz i niepróżny — przy piątku, znajdzie się dla dobrodzieja mego rybka, która i pływać w czem będzie miała...

— Konie mam swoje... — bronił się cześnik nieco już miękcej. — Woźnica i pacholik na mrozie ziębną...

— Koniki dobrodzieja mego już od godziny chrupią klasztorny owiesek; ludzie od dawna pod dachem, z czeladzią naszą ciepłym piwkiem się zagrzewają...

Cóż było czynić! *Reverendissimus* miał tak przekonywający sposób mówienia — przytem

swą kolosalną figurą drzwi zasłaniając, tak całkowicie odwrót uniemożliwiał..

Został cześnik w klasztorze — i nie pożalował tego. Uraczono go wieczerzą, jakiejby i doma nie znalazł, a gdy z Pafciem udał się na spoczynek, stwierdził z rozkoszą, że poczciwi ojcowie nietylko o pierzynie, ale i o puchówkach dla swych gości nie zapomnieli.

Spał wyśmienicie — sny zasie miał wielce osobliwe, choć nie nazbyt przykre.

Śniło mu się, że na cudnym, wyłączanym okręciku przez morze tokajowe żeglują; pobocz zaś, z prawej i lewej strony, równo z nim, płyną dwa olbrzymie delfiny i ów okręcik łagodnie kolebią..

Jeden z delfinów miał głowę ojca przeora, drugi — gwardyana.

V.

Otrząsnąwszy śnieg z obuwia, rezolutnie wkroczył pan Mokrzecki do przedsionka klasztornego.

Wiedząc, że u Panienek Wielebnych reguły Świętego Benedykta popasu nie otrzyma, zostawił sanie i całą kawalkatę podróżną w gospodzie i samopas do klasztoru podążył.

Przedsionek był otwarty. Szwędały się po nim baby z garnuszkami pod fartuchem, upatrując miedzianego szeląga albo kilku łyżek strawy gorącej. W głębi, przystępu do klasztoru broniła wielka, posępna, żelazem okuta furta.

Obok furty, na grubym sznurze, wisiał spory krzyż z drzewa czarnego. Nieco dalej, na wysokości głowy ludzkiej, była w ścianie mała, kwadratowa wnęka, zakryta od środka podziurawioną blachą.

Pan cześnik najpierw krzyż ucałował, na-

stępnie silnie nim szarpnął. W oddaleniu rozległ się stłumiony głos dzwonka.

— Do kogo?... — spytano po chwili z poza blachy dziurawej.

Głos pytającej nosowy, bezdźwięczny, dziwnie był podobny do kaczego.

— Niech będzie pochwalony... — uchylił przybysz czapki przed blachą. — Do Hanusi, sioostro wielebna!

Blacha odkwakała:

— Na wieki wieków... Nijakiej Hanusi tu niemasz...

— Do Hanusi Mokrzeckiej — poprawił się gość.

— Hanusi Mokrzeckiej takóž niemasz.

Cześnik odchrząknął, wyprostował się, wąsa podkręcił.

— O jejmościance cześnikównie i rotmistrzównie powiatu lidzkiego mówię, sioostro wielebna — z akcentem dumy niejakiej wyrzekł.

— Nijakich cześnikówien i rotmistrzówien nie znamy — brzmiała obojętna odpowiedź. — Wszystkieśmy równe.

Cześnika ogarnęła taka pasya, że chciał kwaczącej babie język pokazać. Bo jakże? — zawzięła się udawać, że go nie rozumie! W ciuciubabkę z nim gra, czy co?

Pohamował wszelako gniew i nawet twa-

rzą go nie ukazał, wiedząc, że jest z poza blachy śledzony.

Poprzestał na uwadze:

— Z niemalą dezolacją spostrzegam, że w zakonie Świętego Benedykta nowe nastaly obyczaje. Już tu dziś nawet ojcom z córkami widzieć się nie godzi!

— To waszmość ociec? W takowym razie, proszę przejść do kraty. Sama ksieni rozmówi się z waszmością. Jam jeno furtyanka.

Więc przeszedł pan Mokrzecki do izby obocznej, gdzie w głębi, całą niemal ścianę zajmowała krata żelazna.

Była ta krata podwójna i tak gęsta, że przez nią oblicze osoby mówiącej ledwie można było rozeznąć.

Ksieni ukazała się natychmiast i zaraz z gościem w obszerny wdała się dyskurs.

Przeorysza Panien Benedyktynek była osobą rezolutną, scyencyi i eksperyencyi pełną. Równie ją zajmowały sprawy zakonne, jak świeckie; tyleż była biegła w polityce, co w teologii.

Zaraz znalazły się na placu: wojsko i trybunał, hetman wielki i hetman polny, prymas i kanclerz — ba! dotarła pani matka do króla jegomości oraz wszystkich koronowanych głów i główek.

Krecił się pan cześnik, srodze temi kwe-

styami sfatygowany — ile, że nie rozprawiać *de publicis* przybył, jeno dla widzenia się z córą ukochaną.

Wreszcie i do tego obiektu przystąpiono.

Ale na pierwsze wspomnienie o Hanusi, matka przewielebna zakrzyknęła:

— Ależ dobrodzieju miłościwy! Już waszmości u furty powiedziano, że Hanusi niemasz. Niemasz tu, niemasz gdzieindziej. Jeno wspomnienie po onej ostało.

Gdy cześnik wielkie zdziwienie oczami wyraził — dodała:

— Hanusi Mokrzeckiej niemasz — jest jeno siostra Sulpicya. Takowe bowiem imię córka waszmości w zakonie przybrała. Jeszcze jej ono *de jure* nie przynależy, gdyż dopiero postrzyżona, a do obłóczyn jeszcze daleko — wszakże już do onego przywykła.

Zjawiała się niebawem u kraty i cześnikówna — której przybladłe od postów liczko i główka, kosy obfitej pozbawiona, srogi żal w sercu ojcowskiem zbudziły.

Trudno było rodzonym porozumieć się przez kratę, dozwolono przeto panu Mokrzeckiemu do parlatoryum wstąpić.

Hanusia — gdyż mimo wszystko, ojciec to imię jej pozostawił — wcale nie przykrzyła sobie w klasztorze. Zapytywana, czy nie ma

chęci wrócić do życia świeckiego? odpowiedziała *negative*.

— Na świecie imaginują sobie, że klasztor to grób — mówiła uśmiechnięta. — O jakże się mylą! Prawda, że są godziny modlitwy i umartwienia; że gdy dzwonek ozwie się na *silentium*, już żadnej ani mru-mru nie wolno... Ale ileż jeszcze czasu pozostaje na kontentacyę, ba! nawet na trzpiotanie się. Uręczam cię, panie ojcze, że podczas brykamy, jak kozy...

Poprawiła się:

— Jak jagnięta!

Cieszył się pan cześnik dobrą fantazyą swej córy — ile, że obawiał się, czy z racyi swej niezmiernej żywości, w klauzurze klasztornej wytrwa. Wokacyę dziewczyna od małości miała; wiadomo wszelako, że duch świecki szklany, na próbach nowicyatu łącno się tłucze.

Ale w błyszczących oczkach Hanusi znać było, że sobie w nowym trybie życia podobała, i że gdyby jej nawet klatkę klasztorną otwarto, jużby z niej nie wyfrunęła.

Dopytywała o młodsze rodzeństwo; zapewniała, że za wszystkich paciorki odmawia — przyniosła wreszcie całe pudło poświęcanych krzyżyków, szkaplerzy i obrazków, przeznaczonych dla domowników.

— Nie imaginuj sobie, ojczulku dobrodzieju, że my tu jeno na rekolekcyach czas trawimy. Ach, gdybyś wiedział, jakie cudne wystroiliśmy jasełka! W refektarzu stoją, ale zakryte, bo to siurpryza dla panny matki. Takbym chciała, żebyś je obaczył. Ale to trudno; nasza reguła temu przeciwna...

Zafrasowała się panienka i główkę opuściła, szukając sposobu wybrnięcia z trudności.

W tym momencie do parlatoryum weszła ksieni.

Za nią dziewczka klasztorna przydźwigała ogromną tacę z przekąskami. W kilku kryształowych, pięknie rznętych, flaszach, mieńczyły się barwą rozmaity słodkie nalewki; na farfurkach, w kwiaty malowanych, leżały pierniczki, suche śliwki na patyczkach, rybki wędle i konfitury.

Przełożona, gościnnie krzątając się, prosiła:

— Suplikuję waszmości pana dobrodzieja nie gardzić klasztorną chudobą. Zanim kucharz wieczerzę uwarzy, na głodny ząb i to się przyda.

Przysuwać jęła flasze.

— Tu jest kalmusówka, na korzeniach ajeru. Tu dzięgielówka, bardzo pomocna na zgęszczone humory. Tu znowu »balsam anielski«, melankolię, cholereę, złość i grzeszne my-

śli odpędzający. Przyrządza go matka Prowidencya, a przepis w osobliwym trzyma sekrecie. *Miraculose* działa — sama-m doświadczyła.

Pan Mokrzecki, kłaniając się i tłustą łapkę zażywniej mniszki obcałowując, napił się kal-musówki, poprawił dzięgielówką, oddał hołd należny »balsamowi anielskiemu«. Zbudziło to w nim wściekły apetyt i ani się spostrzegł, jak doszczętnie wymiółł wszystkie farfurki. Ocalał jeno pierniczek lukrowany, który ksieni ofiarowała Hanusi.

Bardziej wszelako od pierniczka ucieszyła panienkę wzmianka o wieczery. Pan ojciec otrzymał wyraźną inwitacyę, co było nielada faworem. Jeśli dobrze pójdzie, będzie mogła pochwalić się przed rodzicem jasełkami, które w znacznej części jej były dziełem.

Pan cześnik, mając usta pełne słodkości, wstał i żegnać się począł.

— Dokądże to waszmości dobrodziejowi memu tak śpieszno? Nie lepiej-ze tę godzinę z córusią przebaraszkować? A i kościółek klasztorny w gościnę zaprasza. Pusto tam teraz, a na osobności najłacniej duszy wzbić się do nieba.

— Ekskuzować się muszę, matko wielebna. *Non solus sum* — i w tym momencie, gdy ja tu w delicyach się rozpływam, towarzysz mój

u niewiernego Joska czy Jankła chandry z nudów dostaje...

— Któż on zacz? — zagadnęła ksieni, a na jej białem, lekko sfałdowanym czole odmalowało się zakłopotanie.

— Imć pan Pafnucy Mleczek, przyjaciel mój i domownik — przedstawił cześnik nieobecnego.

— *Spero*, że mąż równie poważny i stateczny, jak waszmość pan dobrodziej.

— Powagę onego, matko wielebna, asekuje siwizna. Niestateczny, towarzyszem-by moim nie został.

Hanusię korciło wmieszać się do rozmowy, lecz regułę przypomniawszy, zagryzła usta i jeno przeoryszę w rękę pacnęła.

— Powiedzieć coś chciałaś, dziecko — mów zatem... — zezwoliła uprzejmie ksieni.

— Rzec jeno chciałam, panno matko, że pan Pafnucy dobrodziej wyniańczył mię i na kolanach wyhuśtał, gdym była tycia... Potem nieraz na trawie przewracał ze mną koziołki...

Zmieszala się i poprawiła:

— Jagniętka, rzec chciałam...

Reguła klasztorna najsurowiej wzbraniała używania wyrazu »kozioł« — któż bowiem nie wie, że w tym zwierzu nieczystym *diabolus* najochotniej sobie *locum terrestre* obiera?

Pan Mokrzecki kąsnął się w język, aby się

nie rozśmiać. Ksieni zachowała niezmaçoną powagę.

— Za cóż godny kompan waszmości pana dobrodzieja na żydowskim wikcie zdrowie ma psować? Jeszczeć się w klasztorku naszym kromka chleba dla onego znajdzie. Więc, jeśli łaska waszmościów dobrodziejów naszych, obu na skromną wieczerzę klasztorną inwitujemy.

Uradował się pan cześnik z takowego obrotu rzeczy; jeszcze większą kontentacyę miała cześnikówna.

Gościa uprzedzono, że miejsce, pospołu z towarzyszem swym, zajmie w kąciku, dla księży świeckich przeznaczonym, gdzie kompanii dotrzymywać im będzie kapelan klasztorny.

Niziuchnym ukłonem afekt swój wyraziwszy, pomknął pan Mokrzecki do Pafcia, na łonie Izraela medytacye odprawiającego.

Na samym krańcu miasteczka, znajdował się ów zajazd żydowski i pan cześnik przez wielkie zaspy śniegu kopać się musiał, zanim do onego dotarł.

Docierając, już z odległości kilkuset kroków zmiarkował, że się tam dzieje coś ekstraordinaryjnego.

Karczma trzęsła się, jak podrażnione mrowisko; okno w onej, mimo mrozu, było wy-

bite; gwałty, krzyki, lamenty rozlegały się dokoła.

Czerń żydowska, tumultem zwabiona, pchała się drzwiami do środka; w tymże czasie wybitem oknem wylatywały, raz po raz: lisie czapy, zajęcze futerka, żydowskie chodaki, wreszcie całe Żydki, wierzgające w powietrzu cienkimi, w brudnych pończochach, łydkami.

Wewnątrz karczmy tała się jakowaś moc burzliwa a nieposkromiona, która wszystko, co przez drzwi weszło, natychmiast oknem wymiałała.

Nieżartem zafrasował się pan cześnik, odrazu domacawszy się: kto jest onego tumultu *auctor*. Dla pana Mleczki chandra bywała zawždy *periculosa* — nadewszystko, gdy miał podówczas trunku grzecznego obfitość. *In ordinario*, człek był stateczny i trzeźwy; wina pod miarę i raczej mało, niż wiele, zażywał— gdy wszakże okaza się zdarzyła i ogniste humory w sobie zapalił, Furyom pogańskim, lwom i żubrom rozwścieczonym stawał się podobien.

— Trojniak to działał, ani chybi! — pomrukiwał cześnik, kroku przyśpieszając. — Żyd, na własne nieszczęście, barylkę tęgiego miodu z piwnicy wytoczył. Uręczam, że już do cna wysuszona.

Zbliżającego się cześnika żydostwo hur-

mem otoczyło, całując po rękach, skarżąc się, biadając. Ale, że wszyscy razem mówili, nie wymiarkować nie mógł.

Z trudnością przeciskając się przez tłum wystraszonych brodaczków, wszedł pan Mokrzecki do izby. Wszedłszy, — osłupiał. Leżeli tam pokotem żydy i żydowice, jęcząc, gwałtując, trzymając się za głowy, za boki, za nosy...

Na środku izby, niby Samson wśród pobitych Filistyńczyków, stał rozjuszony Mleczko, cał inny niż zwykle, zdyszany, spotniały, pianę z ust toczący.

Przed pogromcą korzyła się jedna z ofiar: żydówka z przekrzywionym czepkiem, trzymająca w obu rękach gęś, świeżo zarzniętą i do połowy oskubaną, ze zwieszoną, długą szyją, z której krew na podłogę kapiała.

Ławy, stoły i stołki były w izbie powyracane, świadcząc o wielkiej furii, a większej jeszcze krzepkości pana Pafnucego.

Łaska to jeszcze Boska, że gwałtownik karabeli u pasa nie miał, w saniach oną pozostawiwszy.

— Rotmistrzuniu!... Cześcniczeńku!... — wykrzykiwał rezydent, idąc na spotkanie pana Mokrzeckiego, a zwykłej submisji na szczęt zapominając. — A bywaj, dobrodzieju! a pomóż!

W tymże momencie żydówka na kolana

padła przed przybyłym, krwawiącego ptaka z rąk nie puszczając.

— Jaśnie wielmożny! Jaśnie oświecony panie! — lamentowała. — Sprawiedliwościów dopraszam się od jaśnie wielmożnego kasztelana!

— Co się stało? — dopytywał cześnik, srodze namarszczony, choć mu się na śmiech nie żartem zbierało.

— Pozwól, rotmistrzu dobrodzieju... — mówił Pafcio niezupełnie wyraźnie, na wywróconym stołku ciężko siadając — pozwól... iż tak rzekę...

Ale przerwała onemu żydowica, na całą izbę krzycząc:

— To jest gwałt, jaśnie wielmożny wojewodo! Ja tego gęsia od naszego rzezaka przyniosłam... Rzezak mnie jego na koszer zarznął — żeby un buł zdrów... A jeżeli się z tym krwim troszkie talerza powalało, to jest o co tyle żydków zabijać?...

— Zabitych tu nie widzę... — zauważył pan Mokrzecki.

Żydówka wskazała na leżące dokoła ofiary.

— Niech uni sami powiedzą... Im samym jaśnie hetman fałszu nie zada...

— Aj!... Oj!... Aj-wej!... Zabił!... Ubił!... Na gołego śmierci zamordował!... — ozwały się zewsząd przeciągłe lamenty żydowskie.

Czeźnik ręką nakazał milczenie żydówce i jej towarzyszom. Natomiast powołał do głosu stronę drugą, to jest pana Mleczkę.

— Ha, ha, ha! — piekielnie zaśmiał się ów — ta zbrodniarka śmie twierdzić, że na talerzu była krew gęsi!... Niech czmuci głupich oszustka! Nie zwiodły żydy sędziów sandomirskich — i mnie nie zwiodą. W piekle poznam krew chrześcijańskiego dziecięcia, niewinnie zamordowanego!

— Niech trupem padnę! Niech szabasu nie doczekam! Niech moich dzieciów wielga choroba wydusi! — jeżeli ja miałam nawet pomyslenie o takie paskudztwo! — krzyczała żydówka, jedną ręką trzęsąc nieszczęsną gęś, drugą bijąc się w odkryte, rozmamane piersi.

Porwał się Mleczko, jakby go bąk uciął.

— Słyszysz, rotmistrzu dobrodzieju? Ta poganka śmie krew chrześcijańską paskudztwem mianować! Hej, szabli! Hej, półhaka! Trzeba z tem tałałajstwem raz koniec uczynić!

— Aj-wej-mir! — wrzasnął chór leżących izraelitów, i w momencie na nogi się porwawszy, do ucieczki się miał.

— Stójcie! — zagrzmi pan Mokrzecki swym rycerskim, rotmistrzowskim głosem. — Sprawa wyjaśnić się musi.

— Co tu wyjaśniać, rotmistrzuniu? Żyda

w łeb i kwita. Zaraz mu się w ślepiach jasno zrobił

Żydzi podnieśli na nowo takie lamenty, jakby ich ze skóry obdzierano.

Cześnik tupnął nogą, nakazując milczenie — potem, do rezydenta swego przystąpiwszy, za ramię go ujmie krzepko i w oczy bystro mu spojrzy.

— *Silentium!* — półgłosem, ale energicznie wyrzeknie. — Ustatkuj się waść, mości Mleczko, bo ja na wiolencye dalsze nie pozwolę. Wiadomo waści, jak Statut Litewski karze gwałtowników. Ja sam waści przed *forum* sądowe pociągnę, jeśli breweryi nie poniechasz.

Rozindyczony rezydent naczupurzył się i okoniem chciał stanąć, ale pod mocą wzroku cześnika — zmiękł.

— To czemu niedowiarki krew chrześcijańską żłopią? — oponował, z mniejszą już przecie pewnością siebie.

— Ani oni są w tem *jure victi*, ani waść urząd instygatorski reprezentujesz.

— Mogli w Sandomirzu niemowlęta zakławać, mogą i tutaj...

— Jeśli im tego *ad oculos* nie dowiedziesz, kalumniatorem sąd cię obwoła.

Poskrobał się pan Mleczko po łysinie, która parować zaczynała.

— Popelnili *infanticidium*, czy nie popełnili, a taki zawždy zbrodniarze. Któż, jeśli nie oni, Chrystusa Pana ukrzyżowali?

— Ja jemu nie ksziował, *ojf majne munes!* — zaklął się jeden żyd.

— I ja nie, ziebym tak ścięcie do handlu miał! — pośpieszył za tamtym drugi.

Trzeci usprawiedliwiał się głosem jęczącym:

— Zieby tak moje wrogi wiedzieli, jak ja nie wiem, co to jest za interes!

Pasya znów w rezydencie wezbrała. Zaczzerwieni się, porwie stołek i w żydów nim ciśnie.

— Ty, zbójju jeden — krzyczy — Chrystusowi Panu ćwieki w przenajświętsze ręce wbijałeś! Ty drugi octem i żółcią przenajświętsze usta poiłes! Ty trzeci Syna Bożego u słupa biczowałeś!

Nuż żydzi na kolana padać i krzyczeć:

— To jest fałsz! To jest plotka! Ja wtenczas na jarmarku we Mścibowie kozę sprzedawałem!

— Ja przysięgnę, co wtenczas po swojej Ryfce na bosakach siedziałem!

— Ja świadki postawię, co wtenczas miałem paskudnego wrzodu i wcale na bryczkie siadać nie mogłem!

Krzyk powstał ogólny, harmider.

W tym momencie wyszedł z alkierza sam

karczmarz — żyd tłusty, spokojny, zwykły kłótników i warchołów rozjemca. Uciszyli się inni, — on, zdjawszy jarmułkę, pokłonił się do samych stóp pana Mokrzeckiego i poważnie a z submisyą oświadczył:

— Dopraszam się łaski jaśniego kasztelana. Jaśnie wojewoda potrzebuje wisłuchać, co powie karczmarz, Icek Szkólnik. U mnie wsistkie bywają, więc ja wsistkie znam. Za tutejsze żydki ja ręczyć mogę, co uni tego interesu nie zrobiły. Uni są czyche, spokojne i patrzą jeno, gdzie tynfa zarobić. A jezieli jaśnie hetman chce wiedzieć, kto tego zrobił, to ja powiem. Tego zrobiły te paskudne bogate żydy z Wołkowyska — te apikojresy, co tref jedzą, krymków nie noszą i córki swoje po francuskiemu uczą. Uni do wsistkie łajdactwo zawdy gotowe.

Pociągnął pan cześnik wása, czoło rozchmurzył i kazał wszystkim żydom, potłuczonym i »zabitym«, mądrego karczmarza i żydówki z gęsią nie wyłączając, z izby ustąpić. Rezydentowi zasie swojemu zaordynował miskę śniegu, która wnet przyniesiona została.

Pan Mleczek musiał łeb gorący w on śnieg wnurzyć, czemu gwoli sam cześnik oburącz karku mu nagiął.

Remedium pomogło. Ogniste humory wy-

parowały, statek powrócił. Wytrzeźwiał gwałtownik, skonfundował się i uciszył.

Gdy mu jeszcze, po zimnych okładach, kazał pan Mokrzecki barszczu dać gorącego z octem siedmiu złodziei, do całkowitej przytomności przyszedł.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju — wyrzekł głosem ordynaryjnym, całe od poprzedniego inakszym — *mea culpa*, głupstwo się stało... trojniak winien, nie ja... Trza-by to jakoś ułagodzić... Wszystko zresztą *vanitas* — jeno mi o łaskę wielmożnego rotmistrza dobrodzieja chodzi, której utraty siarczyście się obawiam...

I całował cześnika w ramię, i pochylał się nisko, jakby za kolana objąć go chciał.

Nie dopuścił cześnik do niewłaściwej *inter pares* uniżoności, podniósł przyjaciela i po plecach poklepawszy, jowialnie rzecze:

— Na indulgencję moją, mości Pafciu, liczyć zawždy możesz, — wszelako bez pokuty się nie obędzie. Na oną pokutę pójdiesz waść do klasztoru...

— Pójdę, gdy każesz, panie mój i dobrodzieju. Radbym przecie wiedzieć: do którego?

— Innego pod ręką niemasz, jeno Wielbnych Panien Benedyktynek.

— Alboż panienki świętobliwe przyjmą do siebie starego hultaja?...

— Przyjmą, jeno się, mój miły, przyodziej

statecznie i reszty chmielu pozbądź. Za godzinę musimy już być u furty.

Nie wdając się w bliższe dociekania, pośpieszył Pafcio komendę rotmistrzowską wypełnić.

VI.

Wieczera u Panienek byłaby wyśmienita, gdyby nie to, że kucharz wszystkie potrawy zaprawił nadmiernie kanarem. Słodka była nawet kura pieczona; słodkie było piwo, którem przy stole *ad libitum* traktowano.

Mleczek, który słodkości nienawidził, jadł przecie i pił z rezygnacją, co moment oczy podnosząc do nieba, jakby mówić chciał:

— Przyjmij to, Panie, za ciężkie grzechy moje!...

Zresztą pomny niedawnych ekscesów, zachowywał się cicho i potulnie. Odpowiadał jeno na zapytania, i to półgębkiem. Cześnika to drażniło, ile, że w Pafciu miał jedyne przy stole kompana.

Siedzieli obaj, jakby w zagrodzie, którą od refektarza oddzielała przejrzysta ściana, — właściwie kratka z łąt drewnianych, naukos się krzyżujących. Wygodnie widziało się przez

nią wszystko, co się we wnętrzu klasztornej jadalni dzieje.

Przez czas wieczerzy, cisza panowała tam wielka, przerywana jeno szczękiem naczyń i monotonnym głosem zakonniczy, odczytującej na wzniesieniu »Żywoty Świętych«. Ale natychmiast po wstaniu od stołu, podniósł się gwar niemały, głównie przez nowicyuszki wszczęty. Pan Mokrzecki z kontentacją serdeczną rozróżniał w nim świeży głosik swej Hanusi.

Przyszła kolej na siurpryzę. Młode zakonniczki skupiły się dokoła przeoryszy, niby pszczoły przy swej królowej, i po rękach a ramionach całując, powiodły ją w głąbię, gdzie w dużej, głębokiej wnęce, oponą z białego płótna zasłoniętej, kryła się owa niespodzianka.

Pono tej niespodzianki pani matka dawno się spodziewała; zdobywając się wszelako na *pia fraus*, poznać tego po sobie nie dawała.

Posadzono przeoryszę przed zasłoną, na krześle szerokiem; przy niej zasiadły starsze matki. Młodsze siostry i nowicyuszki zbiły się nieopodal w oddzielną gromadkę.

Zaraz też najżywsza ze wszystkich Hanusia pociągnęła za sznurek. Zsunęła się opona i ukazały się, mnóstwem świec woskowych roziskrzzone, jasełka.

— Aaaa!... — przebiegło westchnienie podziwu wśród starszyny klasztornej.

Samą rzeczą, jasełka były piękne. Figury, w połowie przyrodzonej wielkości, wypełniały całą wnękę. Miejsce główne zajmowało Dzieciątko Boże, leżące na sianie. Klęczała obok Panienska Najświętsza, wpatrzona w Nie, jak w tęczę. Staruszek Józef wspierał się na kiju, a po obu stronach stały zwyczajne w takich okazjach bydlątka.

Blżej widza umieszczono pastuszków oraz króle wschodnie. Do nich fantazyja młodych autorek dodała: polskiego usarza w zbroi, senatora w deliui karmazynowej, chłopka białoruskiego w łapciach i... żydka w lisiem futerku.]

Gdy już się oczy starszych matek pięknem widowiskiem napasły, zasiadła przy małym organku siostra Marya od Krzyża i zagrała kolendę. *In tractu* tego, wół i osieł przyklęły, usarz jął poruszać skrzydłami, chłoppek czapkę zdjął z głowy, żydek padł placikiem na ziemię, a mały Jezusek wyciągnął rączki do góry, jak to czyni każde dziecko, z matką swą igrające.

Jeno senator w karmazynach nie drgnął nawet i stał dumnie wyprostowany, — w czem się krył trefny *symbolus*.

Ledwie organek zamilknął, młode siostry

wystąpiły naprzód i do przełożonej się zwróciwszy, zgodnymi głosami, z rzeźkością panięńską, zaśpiewały:

— Eja! po kolendzie, po kolendzie,
Niech wesoła każda będzie, każda będzie!
Zaśpiewajmy i zagrajmy,
Jejmość ksienię powitajmy —
Skrzyp, skrzyp, skrzyp, skrzyp... skrzyp, skrzyp,
skrzyp, skrzyp —
Skrzypce weźmy i wiołę,
Ciesz, ciesz, ciesz, ciesz... ciesz, ciesz, ciesz, ciesz —
Cieszymy się dziś w pięknem kole.
Niech zabrzmie wesoło nasza melodyja:
Wiwat nam Pan Jezus! wiwat i Marya!

Tyle było w tym śpiewie serdecznego animuszu, iż, rzekłbyś, cały klasztor od onego odmłodził.

Topniało serce cześnika z radości; nade wszystko, gdy myślał, że jego pierworodna jest główną tej imprezy działaczką. Rezydent także się rozpływał, nie okazując przecie tego po sobie.

Cóż dopiero, gdy siostra Marya od Krzyża, w muzykach wszelakich ćwiczona, ujęła skrzypce, nowicyuszka zaś pewna wiołę, i ze śpiewem świętobliwych panienek zespoliła się melodya smyczkowych instrumentów. Iście anielski to był koncert.

Rozochociły się śpiewaczki i strofa następna żwawiej jeszcze poszła:

— Wszak to dziś kolenda, dziś kolenda,
Jejmość ksieni kolendę da, kolendę da.
Nie próżnujemy, ale strójmy,
Koncertujemy, nie kontrujemy.
W ba, ba, ba, ba... ba, ba, ba, ba —
W basy, dudy i cymbały;
Pa, pa, pa, pa... pa, pa, pa, pa —
Pannie ksieni będziem grały;
Be, be, be... be, be, be —
Będziem grać pospoły,
Me, me, me... me, me, me, — menuet wesoly!

Tu sama wiola ze skrzypcami ozwała się świecką, taneczną melodyą, dla której w każdej innej porze roku mury klasztoru byłyby zamknięte. Ale uroczystość Narodzenia Bożego i dni, które po niej następują, cieszą się i pod tym względem osobliwymi przywilejami.

Na zakończenie, jedna siostrzyczka, największa z całego zgromadzenia figlarka, udając głos panny matki, zaśpiewała sama jedna, — rzekomo w odpowiedzi na usłyszane gratulacye:

— Eja! tu zebrane, tu zebrane,
Siostry moje ukochane, ukochane,
Zabawcie się i zagrajcie,
I wesoło zaśpiewajcie.
Daj, daj, daj, daj... daj, daj, daj, daj —
Dajno winka wikaryo,
Niech, niech, niech, niech... niech, niech, niech, niech—
Niech się siostrzyczki napiją!...

Przeorysza, chustki z rękawa dobywszy, rzekomo nos wycierała, ale była to jeno symulacya dla pokrycia wielkiej do śmiechu ochoty. Tymczasem śpiewaczka powróciła do chóru i znów wszystkie młódki społem zakrzyknęły:

— Wiwat jejmość ksieni, która nam tak sprzyja!
Wiwat starsze panny! wiwat wikaryja!
Wiwat dobrodziejka nasza, panna ksieni!
Wszystkie się kłaniamy jak najuniżeniej.

Już było trudno i przełożonej utrzymać powagę. Gdy się nowicyuszki powtórnie do całowania jej rąk posunęły, powstrzymać się nie mogła, aby ich nie szczypać w jędrne policzki, po plecach nie klepać, wespół z niemi nie chichotać...

Rozradowało się i roztrzpiotało całe zgromadzenie. A nie był to dziw żaden, zawždy bowiem wesołość z czystem sercem chadza w parze.

Jakby na zamówienie, zjawiała się sługa klasztorna z wielką tacą, na której stała butla wina, koszyk pełen pierniczków oraz mnóstwo maciusieńkich kieliszeczków. W momencie wino zostało w one naparstki rozlane, każda z zakonic swą szczupłą miarkę do kropli wysączyła, pierniczkiem zakąsiwszy. To była cała mięsopustna uczta czystych panienek,

które nawykły swe potrzeby cielesne byle czem zaspokajać.

Mimo to, wesołość była niezmierna, a śmiechy i niewinne żarciki huczały tak głośno, jak śpiewy ptactwa na wiosnę.

Zapomniały śmieszki o świeckich gościach za kratą — pamiętała o nich przecie siostra wikarya, której to zawczasu było zlecone. Dzięki jej, przed panem Mokrzeckim, zadość oną mięsopustną krotochwilą zabawionym, zjawiała się flaszka omszała, w kompanii dwóch kielichów, cale innego, niż tamte, panieńskie, kalibru. Z rozkoszą prawdziwą cześnik stwierdził, że to nie maślacz żaden, jeno rzetelny, wytrawny dębniak — zażył przeto tak grzecznego trunku *quantum satis*.

Towarzysz cedził szlachetne wino przez zęby, bowiem niedawny *abusus* przytępił w nim smak do rzeczy dobrych. Z oburzeniem i wzgardą niejaką przyglądał mu się pan Mokrzecki przez szkło swego kielicha.

Nagle ozwał się dzwonek na *silentium*...

Jak ptactwo, spłoszone wystrzałem, zamilkły w momencie siostry i matki. Ze wszystkich, młodych i starych twarzy znikła w mgnieniu oka pustota — powlokły się odrazu powagą surową. Zaraz też świętobliwe grono

rozpierzchło się na wszystkie strony i refektarz opustoszał.

Cześnik i rezydent opuścili klasztor, przez dziadka kościelnego boczną furtką wyprowadzeni.

VII.

Polatywał śnieg suchy. Białe płatki, roziskrzone słońcem, blizkiem zachodu, zdawały się pływającymi w powietrzu gwiazdkami.

W szerokich saniach, szeroko na siedzeniu rozparci, dążyli do mety swej: pan Mokrzecki z panem Mleczkim. I droga była na schwał szeroka, co się zowie rozłożysta, gdyż Bogu dziękować, ziemi na Białej Rusi nie brakuje i wązko krajać onej nie trza.

Z boku, od lewa, zacinał niekiedy wiatr ostry. Nie zważali nań jadący, wnurzeni w sowite, ciepłe niedźwiedzie, nogi mając kożuchem baranim okutane. Ale woźnica, milczący Białorus, często ku onemu wiatrowi głowę wykręcał, przekleństwa mrując.

Cześnik, odrobinę senny, odmawiał, kiwając się, modlitwy *pro defunctis*. Rezydent ciągnął cieniuchno pieśni nabożne.

Gdy już tamten swoje sześcioro »amen«

odmówił, zwrócił się ku Pafciowi, aby z nim o tem i owem podyskurować — co bywało jego zwykłą w podobnych okazyach zabawą.

Skarbcem wiadomości, studnią erudycyi był umysł pana Mleczki, gdy się doń właściwie dobrać umiano.

Doświadczony w tym względzie, cześnik zaczynał zwykle zdala od istotnego obiektu. I teraz zatem, przeciągle ziewnąwszy, bąknie:

— Zanocować nam przyjdzie, czy co?

— Jak wola pana rotmistrza dobrodzieja — potulnie zauważył rezydent.

— Nie wiem-ci po prawdzie — jakie w tej okolicy zajazdy...

— Jakieżby? Żydowskie.

— Mówią, że chrześcijaninowi u żyda nocować *periculosum est*.

— Bo i prawda! Niewierny urodzonym jest wrogiem chrześcijanina. Zawždy na zgubę jego dybie.

— Słyszałem wszelako, serce, od rabina jednego, że co mówią nasi o ich Talmudzie, kalumnią jest...

Rzucił się Pafcio, jakby go żmij ugryzł.

— Do rabina o Talmud, to tak właśnie, jak do cygana o skradzionego konia.

— Jaż nie mówię, duszo, żem mu powierzył. *In dubio* dotąd zostawam.

Wędę dobrze zarzucono — połknęła ryba haczyk.

Pan Mleczek głowę z futra wysunął — perorować jął:

— Przeniknione już są, mości rotmistrzu dobrodzieju, szatańskie tajniki Talmudu. Za sprawą takich godnych mężów, jak Achacy Kmita, Pruszcz, Kwiatkiewicz — że obcych pominę — wiemy już, co tkwi w onych księgach, ongi na siedm pieczęci zawartych. Jakże żydy mogą chrześcijan miłować, jeśli Boga ich mają w nienawiści i obrzydzeniu! Alboż nie nazywają Chrystusa Pana *Jeschaj*, co znaczy: oszust; *Tholin*, czyli: człowiek podejrzany i *Nozere*, to jest: zwodziciel ludu? Mówią o Nim i grubiej, ale się tego katolikowi powtarzać nie godzi. Nie na tem koniec ich niegodziwości. Matka Najświętsza u nich *Thlua*, to znaczy: katówka; albo *Thmoa*, to jest: ze wszelkich niecnót znana. Kościół chrześcijański mianują *Moschoft* albo *Beskisse*, to jest: dom bałwochwalstwa lub plugastwa. A Przenajświętszy Sakrament, w którym Ciało i Krew Syna Bożego utajone, pogańska ich paszczyka śmie nazywać chlebem nieczystym, *Lechemtchame!*...

Z wyteżoną uwagą słuchał pan Mokrzecki swego rezydenta, admirując obszar i głębokość jego wiadomości.

— A jak tam, Pafciu serce, stoi sprawa z ich Mesyaszem? — ciekawie zagadnął.

— Wciąż na onego czekają, rotmistrzu dobrodzieju. Chodzą i jeżdżą po świecie całym, upatrując swego zbawcy, który ma rządy nad ziemią całą w ręce im oddać.

— A po czemże, duszo, będą mogli poznać, że to Mesyasz prawdziwy, a nie oszust i szachraj, o których u nich nie trudno?

— O! nie brak im na to sposobów, których, jak twierdzą, jeszcze ich prorok Eliasz był nauczył. Dziesięć ich jest, mości rotmistrzu, a jeden od drugiego mądrzejszy. *Ergo*, według mędrców onych, takie być mają znaki przyjścia mesyaszowego. Najpierw, urodzi się osieł pstry, na sierci swej sto różnych maści liczący — bowiem na takowym jeno Mesyaszowi jeździć się godzi. Powtóre, zjawi się król, srogi żydów prześladowca, od Hamana tysiąckroć gorszy. Po trzecie, pieniądze ginąć zaczną bez śladu, nawet z pod zamknięcia. (Pono odnajdzie się je łącznie u lichwiarzy i złodziejów żydowskich). Po czwarte, drożyzna nastanie tak wielka, że dla chorego małej rybki nie będzie można dostać. Po piąte, w rzekach i w morzu woda wyschnie i w proch się obróci. Po szóste, przyjdą upały tak nieznośne, że ludzie przeklinać Stwórcę swego będą.

Po siódme, Saracen albo Turczyn niektóry, przy jedzeniu, języka sobie nadkąsi. Po ósme, rzeka Sabasson od wschodu wysychać zacznie i suchem jej łożyskiem wyjdzie na świat pokolenie Dan, z olbrzymami: Gogiem i Magogiem. Po dziewiąte, wszystkie dusze, przez Boga stworzone, na ziemię zostaną wysłane. Wreszcie, po dziesiąte, znajdzie się taki mądry żydek (napewno z naszej Smorgoni!), co załata dziurę w niebie, którą Stwórca umyślnie zostawił, aby przez nią wszedł do nieba człowiek, chcący być równym Bogu.

Słuchał cześnik uważnie swego rezydenta, ani się śmiejąc, ani zbytnio się przejmując — z tem leniwem posłuszeństwem, z jakim słuchamy w lecie szumu deszczowego, gdy się nam na sen zbiera. Stale wszelako pełen był podziwu i weneracyi dla iście magistralnej mądrości Pafcia.

Tymczasem zmierzchać zaczęło, wiatr się wzmógł, śnieg zgęstniał i zmiękł. Już się płatki nie osypywały po odzieży, jak piasek, lecz do onej przylegały.

Tuman śnieżny rozbielił całą przestrzeń, co przy ciemniejącem niebie, tworzyło osobliwe *contrastum*.

Woźnica wciąż był frasobliwy i zły. Konie popędzał, nie szczędząc wymysłów; zerkał też co moment to w bok, to za siebie.

— I kruki lecą... — mruknął znagła płaczliwie, a tak głośno, że go jadący dosłyszeli.

— Dziw! — zaśmiał się wesoło pan Mokrzecki.

— Za nami, panie, lecą... — powtórzył chłop, wielkiej, lisiej czapy poprawiając.

Cześnik śmiać się nie przestawał.

— Drugi dziw! — jowialnie zawołał. — A trzeci dziw, największy, że wszystkie czarne.

Mleczek powagi nie pozbywał.

— Podczas i białe być mogą — tonem mentorskim wyrzekł.

Obrócił się doń całą twarzą pan Mokrzecki.

— Widziałeś kiedy takiego, Pafciu?

— Widziałem, rotmistrzu dobrodzieju.

— Gdzie, serce?

— W Gwoźdźcu, u jegomości pana Kalinowskiego, starosty winnickiego. Zastrzelony był, wypchany, jak się patrzy i postawiony w księżnicy starościńskiej obok wilka, który znowu, w opozycyi z nim, całe czarnej był maści. Znajdował się pod onym napis łaciński, którego dobrze nie pomnę, sens przecie miał takowy, że owo ptaszyszko było *plumis cygnus, corpore corvus*.

Pokręcił głową cześnik i znów ją we futro niedźwiedzie wtulił.

A pan Mleczek dalej perorował:

— [Prawda, że osobliwość to wielka — znam przecie sekret, żeby się wszystkie kruki białymi lęły. Trzeba jeno krucze jajo mózgiem kocim wysmarować i pod białą kurę, na miejscu zimnem, podłożyć...]

— Próbowaleś, duszo?

Pan Pafnucy ramionami wzruszył.

— Na co mi to! Albom to ja Alfons, król sycylijski, co kruki białe dla zabawy chował?

Zerwała się wichura, całemi płachciami rzucając śnieg na konie i na ludzi. Niebo zgoła już pociemniało — od pól jeno białych szło trochę światła. W drzewach przydrożnych słychać było świsty, zapowiadające burzę śnieżną.

— Przy pierwszej karczmie staniesz! — rozkazał cześnik woźnicy.

Świsty wichru stawały się coraz słabsze, w miarę jak się więcej drzew przy drodze jawiło. Wrychle wielkie sosny otoczyły jadących — wjechali w las, gdzie już było zaciśnie. Szumiało przecie górą, między wierzchołkami, jakby rozkołysane morze, a przeciążone śniegiem gałęzie z trzaskiem się łamały.

Choć konie bokami robiły, woźnica nie przestawał popędzać ich a kłać.

— Kab was wouki sjeli!... — co moment powtarzał.

Obruszył się na chłopą pan Mokrzecki.

— [Licha, braciszku, nie budź — upomniał — wilka z lasu nie wywołuj!]

Do towarzysza zwracając się, dodał:

— Oby jeno do nas nie dopytały się te drapieżniki! Wiesz, Pafciu? nie tak mi straszny Turek i Tatarzyn, jak przeklęte wilczy-sko. Zawszem miał do tych rozbójników odrazę — nawet mi się nigdy polować na nie nie chciało.

Pan Mleczek, w którym dziś duch przekory siedział, odburknie na to:

— [Nie tak czarny dyabeł, jak go malują.] Mianowali ludzie wilka rozbójnikiem, a on przecie podczas i świętym być potrafi...

— Cóż-bo wygadujesz, Pafciu-serce!...

— Nie wygaduję, jeno powtarzam uczonych dziejopisów naracyę. Alboż przy ściętej przez pogan głowie Świętego Edmunda, króla angielskiego, wilk straży nie trzymał, w łapy oną ująwszy? Nie wspomnę o Romulusie i Remie, przez wilczycę wykarmionych, boć o tem każdemu pauprowi wiadomo. Ale może i rotmistrz dobrodziej jeszcze nie słyszał, że świętobliwym pustelnikom wilcy jako psi służą, z ich ręki jedzą, a nocami przed chatką legają, od zbójców strzegąc?...

Kręcił cześnik głową z wielkiego zdziwienia.

— Uręczam cię, Pafciuniu — mówił — że gdyby powiedział mi to kto inny, w żywe oczy łgarzem i kpembym go nazwał.

Mleczek ciągnął, na uwagi nie zważając:

— [Fortele ma wilk nie gorsze od człowieczych. Gdy konia się czepi, mógłby ów, jako mocniejszy, łącno go odrzucić — ile, że wilk głodny bardzo jest lekuchny. Cóż więc czyni bestya, żeby przyrodzony swój ciężar zwiększyć? Oto ziemi, szczerzej ziemi, obżera się i cały żywot oną napycha. Dopiero, gdy zmęczone konisko padnie, wilk je zagryza i wszystką ziemię z wnętrza wyrzuciwszy, z końskiego mięsa ucztę sobie wyprawia.]

— No, no... Ho, ho... Dziwy nad dziwami!

— A dołożyć też muszę o wielkiej animadwersyi między wilkiem i baranem — która jak jest zawzięta dowodzi to, że one stworzenia jeszcze po śmierci antypatyę do siebie czują. Ktoby na jeden instrument strunę wilczą i baranią naciągnął, przekona się, że gdy struna wilcza gra, barania milczy, jakby jej nie było. Żebyś waszmość nie wiem jak smykiem po onej piłował, ani beknie. Na kotłach zasie, *alias* bębnoch, jeśli na jednym będzie skóra z wilka, na drugim z barana, gdy kto na wilczej zabębni, barania *immediate* puka się od strachu wielkiego...]

Pan Mokrzecki już się nie dziwował,

a pono i nie słuchał, wielce czem innem zatrudniony. Noc zapadła — w lesie było już nie ciemno, lecz czarno. Jeno zaśnieżona droga kęs się biała, niby płótno, przez wiejskie niewiasty na łące rozciągnięte.

Coraz gwałtowniejszy szum i trzask w górze, a także spadające co moment na drogę gałęzie znać dawały, że burza śnieżna nie ustaje, owszem, jeszcze się bardziej rozszroiła. Śnieg wszelako nie zasypywał teraz jadących, konary bowiem starych drzew, splatając się u wierzchołków, tworzyły sklepienie, pod którym sanie bezpiecznie pomykały, jakoby pod baldakimem.

Cześnik głowę wytknął z futra, kręcił nią w prawo i w lewo — nasłuchiwał, nosem pociągał, wzrok wyteżał.

— Słysz! — krzyknął nagle na woźnicę. — Czy ty aby dobrą jedziesz drogą?

Chłop długo myśli ważył — wreszcie tonem głębokiego przekonania odrzecze:

— Musi być, co nie, wielmożny panie.

— Więc cóż będzie?

Chłop, po długim milczeniu, tym samym tonem:

— Nie mogę wiedzieć, wielmożny panie.

— Bodajeś zczesz! — zaklął cześnik. — Kiedyś durny, to konie będą od ciebie mą-

drzejsze. Puść im wodze — niech same drogi szukają.

Już teraz o prędkiej jeździe mowy być nie mogło. Konie posuwały się krok za krokiem, jakby drogę przed sobą macając — podczas i zgoła stanęły, nozdrzami niespokojnie prychając.

Woźnica, przetrawiwszy w myśli doznaną zniewagę, uznał za dobre podzielić się nią z kim innym. Więc huknął na konie z pasyą niezmierną:

— Ha!... ho!... hu!...

A potem zaraz:

— Kab wy zdochli!... Kab was wouk sjeł!... Kab z was szkóru stiahnuli!...

Nic to nie pomagało. Sanie posuwały się leniwo, potykając się co moment o wystające z pod śniegu gałęzie i korzenie. Konie bez przerwy prychały, daremnie drogi właściwej szukając.

Nagle, z prawej strony jadących, ukazały się między drzewami światelka.

— *Laus tibi, Christe!* — zawoła z otuchą pan Mokrzecki. — Widać wieś jakowąś — do niej prosto zmierzajmy. Baby warzą wieczrę, to i nam głód nie dokuczy. Nie zginiemy, Pafciu-duszo!

Ale panu Mlecze cale do wesołości nie było.

— Mości rotmistrzu — *solenniter* wyrzekł, głosem nieco zciszonym — przypatrz się waszmość lepiej onym światłom — *error* swój poznaj...

Samą rzeczą, że światełkami działo się coś osobliwego. Poruszały się to w dół, to w bok, to do góry, i równo z saniami posuwać się zdawały.

Zrozumiał cześnik, co się święci.

— Wilki... — szepnął głosem strwożonym.

I zaraz: do pistoletów, do rożka z prochem, do zamknięcia skórzanego, w którym chroniły się rusznice. Jedną strzelbę i jeden pistolet wziął dla siebie; drugą takąż parę ofiarować chciał towarzyszowi. Ale pan Mleczek broni nie przyjął.

— Co mi po niej! — ramionami wzruszył. — Mam dobre krzesiwo — wystarczy!

Więc zbywającą rusznicę oddał cześnik woźnicy.

— Konie ściągnąć krótko! — tonem rotmistrzowskim zaordynował. — Strzedz, żeby wilczyśko do gardła nie sięgnęło. Bata nie szczędzić. Lepiej kark na drodze skrócić albo łeb o sosnę rozbić, niż być przez bestyę pożartym. Zdarzy-li Pan Bóg, że z tych opałów wyjdziemy, przy pierwszej chałupie, a bodaj i w czystym polu, stanąć, konikom dać wy-

technąć. Gdy się wilk zbyt poufale zbliży — strzelać. Baczysz?

— Baczę, wielmożny panie.

Chłop ujął broń ręką wprawną. Przy puszczy mieszkał — strzelać mu nie nowina.

Po chwili mruknął:

— Licho po tem! Wouka wołał, wouk jest. Bóg skarał — człowiek nie poradzi...

Pafcio zasie zaklinał:

— Nie strzelaj, rotmistrzu dobrodzieju, złego ducha nie budź. Cóż wilki? — stworzenia Boże, jako i inne. Dla złośników, złe — człowieka dobrego w spokoju ostawiają.

Tymczasem napastnicy tak się już zbliżyli, że słyhać było kłapanie paszczek i oddech zziajany. Cześnika korciło plunąć im w ślepie ołowiem, ale go rezydent całą siłą od tego wstrzymywał. Zresztą sanie śmigają chyba — wilki nadażyć nie mogą, w tyle przyzostały.

Dopiero, gdy wódz stada zrównał się z jadącymi, Mleczo chwyci krzesiwo i iskry gęsto się posypią. W tymże momencie wilk zawył i od sań odskoczył.

Niebawem natarcie się powtórzyło. Znow je przecie *ejusdem modo* odparowano.

Było tego kilka i kilkanaście razy, a pan Mleczo swego krzesiwa tak mądrze zażywał, że iście siarczystym strzelało ogniem.

Wilczyska uderzyły w lament, te zaś ich

antyfony cale niemiłą były dla ucha muzyką. Stawały się też co moment natarczywsze, wyskakiwać nawet jęły przed konie, i pan Mokrzecki aż zębami zgrzytał z pasyi, że mu zuchwalców poskromić nie dawano.

Zestrachane rumaki rwały, jak wściekle; sanie, korabiowi na fluktach wzburzonych podobne, trzęsły się, chyliły, grożąc lada moment wywróceniem. Że się ich wiązania nie zerwały, że same nie rozpadły się i jadących nie wywróciły — cud to był Boski i sprawa Najświętszej Panny Boruńskiej, której pan Mokrzecki siebie i towarzyszków swych ofiarował.

Gdy tak pędzą na złamanie karku, najtęższy z wilków, wysforowawszy się naprzód, rzucił się na konia i bodaj, że mu kły w mięsie zatopił. Szarpnie się koń i w górę skoczy z kwikiem bolesnym...

Nadto było tego i jużby tu żadne perswazyje Pafcia nie pomogły. W momencie, i cześnik, i woźnica złożyli się — huknęły dwa wystrzały — wilczysko, kozła wywinawszy, przewaliło się w śnieg bez życia.

Straszliwem, krew mrozącem wyciem odpowiedziała reszta bestyj na to powitanie. Zapanowała potem cisza. Wilki oszołomione w miejscu stanęły — zaraz jednak puściły się w pogoń ze zdwojoną wściekłością. I Bóg

wie jakby się to nowe natarcie było skończyło — na szczęście, drzewa w tem miejscu zaczęły rzednąć, wiatr niehamowany owiał jadących, stało się zimniej lecz i jaśniej, i sanie, w szalonym pędzie, wybiegły z kończącego się lasu na czyste pole.

Rozzuchwalone stado i tu pościgu nie zaniechało. Wilki kupą zbitą gnały za saniami, krwi ludzkiej pożądataj.

Dopieroż pan Mokrzecki zacznie w oną kupę szyć, strzelając z jednej rusznicy i z drugiej, i z pistoletów obu. Z nabijaniem broni ledwie mu wprawny chłop mógł nastarczyć. Okropnych skomleń, szczeków, zawodzeń, charkań, jakie wówczas się ozwały, nie słyszała pewnie i otchłań piekielna...

Krew obfitymi strumieniami śnieg zafarbowała — mimo to rozjadłe wilki jeszcze przez kilka staj po trupach towarzyszków pędziły za saniami, krwi i zemsty łakome. Wróciły wreszcie do lasu, onieśmiałone widokiem białej, pustej równiny.

Odetchnął pan Mokrzecki i, dłonie złożonywszy, modlitewkę odmówił dziękczynną. Uczynił to samo i woźnica. Jeno Pafcio mamrotał coś pod nosem, co z nabożeństwem związku żadnego nie miało.

Obruszył się cześnik.

— Spoganiłeś się widzę, Pafciu-nieboże —

z rankorem wyrzekł. — Pan Bóg i Przenajświętsza Panienska Boruńska życie nam ocalili, a ty...

— A ja, mości rotmistrzu dobrodzieju — żywo przerwał pan Mleczek — wstydzę się w tym momencie imienia wzywać Boskiego...

— Czemu?

— Jakto? Po przelaniu potoków krwi? po spełnieniu tylu zabójstw?

— W obronie życia, Pafciu - serce. Nie wąż, że mi mój spowiednik rozgrzeszenia udzieli. Lepiej, pono, zabijać bestye drapieżne, niż Bogu ducha winnych żydków...

Zrozumiał przytyk jegomość Mleczek i zamilkł.

Tymczasem, za ledwie z jednym niebezpieczeństwem stał się koniec, przyszło natychmiast drugie. Burza zawiąła śniegiem drogę, z której oddawna się zbito. Sanie błądziły po białej, bezkresnej równinie, niby po morzu śnieżnym.

Gdyby to był dzień, możnaby się było kierować słońcem; gdyby noc bezchmurna — gwiazdami. Ale niebo miało czarność węgla, i nietylko na niem, lecz i na ziemi, światelko nie błyskało najmniejsze.

Sanie to uderzały o głaz, śniegiem zakryty, to grążyły się w zdradzieckim dole -- groźba

kalectwa, może i śmierci, wisiała nad podróżnymi.

Odechciało się panu Mokrzeckiemu zagadywać; odechciało się rezydentowi odpowiadać; nawet woźnica kląć przestał.

Pędzili na oślep, wśród ciemności nieprzeniknionych, zdając się na instynkt koni, mądrzejszych podczas od człowieka.

Niekiedy, w oddaleniu, jawił się im mały ogieniek, podobny do okna chaty, w której warzą wieczerzę. Cześnik ku onemu kazał konie kierować, choć woźnica głową kręcił i spluwał...

Jechano staję, jechano dwie i trzy — aż nagle ogieniek zniknął, jak zdmuchnięty.

— Tfy!... — zżymał się pan Mokrzecki — bis tumanami nas mroczy!...

I kreślił liczne krzyże w powietrzu.

A ledwie jeden majak zagasnął, jużci drugi i trzeci, to tam, to sam, wyiskrzały się na jadących.

— Propadi!... — szeptał chłop, potrzykroć się żegnając.

Już i zimno dojmować zaczęło. Wiatr, jak szydłem, grube futra przenikał. Gdzieś daleko wilcze lamentsy się rozlegały.

Otrząsał się pan cześnik raz po raz, i pacierze mrucał, to polskie, to łacińskie.

Długo tak bładzili, strachu śmiertelnego

pełni, aż zaświeciła im w oddaleniu, wprost przed nimi, gwiazdka maleńka, całe do tamtych niepodobna. Prosto ku onej gwiazdce sunęli, a ona ani gasła, ani miejsca nie zmieniała. Maluczko, a obok tej pierwszej, zjawiała się druga, na jednej z tamtą linią. Im się zaś bardziej do onych gwiazdek zbliżali, tem więcej ich przybywało. Należały jakby do jednej konstelacyi, która się tuż przy ziemi sznurem równym rozsypała.

Otucha w serca ichmościów wstąpiła.

— *Laus tibi Christe!*... — wzniosł cześnik oczy do nieba. — Nie zginęliśmy. Widać zaścianek, albo i wieś, jak się patrzy. Już mię zalata aromat kaszy ze szwedami, którą, da Bóg, pożywać wrychle będziemy.

Mleczek mruknął coś, co mogło być tak dobrze przytaknięciem, jak zaprzeczeniem. Wszystko mu teraz zdało się niepewnem, wszystko miał *in suspicio*.

Ale po czasie niejaki i on fantazyi lepszej nabrał. Z bliższej odległości, już się w onych gwiazdkach łącznie dostrzegać dawały oświecone od środka okienka. Później jeszcze, zamajaczyły niewyraźnie dachy i kominy domostw. Reszta w mroku tonęła.

— Albo to będą Wilejsze Bobrowiczów — zauważył cześnik, wzrok wyteżając — albo Gieruciowo Kołupajłów...

Zasepiony Mleczeko poprzestał na mrucnięciu:

— [Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Babińskie Karczmy!]

Tymczasem sanie, już teraz po gładkiej drodze szorujące, dotarły do jakiejś rzeczki, przesunęły się po jakowymś moście i wpadły w uliczkę, gdzie po bokach sterczały jakieś niskie dominy...

Posuwali się teraz wolno, upatrując karczmy, zajazdu albo człowieka, któryby do nich drogę wskazał. Choć jednak zamieć była tu słabsza, niż w czystym polu, żywego ducha nie dostrzegało się w uliczce. Dopiero po pewnym czasie, zaskrzypiał śnieg pod czyjemiś stopami, i jadący ujrzeli wlokącego się od chaty do chaty dziadygę, z wysokim w ręce kosturem.

Stały sanie — pan Mokrzecki zakrzyknął:

— Słysz! Jak się ta wieś nazywa?

Dziad zatrzymał się i pokornie oznajmił:

— Niech będzie pochwalony... Ojciec nasz, któryś jest w niebie... Wieczne odpocznienie racz im dać Panie... Jaka znów wieś?... Przecie każdy dzieciuch wie, że to — Mścibów.

— Mścibów?! — wykrzyknęli razem cześnik i woźnica. — Po wertepach ciągał nas bis — jakżeśmy do Mścibowa trafili?...

— Nie bis, jeno anioł — zaprzeczył Mle-

czko. — Jest ci tu krewniak mój — on nam zginąć nie da.

I zaraz, do dziada się zwracając, o pana Ignaca Okulicza zapytał.

— Znam-ci go, znam... Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... A chtëźby go zaś nie znał? Gadajom, co świenty — choć się bida przy onym nie pożywi... Teraz i w godzinę śmierci naszej...

— Tak i gadaj: gdzie mieszka?

— Między niewiastami... Owoc żywota Twego... Prosto nosa trza jechać, wielmożni dobrodzieje; potem krzyne z prawości do lewości... Począł się z Ducha Świentego... umarł i pogrzebion... Tam bendzie kościół śliczny, a podle kościoła cmyntarz... Umenczon pod ponckim Piłatem... Na cmyntarz nie trza, ino nawrócić z lewości do prawości, to tamoj bendzie uliczka, wonziuchna taka... Wstompił do piekłów...

— Aha! — mruknał Mleczeko — »po drodze mu było...«

— Co tu wiele gadać — zniecierpliwił się pan Mokrzecki. — Siadaj, dziadu, na sanie, jedź z nami i ukaż.

Więc dziad siadł, pojechał i ukazał.

VIII.

Już od pół godziny cześnik z rezydentem dobijali się nadaremnie do zamkniętych drzwi jegomości pana Ignaca Okulicza. Zimnem i głodem znękani, dobijali się ze wszystkiej mocy, aż łoskot szedł po całym miasteczku, budząc psy podwórzowe, które żałośnie wyły. Nikt wszakże z mieszczan znaku życia nie dawał.

Nizki i skromny był dworek pana Okulicza. Wciśniony pomiędzy żydowskie, krzywe budynki, sam był krzywy, i ganek na krzywych miał słupkach, i okna krzywo patrzące, i dach pokrzywiony — owo zgoła ze samych krzywości się składał. Bóg jeno raczy wiedzieć: jakim cudem kupy się to wszystko trzymało.

Stary już był imćpan Okulicz, bezdzietny i bezżenny. W młodości promował się na księdza, coś mu w tem przecie przeszk-

dziło — pewnikiem jakowaś *puella formosa*, której ślepki zawždy bywają celibataryuszom niebezpieczne. Potem służył kęs wojskowo i przy palestrze się wieszał, aż grosza uciuławszy, kupił dworek i osiadł w onym na dewocyi.

Już byliby stukający odstępili, rezygnując bodaj w alkierzu żydowskim noc przemęczyć, gdyby nie okoliczność, że ze dworka, przez szpary w okienicach, mdłe światło się sączyło — dowód, że ktoś tam czuwa jeszcze.

A nuż mieszkaniec dworka zachorzał? A nuż, *quod Deus avertat*, w opuszczeniu ostatnia przyszła nań meta?

Niepokój o krewniaka dodał panu Mlecze wytrwałości. Coraz mocniej ciężką kłamką łomotał; coraz energiczniej pięścią we drzwi uderzał.

Aż nareszcie ozwie się wewnątrz słabe jęczenie.

Vade... Vade... — przemawiał ze środka jakiś głos bolejący.

Cześnik i rezydent nadstawili uszu.

— *Vade retro...* — głos powtórzył.

— Cóż to? — dyfamacya? — mruknął z gniewem pan Mokrzecki. — Odprawiają nas ode drzwi, jak natrętów?

Mleczek molestował:

Otwórz, Ignasiu dobrodzieju. Bardzośmy

snu i pożywienia głodni. Szlachcic jesteś — nie pozwolisz przecie, by bracia szlachta, jako psi, na dworze stać miała. Otwórz, Ignasiu! Otwórz, braciszku!

W odpowiedzi rozległ się jęk głośniejszy i jakby pogroźką zaostrzony:

— *Vade retro, sathanas! Apage! apage!*

Rezydent podniósł głos:

— Widzę, że mię nie poznajesz. Jestem Mleczek, Pafnucy Mleczek, twój krewniak i *amicus*...

— Antychryst! — wrzaśnie Okulicz głosem strasznym.

— Za kogo mię bierzesz? — skarżył się Pafcio. — Polak jestem dobry, chrześcijanin, katolik.

— Chrześcijanin chrześcijanina słowem pozdrawia Bożem, a wy...

— A my, braciszku, od zimna i głodu ledwie językiem w gębie obracać możemy. Czyż wątpisz, żeś twój krewniak, którego matka była rodzoną twojej matki siostrą?

— Szatan różne przybiera postacie — mógł się i w siostrzana matki mojej przedzierzgnąć. Dowodu mi trzeba.

— Wpuść nas jeno — szkaplerze tobie poświęcane ukażemy...

— Nie puszczę, aż mi tu zaraz, bez zająknienia, *Credo* odmówicie!

Nie było rady. Najpierw Mleczko, po nim cześnik, zębami od zimna szczękając, wyrecytować musieli »Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego...«

Dopiero teraz odsunięto zawory, odczepiono łańcuchy i drzwi otwały się, wpuszczając przybyszów do środka.

Ukazał się gospodarz, człek haniebnie wysoki a chudy i przygarbiony, w tułubie z wytartego futerka, z bosemi stopami, z nosem ekstraordynaryjnie długim, na którym spoczywały wielkie, w rogowej oprawie, okulary.

Trzymał ów chudzielec w ręce świeczkę łojową bez lichtarza i ona, bez żadnych cegieł, przysuwał kolejno do twarzy swych gości. Dopiero po tych oględzinach, wejść im do izby gościnnej pozwolił.

Była ta izba do kapliczki kościelnej podobna — cała obrazami Świętych zawieszona, przed którymi lampki gorzały. Przy drzwiach naczynie z wodą święconą; po stołach czarne krucyfiksy; w jednym z kątów, na postumencie, figura Przenajświętszej Paniienki, roboty nieco przygrubej, z drzewa wyrzezana, farbami różnemi pociągniona. W powietrzu jakby aromat kadzidła kościelnego, ze zbutwiałością wilgotnego domostwa zmieszany...

— Siadajcież, dobrodzieje — zapraszał

dość obojętnie pan Okulicz, knoty w lampkach poprawiając.

Łacno było zaprosić, trudniej zaproszenie spełnić. W izbie siedzeń żadnych nie widziało się, okrom jednego zydła, na którym szmaty jakoweś leżały.

Poruszył pan Pafnucy one szmaciska, aż z nich koczur wyskoczy morengowaty, ze srodze zadartym ogonem, i miauczeć weźmie przeraźliwie.

— Przestraszyliście, dobrodzieje, mego Melchizedecha — mruknął z wyrzutem Okulicz, i dalej przy lampkach majstrował.

Pan Mokrzecki wąsa na dół ciągnął i chrząkał, zły, jak chrzan. Mleczko głosem cierpkim zauważył:

— Już też, braciszku, wyznać trzeba, że tobie reguła »gość w dom, Bóg w dom« cale obca. Wskaż nam jakową gospodę, a wraz się stąd zabierzemy, w dewocyach tobie nie przeszkadzając.

Zafrasował się kęs gospodarz, w łysą głowę się podrapał...

— Pozwólcieź, dobrodzieje... W ukropieście, widzę, kąpieni... Przywołam Dosię — ona wszystko uładzi...

Obejrzeni się przybysze za Dosią — w mieszkaniu przecie ani śladu niewiasty nie było.

— Dosia — zciszonym głosem oznajmił

Okulicz — mieszka po drugiej stronie. [Złośliwość ludzka nie zna granic... »Złe języki są jako żądła węzowe« — powiedział Święty Tertulian.]

Wetknął stopy w pantofle i kłapiąc niemi, do sieni wyszedł.

Cześnik i rezydent zamienili wymowne spojrzenia. Gdyby nie głód, chłód i znużenie, pewnieby nie wstrzymali się od śmiechu.

Przyszła Dusia. Goście, którzy spodziewali się niewiasty urodziwej, ujrzeni wiedźmę bezzębną, na jedno oko ślepą i w opozycji do pana Okulicza, niepomiernie tłustą a przysadzistą. Nawet Święty Tertulian — pomyśleli — nie uwierzyłyby, że ta białogłowa stać się może komu przeszkodą do zbawienia...

Stara spojrzała na gości z podełba, takim wzrokiem, jakby mówiła:

— A was, urwipołcie, ki dyabeł tu przyniósł?

— Proszę cię, Dosieńko — słodko przemówił Okulicz — pomyśl, panienko moja, na czymby ichmoście sięść mogli?

Baba w milczeniu wysunęła z kąta kufer, skórą obity. Siedli goście, wzdychając. Cześnik zwrócił się nieśmiało do jejmościanki:

— Gdyby tak chleba kęs... strawy jakiej ciepłej łyżkę... Zapłaciłbym sowito.

Dosłyszał te słowa gospodarz — o klejnocie swoim sobie przypomniał.

— Jeszcze tego, dobrodzieje moi, w naszej sławnej Rzeczypospolitej nie bywało, żeby szlachcicowi za gościnę płacić. Dosiał cośkolwiek ichmościom na głodny ząb podaj. Wybaczcie, dobrodzieje, że marcypanów nie postawię. Ale czem chata bogata, tem rada.

Po dłuższym czasie, [pojawiła się na stole flaszka ze śmierdziuchą, szoldry kawał, czarny chleb i serek twardy, jak kamień.] [Głodnemu wszystko smaczne.] Goście zmiotli szynkę i ser, po kilkakroć też po flaszkę sięgali.

In tractu tego, gospodarz, nogę na nogę założywszy i chudą, kańciastą brodę na dłoni wsparłszy, przypatrywał się im w milczeniu, pilnie o czemś medytując.

Gdy jeść skończyli, zagadnie:

— Czyście już, dobrodzieje moi, *jego* widzieli?

Pytanie było tak niespodziane i enigmatyczne, że obaj goście *obstupuerunt*.

— Siła ludzi widzieliśmy na świecie... — odrzeknie cześnik z atencją, gospodarzowi przynależną — nie wiemy, o kogo *singulariter* waszmości panu chodzi? Jeśli się to tknie Mścibowa, jawił tu się nam jeden jeno włóczykij, z torbą dziadowską i kosturem.

Okulicz krzywił się i głową kręcił, znać dając, że go nie rozumiano.

— Wyeksplikuj się wyraźniej, bracie dobrodzieju — prosił Mleczeko.

— Co tu eksplikować! — mruknął z gniewem tamten. — Mówię o tym, którego *totus mundus* z drzeniem serca oczekiwają, a który zjawić się już miał między ludem.

— Któż on zacz?

Okulicz wyciągnął bocianią szyję, oczyma łypnął, czoło namarszczył.

— Antychryst... — szeptem solennym oznajmił.

Różnie to słowo na gości podziało. Pan Mokrzecki przyjął je lekkim sercem i twarzą wesołą, jakby to była jakowaś *jovialitas*. Rezydentowi oczy zapłonęły, na twarz wystąpiły rumieńce.

Ku krewniakowi pochylił się — zciszoną głosem zapytał:

— Byłyż-by już znaki?

Tymże głosem i z taką solennością odrzekł ów:

— Ogień!

Wyciągnął rękę — na palcach jął liczyć:

— Zgorzała Walichnowszczyzna. Z dymem poszedł zaścianek Mickiewiczów. Nie uratowano ani Porozowa, ani Pilwiszek, ani Hurczyn. Wyjdz, dobrodzieju mój, nocą w pole,

na prawo i lewo spojrz — wszędy srogie łuny.
Mówią, że i puszcza gore...

Pan Mokrzecki wtrącił:

— U nas, w Lidzkim, o takowych przypadkach, *Deo gratias*, nie słyhać. Co prawda, lud w naszej stronie trzeźwy, czujny, o dobytek swój dbający.

Powstał Okulicz — głosem mocnym zawołał:

— Na nic dbałość, trzeźwość i czujność, gdy z Trybunałem Boskim sprawa! »Zapali Bóg ogień w zapalczywości Swojej — mówi Mojżesz — i będzie ten ogień gorzał, aż do dna piekielnego, i pożre ziemię z jej urodzajem, i fundamenty gór wypali!«

— Protestuję! — równie mocnym głosem odpowie cześnik. — Jeśli się czyjś folwark z wypadku, z nieostrożności czeladzi lub z szelmstwa cudzego zapali, nie można tego wyrokom Boskim przypisywać. Za grzech miałbym nawet takową supozycję...

Ale tamten nic nie słuchał i dalej grzmiał:

— »Będą znaki na niebie i na ziemi« — czytamy w Piśmie Świętem. »Dzień Pański przyjdzie, jako złodziej — mówi Święty Piotr. — Niebiosa z wielkim szumem przeminą, żywioły rozpuszczą się od gorąca, a ziemia i dzieła, które na niej są, popalone zostaną!«

— Jeszczeć nie koniec świata, proszę waszmości.

— Właśnie, że koniec, dobrodzieju mój!

— Byłem niedawno w Lidzie — ba, do Rohaczewa i Mohylewa zajeżdżałem. O wszystkim się z ludźmi mądrymi gadało — nikt o końcu świata ani bąknął...

— [*Taceant ranae, dum coelum tonat...* Milczy ród żabi, gdy niebiosa grzmotem zahuczają! — są słowa Świętego Augustyna. Alboż nie mówi Święty Teofil o strasznym i ostatecznym tego świata pożarze? Alboż Święty Tomasz Anielski nie pisze o ogniu, który spali figurę tego świata, nie przyrodzonym zasie porządkiem rzeczy, jeno wolą Boską wywołan będzie? »Ziemia, która zginąć miała potopem, zachowana ogniewi« — powiedział Święty Augustyn.]

Obaj goście głowami kiwali — cześnik z powątpiewaniem, rezydent z admiracją.

Na żółtą twarz gospodarza wystąpiły ceglanej barwy rumieńce. Długim, chudym, do krogulczego szpona podobnym palcem w stół stukał i mówił:

— Wiele jest znaków przyjscia antychrystowego, a za pierwszy kładą zbliżanie się ostatniego tej ziemi terminu. Licznym ogniom dziwicie się dobrodzieje moi, a cóż,

gdy wam argumenty Pisma Świętego wywiodę, fizycznie i matematycznie ugruntuję?

— Bardzośmy onych argumentów ciekawi— bąknął pan Mokrzecki.

— Wiadomo dobrodziejom moim, że ten świat przez sześć dni tworzony. *Ergo*, tyleż czasu trwać ma.

— Ba! — wyrwało się cześnikowi. — Toć ci trwa on już bezmała i sześć niedziel!

Chmurno spojrzy nań Okulicz.

— *Symbolica* to są, dobrodzieju mój — karzącym tonem magistra wyrzeknie. — »Tysiąc lat są u Boga jako dzień jeden« — mówi król Dawid. Przeto sześć dni ewangelicznych oznacza sześć tysiącleci. A iż właśnie do szóstego tysiąclecia dobiegamy...

Cześnik z przekąsem wtrącił:

— Mamyć dopiero *annus Domini millesimus septingentesimus...*

— Dodaj do niego, dobrodzieju mój, cztery tysiące, które ubiegły od Adama i Ewy do Chrystusa Pana — skarci go tamten powtóre.

Skonfudowany cześnik głowę zwiesił w milczeniu. Okulicz wykladał dalej:

— W pierwszym wierszu *Genesis* cóż znajdujemy, dobrodzieje moi? Oto sześciokrotnie ukazuje się tam litera hebrajska *alef*. A teraz

zapytam dobrodziejów moich: co wyraża ta litera w hebrajskiej arytmetyce?

Pan Mokrzecki odpowiedzieć nie umiał — za to Pafcio, sciencyj wszelakich pełny, bez namysłu odrzekł:

— Oznacza tysiąc, braciszku dobrodzieju.

Przyświadczył gospodarz głową z zadowoleniem.

— Więc sześć tysięcy jest terminem doczesnego naszej ziemi bytu.

— A potem cóż? — rzucił się cześnik, którego już to całe gadanie o cholere przyprawić zaczęło. — Dyabli nas porwą, czy co?

— Potem — wykladał dalej gospodarz — nastąpi sabat czyli dzień odpocznienia. Skończy się okres doczesności, zacznie się wieczność, która będzie wieczną delicyą dla wybranych, a wieczną katuszą dla przeklętych.

Zamyślił się, potem dodał:

— Są i inne znaki...

I zaraz, palcem stukając, wymieniać jął:

— Pierwszych patryarchów rodu ludzkiego sześciu było: Adam, Set, Enoch...

Mleczko pokwapił się z erudycyą:

— Kainam, Malalel, Jared...

— Wszyscy oni — ciągnął ów — na ziemi żywota dokonali. Siódmy...

— Henoch — podpowie Pafcio.

— Henoch żywcem do nieba wzięt. Jenó ślepy a niemądry w eksplikacyi tego zdarzenia pobłądzi. Kto przy zdrowych zmysłach, zrozumie ukrytą w tem wróżbę, że będzie sześć tysiącleci śmierci, a siódme tysiąclecie zacznie okres wiekuistego żywota.

Pan Mokrzecki, przeziębły i niewywczasowany, uczuwał senność — ile, że długie wywody gospodarza cale go nie bawiły. Na ręce głowę wsparł, powieki przymknął — już jeno nakształt szumu deszczowego dochodziły go dalsze Okulicza z Mleczkiem *colloquia*.

A było tam jeszcze do syta różnych różności o końcu świata i o Antychryście. Zaciętrzewieni ichmoście gadali bez końca o prorokach, ewangelistach i Ojcach Kościoła; o Piśmie Świętem, Talmudzie i Kabale; obliczali lata mojżeszowe i mnożyli je przez 50; przytaczali teksty z Apokalipsy; prawili o »sześciu pieczęciach«, o »białym koniu«, o dziwach, które koniec tego świata wyprzedzą... Ze wszystkiego wysuwało się zawždy w końcu: sześć tysięcy — i te sześć tysięcy, jak owad uprzykrzony i nieodegnany, wciąż dzwoniły nad uchem usypiającego...

Kołysany równym brzękiem wyrazów, na dobre już zasnął pan cześnik. Raptem przebudzi go podniesiony głos Okulicza, który krzyczał:

— [Przyjdzie czas, jakiego nie było odkąd poczęły się narody! — mówi Daniel prorok. — Ani oko widziało, ani ucho słyszało, ani serce czuło! — mówi Święty Paweł. — Będzie ucisk i utrapienie, jakich nie znał świat dotąd i później znać nie będzie! — mówi Mateusz ewangelista.]

Cześnik otworzył oczy na całą szerokość. Na środku izby stał gospodarz, rozczzerwieniony, trzęsąc obiema, w górę wzniesionymi, rękami. Pafcio, pokonany wymową krewniaka i własną sennością, skulił się i przypląszczył na stołku, że ledwie samemu sobie był podobien.

Było już nadto tej mitręgi dla cześnika. Przypomniawszy sobie, że jako szlachcic polski, ma prawo do *liberum veto*. Wyciągnie ramię przez stół i rzecze:

— Pozwól waszmość, panie gospodarzu... Aby z Antychrystem skutecznie wojować, sił nam trzeba. A skądże sił weźmiemy, jeśli się nie wywczasujem? Krótko rzekąc: ukaż nam waszmość łoża, gdziebyśmy na spoczynek ledz mogli.

Stropił się Okulicz, tak nagle przeniesiony od spraw wielkich do miałkiej doczesności. Tam — już koniec tego świata oglądał; tu — przypominają mu, że świat trwa jeszcze, a lu-

dziska na nim całe swych ziemskich potrzeb nie zapomnieli.

Nie odrazu oprzytomniał. Długo błędnym wzrokiem po izbie i po gościach swych wodził — wreszcie bąknie:

— Jestci tu łóączyna jakaś obozowa, jeszcze po nieboszczyku dziadku. Wyprawę Wiedeńską pamięta. Przygodzi się śpiącemu. Zresztą — bezradnie dodał — przywołam Dosię...

— Protestuję! — z rozpaczliwą energią zawołał cześnik.

Chętniejby był samego Antychrysta ujrzał przed sobą, niżli owo *monstrum* w babskim czepcu.

— Ukaż nam jeno waszmość alkierz — do Okulicza rzekł. — Zresztą sami już sobie poradziema.

Szczupły, zatechły alkierzyk kojcem byłby całę wygodnym — spać tu dwóm ludziom, nie łokietkowej urody, równało się męce czyścicowej. Kilka gratów w onej dziurze ledwie się kupy trzymało — o łóžku lepiej zamilczeć.

Westchnie pan Mokrzecki i do towarzysza rzecze:

— Zbiegnij, Pafciu serce, do Antona. Niech nam tu futra nasze poda.

Wyszedł Mleczko, a on zaraz, dalszych

dyskursów z gospodarzem poniechawszy, do ściany się obrócił, mamrocząc:

— *Pater noster, qui es in coelo...*

A potem:

— Kto się w opiekę podda Panu swemu...

Przydźwiganą niedźwiednię rozesłał cześnik na podłodze i nie bawiąc, buty ściągnawszy, legł na niej, jak długi. Było zaś ono futro tak wielkie, że i pod spód, i do nakrycia starczyło. W drugim końcu izdebki Pafcio, *ejusdem modo*, w swoją się wilczurę zakopał.

Niewiele poczekawszy, rozległo się potężne chrapanie, które, nakształt grzmotów podziemnych, wątle ściany dworku wstrząsało.

W obocznej zaś izbie, imćpan Okulicz, do pasa obnażony, chłostał się dyscypliną za grzechy swoje i świata całego — powtarzając co moment:

— *Vade retro, sathanas... Apage!... apage!*

IX.

I pogoda, na podobieństwo Fortuny (dodaćby można: i białogłowy) bywa *variabilis*. Któżby był zgadł, że po srogim wichrze i gwałtownej śnieżycy, ranek zaświta niebieściuchny, jak modraki w litewskim życie, z obłoczkami tu i owdzie bielutkimi, jak chusta świąteczna białoruskiej »dzieuczyny«.

Powietrze było mroźne i jakby kryształem płynnym nalane, a zarazem ciche takie i spokojne, że się całe zimnem nie zdawało. To też cześnik i Pafcio, wygodnie w saniach rozparci, uchylili swych wielkich futrzysk, bo im w nich podczas było, jak w piecu Antychrystowym... Zapomnieli o spędzonej mizernie nocy, o twardym serze i zatechłym alkierzu, o łysinie pana Okulicza i tygrysich wąsach jego Dosi — śmiały się im oczy do złotego słońca, modrego nieba i wielkich płaszczyzn śniegu, co iskrzył się, jakby prochem diamentowym przysypany.

Milczeli obaj, senni trochę, wodząc leniwie oczyma po ziemi i niebie, po ubielonych wierzchołkach drzew przydrożnych i po dalekich, zawsze czarnych, ścianach prastarej puszczy. Śnieg na drodze stał się puszysty, szorowania płoz słyhać nie było — sanie mknęły cicho a lekko, niby powietrzem niesione.

Przerwie milczenie pan Mokrzecki.

— Wyeksplikuj mi, Pafciu-duszo, zawilość jedną — głosem poważnym, niemal smutnym, rzecze. — Świat Boży tak cudny, śmieje się cała natura — czemuż, gdy oczy się radują, serce ból jakowyś, jak świder, przewierca?

Westchnąwszy, dodał:

— Śnieg zda mi się podczas czarny, niebo szare, słońce zaćmione... A tam, we środku, coś duszę toczy, jak mniszka sosnę.

Spojrzał bokiem pan Mleczek na towarzysza, na jego oczy bystre, twarz energii pełną, oblicze przy białych włosach niemal młodzieńcze. Głową pokręcił, uśmiezek nieznaoczny po wargach mu przebiegł.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju — z submisyą wyrzekł — już ta zawilość w Piśmie Świętem opisana.

— Co gadasz! — zdziwił się tamten. — Gdzieżby zaś?

— W Księgach Rodzaju, mości rotmistrzu.

Powiedziano tam: smutno było Adamowi samemu w raju...

Rzucił się cześnik i poczerwieniał. Po chwili, surowo się namarszczywszy, bąknął:
— Bajesz, Pafciu-gaduło...

I znów w medytacjach swych zatonął.

Ale Mleczek nie spuszczał go z oczu i uśmiešku się swego nie pozbywał.

Raptem zagadnie:

— Rogowicza Michała, rotmistrzu dobrodzieju, znałeś?

— Rogowicza? — ocknął się pan Mokrzecki. — Jakiego znów Rogowicza?

— Z Mohylewskiego, sędziego granicznego.

— Poczekaj, Pafciu. Rogowicz... Czyżby Michał?... Tak, tak — Michał... Siwosz taki, brodofijasz... Zmarło mu się dwa, trzy roki temu. Jakoś wrychle po owym Sejmiku, na którym tak mocno gardłował.

— Już też była mu i pora. Dziewięćdziesiąt lat miał z okładem — omal nie całą setkę.

— Cóż zatem ów Rogowicz?

— Ano, nic wielkiego. Tak mi się jakoś przypomniał. Dobry był człek — rządny, wymowny. A żon to miał cztery. *In quarto voto* pojął Ślepściównę.

— Wiem-ci, wiem. Panna była, jak rydz, a on w wieku późnym...

— Co za późnym! Miał siedmdziesiąt pięć, i to niecałe.

Pan Mokrzecki spojrzął z ukosa na towarzysza i usta otworzył, ale nic nie wyrzekł.

Pafcio ciągnął głosem niedbałym:

— Z wcześniejszych ślubów dzieci nie miał. Ślepściówna udarowała go sześciorgiem, z których jeno jedna córka, zresztą same chłopcy. I nie chłopcy to już dziś, ale chłopcy — najstarszemu dwudziestka minęła — w petyhorcach służy...

Milczał pan Mokrzecki, rzekomo w ślady zajęcze, na śniegu odcisnięte, wpatrzony, w głowie zaś przetrawiał myśli, które Pafciowi może nie ze wszystkim tajne były.

Począł mało-wiele rezydent, oczyma po polach włącząc — potem rzeknie, z zupełną jakoby indyferencyą:

— Setnie-by się w taki dzień zapolowało. Ślady wszędy zajęcze, lisie, wilcze — jakby kto palcem po śniegu pisał...

Cześnik głową przyświadczył — milczenia wszelako nie przerywał.

Pafcio podjął:

— Pomnę, takusienka była pora, kiedyśmy z nieboszczykiem Sanguszkim w piętnaścioro sań do kniei jechali. Książę, jako był pan poufały a krotofilny, mówi do mnie: — Trzymaj się ostro, Śmietanko (tak mię zwał, gdy

dobrej był fantazyi), i nie pudłuj, bobym cię musiał z Mleczka w Serwatkę przekabacić...

— O którym Sanguszkę mówisz? — spyta cześnik, z zadumy wychodząc.

— O którymżeby, jak nie o księciu Pawle, marszałku wielkim litewskim. Już to drugie lato się kończy, jak do chwały Bożej powołan.

— *Requiescat in pace...* Jest komu i oplakiwać nieboszczyka, i modlić się za onego. [Licznie rozrodziła się *gens Sangusciana*.]

— Wszystkoć to księcia Pawła praca a dorobek. A niewiela już brakło, żeby przy trumnie ostatniego Sanguszka kopię kruszono. *Post fata* pierwszej małżonki, która mu synaczka jednego powiła, zaszedł już był książę marszałek w sędziwość, daremnie na wnuczęta czekając. Czekalby pewnie do dnia sądnego, bo książę Józef — mówią — *sterilis*... Cóż więc miał czynić, nieboże? Sam o nowych Sanguszkach pomyślał!

Przestał pan Mokrzecki śladów zajęczych upatrywać. Całą twarzą ku towarzyszowi się obrócił i węża pokręcając, zaśmiał się:

— Ano, zadość onych wymyślił. Mówią o pięciorgu...

— Sześcioro żyje, rotmistrzu dobrodzieju. Synów trzech i trzy córki. A niemal drugie tyle Bóg do chwały Swej wziął.

— I to wszystko z drugą małżonką?

— Wszystko z Duninówną, wielmożny rotmistrzu. Panienska była lat siedmnastu — młode drzewko... Na takowem szczepić najłaciej, rotmistrzuniu dobrodzieju. Jedynaście lat *in communitate* przeżyli — [Pan Bóg błogosławił — co rok prorok...]

Pokraśniał pan Mokrzecki — od mrozu może, a może od myśli, które mu towarzyszyły do głowy napędziły... Nie odezwał się zresztą ani słówkiem, wszystko *in petto* skrywając.

I znów w ciszy zupełnej po białej drodze śmigali, oczy mrużąc przed blaskiem, ze śniegu bijącym. Nie czuły zmęczenia konie — owszem, rażne ich parskanie świadczyło, że im ten polot, wskroś białości, złocistości i modrego kryształu, uciechę sprawia. Więc rzadko popasano, a gdzie już koniecznie wypadało to uczynić, tam próżno karczmarz na swoje kugle, łoksiny i echt-węgierskie małmazye zapraszał. Wszystko się w sakwach podróżnych znalazło: i *solida*, i *fluida*; nawet nowomodna »kafa«, już na proch miałki utarta — i jeno wrzątku do naparzenia onej od żyda żądano.

Pan Mokrzecki przez resztę drogi — która się omal nie przez cały dzień ciągnęła — poważny był i małomówny. Więcej myślał, niż mówił, a gdy słów kilkoro bąknął, całe się do tamtej materji nie odnosiły.

Pod wieczór już było — który *in januario* ledwie że nie zaraz po południu zapada — gdy po dłuższem milczeniu, na towarzysza nie patrząc i jakby ciele o onym zapomniawszy, półgłosem wyrzekł:

— Gdyby się znalazła taka, jak sędzina Towiańska...

Uśmiechnął się, ale tegoż momentu sposepniał:

— Nie! nie! — zaprzeczył sobie — taka nie najdzie się! Takiej drugiej na świecie być nie może!

Choć to jeno *a parte* było rzezone, dosłyszał słów cześnikowych Pafcio — i chytrze się uśmiechnął.

Słońce schowało się za szaniec puszczy dalekiej i zgasło szybko, jakby kto świecę zadmuchnął. Razem z ćmą wieczorną, tęskność jakowaś na ziemię padła. Westchnął pan Mokrzecki i swoje sześcioro *amen* jął głosem jękliwym odmawiać. Zawždy on o swych zmarłych pamiętał, choć rzadko o tem mówił, a rozszerzać się ze swym sentymentem przed ludźmi za rzecz niemęską poczytywał.

Niedługo poczekawszy, wzeszedł miesiąc, biały a błyszczący, i blaski błogosławiące na ziemski padół rozlał.

W srebrnej poświacie ukazały się na lewo od drogi wzgórze dość wyniosłe, rzadkimi

świerkami zjeżone, których dotąd na białych płaszczyznach widać nie było. Współcześnie droga zwężyła się i nachyliła, staczając nieznacznie w rozległą kotlinę, pełną łamiących się ze sobą światła i cieni.

— Łopienica! — oznajmił wesoło Mleczek, stron wołkowyskich od cześnika świadomszy.

Rękę wyciągnął — wskazującym palcem wodzić ją w prawo i w lewo.

— Tam, na wzgórzu, nade drogą — wymieniał — bieli się kościół i klasztor Ojców Franciszkanów. Kapłani to świętobliwi, a w sztuce ogrodniczej równych im na cały powiat niema. Ich kwiaty i frukta do Wilna idą, na stół biskupi i hetmański. Mistrzynią wielbnych ogrodników jest jejmość pani Bitowttowa, sama ogrodniczka nieporównana.

— Te dwie ciemne, wielkie plamy w dole — mówił dalej — to dwa stawy zamarzłe. Grobelka je przedziela, wierzbami foremnie wysadzona. Z aleją ona się łączy, która potem w prawo skręca i do dworu prosto wiedzie. Cudnie tu latem, gdy na szafirowych wodach białopióre łabędzie cicho pływają, a korowód łodzi, w różne kolory malowanych, wstęgami i kwiatami strojnych, z muzyką i kompanią wesołą, tam i sam wdzięcznie krąży. Wszystko to zdziałane konceptem jejmości pani Bitowt-

towej, w tych sprawach wielce doświadczonej.

— Dworu łopienickiego — ciągnął — za drzewami nie widać, ale jest to *aedificium* wspaniałe, murowane, które raczej pałacem mianowaćby się godziło. Całe inaczej ten dwór — ba, i cała Łopienica — wyglądały, dopóki kto inny tu mieszkał i rządził. Nowi dopiero posesorowie nowe życie we wszystko tchnęli. Dwór przerobiono kształtem nowomodnym, wedle planu jejmości pani Bitowtowej, która jest damą grzeczną i kunsztów nadobnych świadomą.

Kiwał głową pan Mokrzecki, relacyj Pafnusiowych słuchając. Gdy ów skończył, rzeknie:

— Z tej jejmości, jak widzę, chodząca doskonałość — albo raczej: doskonałości wszelakich kwintesencya.

Na to Mleczko:

— Czy taka jest *in effectu*, wiedzieć nie mogę. Wszelako Fama stugębna szeroko jej cnoty roznosi. Smogorzewszczanka — to dość.

Tu pan Mleczko, słabostce swej folgując, zapuścić się chciał w szerokie rodowody — czasu już przecie na to nie stało. Sanie przyspieszonym pędem po drodze pochyłej sunęły, i niebawem, z poza czarnych konarów drzew, wychylił się wielki, murowany dwór, w któ-

rym już światła wieczorne palono. Nie było to zaś zwykle wieczorne oświetlenie: wszystkie okna płonęły blaskiem rześystym, rzucając na śnieg sowite, różowe łuny.

Podjechawszy bliżej, usłyszeli ichmoście brzęk dzwonek i uprząży końskiej przy licznych saniach, które dziedziniec dworski wypełniały. Wrychle też słyszeć się dał dźwięk kapeli, skocznym rytmem przygrywającej. Śnać u państwa Bitowttów balowano.

Przejechawszy groblę, zatrzymali się, niepewni, co czynić w tej okazji. *Stricte* rzecz biorąc, ani gośćmi, dla samej zabawy przybywającymi, byli — ani się im też w podróży odzieży przed tłumem balującym jawić wypadało.

Więc chyba do ciwuna zajechać, o nocleg poprosić, i dopiero jutro pośpieszyć na pokoje dworskie, dla złożenia atencji dziedzicowi i dziedzicze?..

Na drodze pojawił się chłopiek w krótkim, mocno w pasie ściśniętym, kożuszku.

— Słysz, człowieczku! — zakrzyknął nań cześnik.

Wieśniak stanął, usta szeroko otworzył.

— A co? — zwolna, po długim namyśle, spytał.

— Co to dziś u was? bal, imieniny czy może prąznik jaki?

Chłop przystąpił bliżej, zajrzał w oczy obu podróżnym, potem ich woźnicy, wreszcie przypatrzył się pilnie saniom i każdemu koniowi z osobna.

Uspokojony, lisiej czapy poprawiwszy, zaśpiewał:

— Tancujom pany, taj coż? Na każdy dzień u nich muzyka. Młode som, coż skakać nie majom?

W tymże momencie ktoś, na małych saneczkach, w jednego lecz pięknego konia, od strony dworu podjechał.

— Służeczka waszmościów dobrodziejów! — kłaniał się, czapki uchylając. — Kto grobelkę łopienicką przejechał, ten już łopienickiego dworku minąć nie może.

— Z kimże mamy zdarzenie? — spytał cześnik, ukłonem za ukłon płacąc.

— Kupść jestem — przedstawił się tamten — jakoby *majordomus* dworu tutecznego. Przykaz mam taki, abym wszystkie godne persony, na drogach łopienickich przydybane, nie zwlekając, *per fas et nefas*, do jegomości pana obersztlejtnanta sprowadzał.

— My nie w gości — wyznał skromnie cześnik. — Interes nas tu sprowadza...

— Interes interesem, gościna gościna. Suplikuję waszmościów dobrodziejów, abyście woźnicy swemu ku dworowi skrećić kazali.

— Przytem — oświadczył cześnik — odzianśmy cale nie po balowemu. Kontusiki wdzieliliśmy na podróż podnoszone, buciki czarne...

— O te faramuszki niech się już waszmoście dobrodzieje nie frasują. Zawiozę ich do komnatek gościnnych, a tam się wszystko uładzi.

Okazało się, że imépan Kupść jest rezolut nie jeno w słowach, lecz i w czynach. Dalszych sporów poniechawszy i ekskuz cześnikowych nie słuchając, kazał Antonowi przesiąść na swoje saneczki, sam zaś miejsce jego zajął i ku dworowi popędził.

Na ogromnem zakolu przed dworcem, sannie skręciły w prawo, potem w lewo, minęły rzeźsięcie oświecony, piękny, piętrowy pałac i zatrzymały się przed jednym z pawilonów bocznych.

Wszystko tu było wspaniałe, pańskie, nowomodne — wszystko pachniało Warszawą, a bardziej jeszcze Dreznem i Paryżem.

W momencie, Anton z końmi i saniami odesłany został do stajen, a cześnik i Pafcio znaleźli się w wygodnej, ciepłej komnacie, gdzie na kominku płonął ogień sowity, łoża zaś szerokie, puchówkami wysoko nastrzępione, zapowiadały nocleg wyborny.

Znalazły się wnet srebrne nalewki, wodą zletnioną napełnione, mydła aromatyczne,

cienkie, olenderskie ręczniki — owo zgoła wszystko, co do obmycia grzesznego ciała potrzebne, w gatunku zaś tak superfinowym, jakby z niewieściej gotowalni wzięte.

Wycudzili się obaj ichmoście przystojnie, pan Mokrzecki w mundur rotmistrzowski, Pafcio w atlasowy kontusik — zaraz im też polewki winnej, gorącej, dla konkokcyi żołądka, podano.

Właśnie gęby po onej ucierali, gdy do komnaty wpadł, jak wicher, człowiek młody jeszcze, urodziwy, fantazyi wielkiej pełny, w błyszczącym uniformie, po którym poznano, że to sam gospodarz, imćpan Franciszek Bitowtt, obersztlejtnant dragonów królewskich i starosta dymnicki.

Szaławiała, ale człek serdeczny, bez żadnych wstępów, obu gości uściskał i wycałował, z należną wszakoż dla wieku i urzędu imćpana cześnika submisją.

— Czołem biję! sercem pozdrawiam! — powtarzał z błyszczącemi szczerą radością oczyma. — Od przybycia waszmościów, tak osobliwych dobrodziejów moich, na horyzoncie łopienickim jakoby słońce wzeszło. Zapraszam i suplikuję, aby waszmość panowie uhonorowali swą prezencją skromną kompanię, która się we dworze zabawia.

— Raczej prześwietnym ansamblem mia-

nowaćby oną trzeba — zauważył cześnik, węża okazałego gładząc.

— Gdzie zaś, dobrodzieju najosobliwszy! Ot, zjechało kilkoro sąsiad łaskawych, więc sobie kęs pijemy, kęs płasamy, boć w tych opresyach publicznych *laetificare corda* należy.

Nie upłynęło trzy *Ave Maria*, już ichmoście, hurmem szlachty znajomej i nieznaomej otoczeni, stali przed piękną, wystrojoną damą z pudrowanymi włosami, w szerokim, sztywnym robronie, i słyszeli, jak ich gospodarz onej zalecał:

— *Madame ma femme, j'ai l'honneur de vous présenter deux de mes meilleurs amis. Monsieur Mokrzecki, rotmistrz buławy polnej, cześnik lidzki, mój szczególny dobrodziej i łaskawca. Monsieur Mleczko...*

Zaciął się i zachłysnął, ale wnet *resolute* dokończył:

— Bywszy towarzysz jednej z chorągwi, wojskowiec nowogrodzki wołyński.

Uśmiechnął się jadowicie Pafcio, rączki jejmości całując, pomyślał wszelako:

— Tego wężła samby dyabeł nie rozplątał...

Wdzięcznym dygiem przyjęła gości pani Bitowttowa i dla każdego słodkie a kwieciste słówko znalazła.

W tymże momencie zagrzmie kapela, na środek posuną pary menuetowe. Starościnę

powiódł do tańca gładysz jakowys, w wielkiej, umączonej peruce, a cześnik i Pafcio zaprowadzeni zostali do komnaty obocznej, gdzie poważniejsi ichmoście kielichem się zabawiali. Stały tam takóź stoliki do kart, a na nich duże rulony złota z brzękiem się przetaczały. Przybysze, na pokusy Fortuny obojętni, bez namysłu *ad pocula* zasiedli.

Kompania była zacna, wina przednie — pito pod miarę do wieczerzy, omawiając przeróżne *publica* i *domestica*.

Wieczerzę podano taką, żeby się onej sam Radziwiłł nieświski nie powstydził. Co zaś było po wieczerzy, tego już nigdy pan Mokrzecki uprzytomnić sobie nie mógł. Wszystko opary bachusowe, nakształt mgły gęstej, zasnuły...

X.

Ciemno było, gdy się pan Mokrzecki przebudził i zaraz, według zwyczaju, równemi nogami z pościeli wyskoczył.

— Chłopcze! — krzyknął na pokojowca, drzwi uchylając.

W tymże momencie zjawilo się ich dwóch, z których jeden niósł wodę ciepłą do mycia i czyste ręczniki, drugi zaś lampę zapaloną.

Spojrzy cześnik na ekscytarz — siódma. Latem wstawał o piątej, zimą o szóstej — więc mruknie, ziewając:

— Godzinę-m zasnął. A że legliśmy o czwartej, przeto: piąta, szósta, siódma — *summa facit*: trzy godziny spania. Dla żołnierza dość.

Spojrzał w stronę Pafcia, a ów, w puchówkach zakopany, śpi snem sprawiedliwych i jeno mu koniec nosa widać, z którego dobywają się osobliwe, flecikowe melodye.

Chwyci go za ramię, termosieć weźmie.

— Wstawaj, leniuchu — śniadanie załpisz!
Usłyszawszy to, jeden z pokojowców głośno się rozśmiał i rzecze:

— Chybaż wieczerzę, jaśnie wielmożny panie..

Zmarszczył się pan Mokrzecki na tę sługusową konfidencyę.

— Świat u was, widzę, na opak — mruknął. — Rankiem wieczerza — to pewnie w wieczór do śniadania siadacie.

— Bogać tam, jaśnie panie. Gdyby tak było, toby teraz kucharz kawę warzył, a on właśnie indyka na rożen zasadza.

— O siódmej rano?

— O siódmej wieczorem, jaśnie panie — bo taką jak raz godzinę zegar pałacowy wskazuje.

Cześnik zdumiał, a i Pafcio oczy wytrzeszczył i usta otworzył kształtem cale niemądrym.

— Co gadasz?... Oszalałeś?...

— Com miał oszaleć! Jaśnie panowie calusienki dzień Boży przespali, aż się jaśnie wielmożny starosta dziwował, po kilkakroć tu zaglądnąjąc, to wedle śniadania, to wedle obiadu.

Cześnik czempredzej zanurzył głowę w misie, a Mleczek napowrót dał nurka do pu-

chówki, aby ukryć konfuzyę. Po odejściu zaś służby, pierwszy rzecze:

— *Mirabilia* to są, Pafciu-duszo. Takowy *casus* raz mi się jeno trafił, i to w dawnych leciech — gdy mnie, młodzianka jeszcze, nieboszczyk ksiązę Radziwiłł miodem starym utraktował. Jakże się czujesz, Pafciuniu?

— Jak ryba w wodzie, mości rotmistrzu dobrodzieju.

— Ja takóž zdrów. Dowód to, że trunki przy wieczerzy były grzeczne i cnotliwe. No, ale pośpieszajmy na pokoje, bo o nas lada co pomyśleć gotowi.

— Noc poprzednia i Mścibowski niewywczas ekskuzą nam będą!

Już się była połowa gości wczorajszych rozjechała — dość ich przecie zostało, aby przy wieczerzy gwar przyjemny czynić i fantazyę podtrzymywać. Potrawy i wina nie ustępowały dobrocią wczorajszym, a smaku i pońety dodawała wszystkiemu uprzejmość gospodarza, bardziej zaś jeszcze jego pięknej małżonki.

Teraz dopiero mógł był cześnik jejmości pani Bitowttowej dokładnie się przypatrzeć i zarówno jej urodę, jak zalety duszy, lepiej ocenić.

Była to dama wzrostem niezbyt wysoka, ale o której rzecz było można, że jest jak naj-

piękniejsza porcelanowa figurynka, w każdym szczegółiku misternie ukształcona.

Ani wiedział pan cześnik, jak miłą siurpryzę chowa dlań ta nadobna osóbką. Oto, gdy znaleźli się *a parte*, wręcz go ona zagadnie:

— Dawno też laskawa Fortuna pozwoliła waszmoścpanu oglądać oblicze pani sędziny Towiańskiej?

Na to, pozornie tak zwykle, zapytanie, przebiegła pana Mokrzeckiego jakby iskra piorunowa. Zdrętwiał na moment i pobladł, a potem mocno pokraśniał.

— Honorują mnie drogocenne słowa pani starościny dobrodziejki... — zakłopotany jąkał. — I nigdy nawet w supozycyi nie miał, żeby... w tej okazji...

Zaciął się, skonfundowany.

— Och! och! — zaśmiała się pani Bitowtowa — nic w tem niema ekstraordynaryjnego. Sędzina jest moją przyjaciółką od serca, ze wszystkim mnie się zwierza...

Cześnik milczał, trąc podgoloną czuprynę; oczy miał w końce czerwonych butów nieruchomo wbite.

Obersztlejtntantowa zaś słodko cedziła:

— Sędzinka zawždy mile waszmości wspomina — o ile stracona przez maryaż swoboda na taki afekt zezwala. Sędzia dobrodziej ma

w niej wierną i stateczną małżonkę, otacza też ją wszelakimi delicyami — [i w złoconej przecie kłatce zdarzy się ptaszkowi westchnąć za minioną przeszłością — za gaikiem, w którym, czasu wiosny, inne śpiewanie słyszał..]

Cześnikowi było razem i błogo, i strasznie. Chciałby był owych konfidencyj do końca życia słuchać, a przecie ucieszył się, gdy mu konwersacyę przerwano.

Do starościny, w ukłonach i lansadach, zbliżył się małżonek dobrodziej. Zawsze się on po kawalersku przy żonie zachowywał, z submisją i atencyą, afekt gorący wyrażającami.

Skłonił się cześnikowi a starościnę w łapkę cmoknąwszy, rzecze:

— *Ma très chère Franula! Mon admirable épouse!* Cała dostojna kompania, która domek nasz swą prezencyą gloryfikuje, składa u stópek jejmości swe wota pokorne, aby Franula dobrodziejka swym głosikiem syrenim coś niecoś przy klawicymbale zanucić raczyła...

— Zawżdy na usługi swych gości łaskawych gotowa! — oświadczy starościna i natychmiast ku klawicymbałowi pośpieszy.

Głos okazał się w zupełnej harmonii z osobą — miły, jak ona, słodki, do serca prosto trafiający. Zgadzał się też z onym i instrument, którego klawisze, pod białymi palu-

szkami, niby stado zięb i skowronków świegotowały.

Oczarował cześnika śpiew pani Bitowtowej — w oczach łzy mu się zakręciły, gdy starościna, jak gołąbek, gruchała:

Gdyby Bóg łaskawy
Pozwolił w tej mierze
Cieszyć się plejzurą
Do czego gust bierze...
Ach! — Ach!... —
Och! — Och!...

Tego wieczora nie tańczono — ile, że pan Wojniłłowicz, podkomorzy nowogrodzki, główny tańców promotor, porzucił był kompanię, przez umyślnego do chorej małżonki wezwany.

Był to człek wielkiego dowcipu i fantazyi kawalerskiej, nie darmo też go ksiązę Radziwiłł nieświzki, hetman wielki litewski, swym przyjacielem i konfidentem uczynił.

Po odjeździe onego — jako to jest zwykle u herbowych — wszczęła szlachta dyskurs o Wojniłłowiczach.

Tu dopiero mógł przyjść do słowa pan Mleczo, który dotąd z musu w milczka się zabawiał.

Szło o prozapię domu wojniłowiczowskiego, który od czasów Trojana, obrońcy Lachowicz, szeroko po Litwie się rozślawił.

Gdy obecny imćpan Karp nazwał Trojana dziadem podkomorzego, zjeżył wąsy Mleczko i mruknął:

— Przeskoczyłeś waszmość jedno pokolenie, a to w genealogiach *non licet*. Sławnej pamięci Trojan, wojski nowogrodzki, nie dziadem był panu podkomorzemu, jeno pradziadem.

— Jakże to? — spytał tamten. — Toć pi-sze ksiądz Niesiecki...

— Uniżenie proszę waszmości, abys mi o tym Jezucie nie wspominał — zżymnął się Mleczko. — Bajarz to osobliwy, a jego *opus* w sam raz na tutki do pieprzu. Kto zakonowi świadczył, to u niego luminiarz — o innych wie piąte przez dziesiąte, więcej z babskich, refektarzowych i odpustowych plotek, niż z dokumentów. O Wojnińłowiczach firki popisał. Jednych po dwakroć powtarza, innych opuszcza. Napłodził fikcyjnych, a o istniejących nie wie.

Któryś z gości stateczniejszych basem głębokim objaśnił:

— Jegomości pana podkomorzego rodzi Jan Wojnińłowicz.

— Tak — przyświadczył Pafcio — podwojewodzi nowogrodzki. A Jana rodzi Jan Teodor Wojnińłowicz. Ten zasie miał dwóch braci: Pawła i Stefana.

— Wiem-ci, wiem! — wyrwał się z kąta imćpan Kopeć, ocierając zmaczane w winie wąsiska. — Obaj podkomorzyce nowogrodzcy.

— Stefan już nie podkomorzyc, bo podstoli Nowogródka siewierskiego.

Ten i ów rozśmiał się. Zawsze ów Nowogródek i godności jego wesołość budziły.

Korzystając z momentu, pan obersztlejtant skinął na sługę, który stał we drzwiach, dzwigając na tacy gąsior brzuchaty.

— Serdeczni dobrodzieje! — kordyalnie zaśpiewał, rozkładając ramiona, jakby chciał wszystkich do piersi przycisnąć. — Wiem, że łaski waszmościów panów nie godzien, ale większa jest wspaniałomyślność wasza, niżli moja mizerya, więc tuszę sobie, że mi nowej łaski nie odmówicie. Oto...

W tym momencie wjechał na stół ów brzuchacz dwugarncowy, pleśnią a grzybami porosły, od którego powietrze piwniczne na biesiadników powiało. Rozszerzyły się nozdrza panów braci, którym ów zapaszek, sam przez się wabny, był zapowiedzią smakowych i węchowych delicyj.

— Oto — dokończył imćpan Bitowtt — cenny dokument, który więcej, niż zbutwiałe papiery, powie waszmościom o cnym Wojniłowiczów rodzie. Dał mi go pan podkomorzy, osobliwy mój dobrodziej, a pamięta pono

Trojana, bohatera Litwy, który ją przy Boskiej i pana Stefana Czarnieckiego pomocy, od natrętów oswobodził.

Przyjęto propozycję *unanimiter*, wyrażając zgodę nie głośnymi okrzykami, jeno pełnem solenności milczeniem.

Przy pierwszej kolejce było cicho, jak makiem siał; przy drugiej, ocknęły się co niecierpliwsze języki — trzecia działała cud, że wszyscy przemówili, a wszyscy hucznie i równocześnie.

Umysły, skierowane ku wywodom genealogicznym, nie porzuciły i teraz tego obiektu. Każdy miał coś do powiedzenia i o Wojniłłowiczach, i o innych rodach litewskich. Spierano się, krzyczano — nazwiska, imiona, tytuły, daty sypały się rzęsiście, jak ogień rotowy.

Pan Mleczo mówił najwięcej i nikomu przegadać się nie dawał. Miał zresztą w tej mierze powagę ustaloną; bywało, że nawet Radziwiłłowie, Sapiehowie i Pocięje do niego w wątpliwościach się zwracali.

Węgrzyn nieboszczyka Trojana rozgrzał szlachcica, który w zwykłych okazjach bywał cichy i pokornego serca, lecz ekstrasordynaryjnie stawał się oratorem wielomównym, a podczas i gwałtownikiem.

— *[Tempora mutantur, dobrodzieje moi!]* —

krzyczał, szyję wyciągając, cały już od trunku czerwony. — Dziś Wojniłłowicze z Radziwiłłami z jednej szklanki piją, a za króla Zygmunta Augusta, Semen Wojniłłowicz z Radziwiłłem Krzysztoffem, co to go przezwali »Sierotką«, koty darł o kawałek jeziora i jakąś łączkę nadbrzeżną. Po trybunałach się wodzili — ledwie, że nie za łby bralil...

— Ot, Semena wymyślił! — wtrącił jakiś głos przekorny. — Wojniłłowicze, do brodzieju, zaczynają się od Trojana; Trojan zasie był sam, jak palec.

Na to ów:

— Podwójnieś waszmość pobłądził. Ani Trojan dał Wojniłłowiczom początek, ani był w rodzie sam jeden. *Ad fontem* chcąc sięgnąć, cofnąć się musisz wstecz, przynajmniej o dwa pokolenia. Dowiedz się takóž, że miał Trojan rodzonego, któremu było Michał. Przy Czarneckim ów w Danii wojował. Od tego to Michała poszła młodsza Wojniłłowiczów linia, która na różnych imionach siedzi. Starsza zasie linia jest zawždy »Niańkowska« *alias* »Boryszyńska«, bo się twardo Niańkowa i Boryszyna trzyma. A co się tknie trzeciego Wojniłłowicza, któremu było Jerzy...

— Zadość już mamy Wojniłłowiczów! — przerwał mówcy gruby pan Karp, grzmocąc w stół wielką szklanicą.

— *Satis!... Satis!...* — poparli go drudzy.

Z kątów szydzić zaczęto:

— Jużby też przestał na jednej strunie bzykać!

— Zapachniał mu Niańków, jak żydowi cebula!

— [Kto o czem, ksiądz o Magdzie, a ów o Syrokomli!]

— Widać *illiteratus* — Paprockiego jeno jedną kartę przesyłabizował!

— Na Wojniłowiczach, braciszku, Litwa się nie kończy! — zamknął rzecz imćpan Kopec basem piwnicznym.

Do Mleczka łącno przystępowała cholera. Już też i węgier podkomorzego ogień mu w żyłach zażegł. Więc, gdy mu tak panowie bracia nad uszami ksykają a kolą, niby osy natrętne, czuba siwego najeży i wrzaśnie:

— Ej! jak to się Litwa rozjechali! Ckni się »bojarom«, że tu ich prozapii nie wywozdę. Czekaścież, mileńcy — na każdego kolej przyjdzie. Jeno, że mi o wasze pergaminy trudno. Stara szlachta — w arce Noego jej gniazdo. Zachował Noe wszelakiego zwierza po parze, to i was nie zapomniał. *Patientia* zatem. [Nie pchać się i tumultu nie czynić. Wszyscy pójdą ordynkiem — ale po starszemu na gałąź!..]

Przemilczano koncept o arce — na »bo-

jara« przecie ten i ów się zżymnął. Po ką-
tach słyszeć się dały niedźwiedzie pomruki.

Pan obersztylejtnant zaniepokoił się, mówcę
na stronę odciągnął, coś z nim poszeptał..

— Kochani! serdeczni! najosobliwsi do-
brodzieje moi! — ujmująco przemówił, do
kompanii wracając. — Jegomość pan Mleczek
krotofilnie się wyraża, gdyż sprawę całą
za krotofilę poczytuje. Nie na Sejmie, nie
w Kole Rycerskiem ani na Trybunale roz-
prawiamy, jeno *privatim, inter pocula*. Wsze-
lako, kto mu krzyw, tego prosi i suplikuje,
by jawnie wystąpił.

Pomruki ucichły — ozwały się głosy:

— Niech gada — my po nim!..

Wygramolił się tedy Pafcio na stół, wielki palec lewej ręki za pas zatknął, czuba zadarł i prawą ręką żywo gestykulując, w ten sens zaczął:

— [Prześwietne rycerstwo Wielkiego Księ-
stwa Litewskiego! Przesacni, karmazynowi
i szaraczkowi, bracia szlachto! *Illustrissimi do-
mini, tam* boćwiniarze, *quam* kołduniarze!..]

Rozszerzyły się policzki, roześmiały oczy —
wszelaki rankor z serc ustąpił. Zrozumiano,
że to *in effectu* — krotofila.

— Szeroko i głęboko — ciągnął Mleczek —
rozrodzili się *nobiles Lituaniae ac Samogitiae*.
I czas przyszedł, że wypadło dla onych *Ge-*

nesis napisać. Podjął się tej imprezy *meus amicus, Bobricus, historicus*, którego *opus immortale* waszmościom dobrodziejom prezentuję.

Odchrząknął, odkaszlnął, w chustkę splunął — zwolna a dobitnie wygłaszać jął:

— Oto są Księgi Rodzaju narodu zacnego, uczciwszy uszy, Księstwa Litewskiego, według opisu mądrego Bobryka, najprzedniejszego w Litwie historyka:

Radziwiłł zrodził Sanguszka, Sanguszko wysadził Kryszpina, Kryszpin wyrwał Białozora, Białozor wytrząsł Kurcza, Kurcz wyciągnął Kopcia, Kopeć wykopcił Hołownię, Hołownia wyświeciła Prozora... A Prozor wypalił Rora, Ror wyrznął Kirkora, Kirkor Bremer, Bremer Romera, Romer Mejera, Mejer Rożna, Rożen lepak Suryna, Suryń zaś Sweryna... A Sweryn wydziałał Horaina, Horain wyrail Szewrotę, Szewrota wyszemrał Korfa, Korf wykołatał Korsaka, Korsak wykrzesał Kośniaka, Kośniak wystawił Bułhaka, Bułhak wytrącił Kulaka, Kulak wytłoczył Czernika, Czernik dobył Szóstaka, Szóstak kupił Półtoraka, Półtorak dostał Kuropatwę... A Kuropatwa wypuściła Woronę, Worona wysiedziała Sorokę, Soroka wylęgła Czyżę, Czyż wyśpiewał Dropia, Drop wydreptał Hołuba, Hołub

wygruchał Sołohuba, Sołohub wyhołubił Drożdzika, Drożdzik zaś wygwizdał Draudzika...]

Zamilknął zmęczony pan Mleczek i kęs poczekał, ruchem wymownym znać dawając, że mu w gardle zaschło. Wyciągnęło się doń zaraz rąk kilkanaście, a w każdej szklanica tkwiła, pełno nalana.

Szlachta pokrzykiwali:

— Dzbanemby mu nalewać za taką oracyę!

— Nikomu bestya nie przepuścił — nawet Radziwiłłowi!

— *In vino veritas*. Po trzeźwu, milczkiem się zdał i symplakiem!...

Pan Kopeć symulował gniew:

— Żeby cię, braciaszku, kaczkę zdeptali za Kopcia!...

Zaś pan Hołownia dorzucił:

— A za Hołownię bodajesz zjadł sto par — półgęsków!

Pociągnął Mleczek tego to z tej, to z owej szklanicy, językiem mlasnął, wąsy otarł — i tak dalej rzecz prowadził:

— *Ergo*, jako się rzekło, Drożdzik wygwizdał Draudzika, [Draudzik zaś pokazał Odyńca, Odyniec wyrył Ordyńca, Ordyniec sporządził Fedziuszka, Fedziuszko wyszpecił Okuszka, Okuszko wyrobił Boniuszka, Boniuszko posadził Kościuszka, Kościuszko wykosił Moniuszka, Moniuszko Wieliczka, Wieliczko

Władyczka, Władyczko Wołoczka, Wołoczko
Tołoczka... A Tołoczko wytłukł Siemicza, Sie-
micz wysiał Homicza, Homicz znalazł Kon-
dycza, Kondycz złapał Koszczyca, Koszczyc
przyniósł Machwicza, Machwicz machnął Olek-
sica, Oleksic stworzył Bołbasa, Bołbas wybeł-
tał Korkucia, Korkucć wykorcił Asperyasza,
Asperyasz otworzył Worytkę, Worytko wyo-
rał Korytkę, Korytko zaś wylał Wala... A Wal
wywalił Morkuta, Morkut wymruczał Rahożę,
Rahoza wyplótl Moroza, Moroz ściał Kotła,
Kocioł wysmażył Skopa, Skop wytryksał Ko-
zła, Kozioł zaś wyskakał Burego... A Bury
wymłócił Owsianego, Owsiany Jęczmiennego,
Jęczmienny wysypał Skorobohatego, Skorobo-
haty wyskrobał Mikutę, Mikuta Ancutę, An-
cuta Lodziatę, Lodziata Puciatę, Puciatą Za-
wiszę, Zawisza Medekszę, Medeksza Bakszę,
Baksza Jadwejszę, Jadwejsza Godwejszę, God-
wejsza Rymszę... A Rymsza rymnął Rudominę,
Rudomina wydobył Haraburdę, Haraburda
wykrzyczał Orde, Orda poczęła Wojnę, Wojna
wysiekła Tryznę, Tryzna wytrysnął Wirzotofkę,
Wirzotofka wykleciła Żabę, Żaba wydukała
Żabkę, Żabka wykrzekotała Skałohuba, Skało-
hub wydlubał Macieszę, Maciesza wymacał
Janinę, Janina Puzyne, Puzyrna Hreczynę, Hre-
czyna Botwinę... }

W tem miejscu znów mówcy tchu przy-

brakło, i znów z pełnego kielicha zaczerpnąć go musiał.

Litwa śmieli się półgębkiem, ale Żmujdź i Inflanty od zbytniej wesołości aż boków nadrywali. Najosobliwiej rade były krotofili wszelakie Steinery, Fitzthumy, Weissy i inne podrzucone Rzeczypospolitej Sasy, których pod tę porę w wojsku koronnem i litewkiem nie brakło.

— A o Karpiach nicże nie będzie? — zagadnął flecikowym głosem pan Karp, stolnikowicz wołkowyski, człek chudy a kościsty, cale nie karpiej urody.

— *Patientia!* — uspokoił go Mleczek. — Kolej na każdego przyjdzie — wszyscy na drzewie rodowem zawisną.

— *Ergo*, mospanie Mleczeko?

— *Ergo*, jako się rzekło, Hreczyna wydał Botwinę, Botwina zasie ułowił Karasia, a Karas wypluskał Karpia...

— To postpozycya, mospanie Mleczeko! Karpie zawždy chadzali przed Karasiami...

— Nie jam porządek ów zmienił. Uczony *Bobricus* tak pisze — mnie poprawiać go wara... *Ergo*, z Karpia wypłynęła Sielawa, z Sielawy uczynił się Sielec, Sielec natrafił Szyszła, Szyszło znalazł Szyszkę, Szyszka wyleżała Glindę, Glinda wyględziła Łubę, Łuba wylupała Roubę, Rouba zdybała Łapę, Łapa złapała Burbę,

Burba wybabrał Reszkę, Reszka wyrechotała Koszkę... A Koszka wymruczała Wereszczakę, Wereszczaka wywrzeszczała Suchomiakę, Suchomiaka wysuszył Komuniakę, Komuniaka wykręcił Iszorę, Iszora wykończył Kończę, Kończa Borejszę, Borejsza Skorupę, Skorupa wysmażyła Kodlubaja, Kodlubaj wydlubał Litawa, z Litawa wydobył się Koracz, a Koracz wytłoczył Tołkacza, Tołkacz wyświdrował Rymwida, Rymwid Monwida, Monwid lepak ulepił Pakosza, Pakosz także Kołczana, Kołczan wykolił Mołczana, Mołczan wymilczał Aspersa, Aspers wykropił Ostroucha, Ostrouch Wysłoucha, Wysłouch Sołoucha, Sołouch Pocieja, a Pocieja wypocił Kierdeja, Kierdej zaś Kołontaja...]

— A nicże, kochanieńki, nie powiesz o sobie? — przerwał mówcy, z przekąsem niejaki, pan Wysłouch, wychylając z ciżby łysą i, jak dynia okrągłą, głowę.

Mleczek złożył mu ukłon niziuchny i rzekł:

— Właśnież, na usługi waszmości dobrodzieja mojego. Kołontaj wydoił Mleczka, Mleczek dało Śmietankę, Śmietanka urobiła Masło, Masło zdało się do Zemli, a Zemla do Serucia, Seruc zaś wykarmił Kuleszę, Kulesza wychował Skoworotkę, Skoworotka wytłukła Kaszę, z Kaszy wzięła się Krupa...

— Oho! — zaśpiewał on łyech powtóre —

pokiełbaś, kochanieńki! Krupy nijakiego w Litwie niemasz. Jest jeno Krupek herbu Krupka.

Ktoś odpowiedział:

— Są takż Krupscy herbu Korczak.

Inny poprawił:

— Nie brak onych i herbu Topacz.

— Pozwólcież, dobrodzieje moi! - wyrwał się z kąta milczący dotąd szlachetka. — Są jeszcze Krupeccy, Krupiccy i Krupoccy. Krupickich rodzina znaczna w Pińszczyźnie. Sam onych znałem.

Dyskurs stał się powszechny.

Bieluśki jeden staruszek podniósł w górę palec trzęsący się, na znak, że chce mówić. Cała kompania umilkła, on zaś oświadczył:

— [Jegomość pan Waclaw z Potoka Potocki, podczaszy krakowski, ostrzegał, aby nie mieszano Krupskich z Kurpskimi. Pierwsi, to stara, osiadła szlachta litewska, drudzy zaś ród swój wiodą z Moskwy. Powiadał on o tem:

...Znałem Kurpskich wiele

W Litwie, ale od Krupskich różnej parentele.

Jeżeli z Moskwy poszły familije obie,

Nie wiem jakby je zgodzić? -- bo Kur Krupy zdiobie.)

Rozśmieli się szlachta po swojemu, to jest hucznie a krzykliwie, jakby naraz stado pawiów wrzasnęło...

Dopiero, gdy ten wybuch przycichł, dorwie się do głosu Mleczek, zgoła zakrzyczany i wąsa szpakowatego w rozdrażnieniu przygryzający.

— Dobrodzieje! mośćpanowie! bracia Litwini! — krzyczeń weźmie. — Choć wy na mnie kupą, ja przecie się nie dam. [Daj Bóg zdrowie Krupkom, Krupeckim, Krupickim i Krupeckim. Niech żyją fortunnie i Kurpscy, których *origo* w kniaziowskim Kurbskich domu. A taki nie przedam ja waszmościom swego Krupy, o którym wszystkie już zaścianki śpiewają:

Król Jagiełło bił Krzyżaki,
I pan Krupa chciał być taki...

Krupa, powtarzam, Krupa — a nie Krupka, Krupek, Krupecki czy Krupicki.]

— Protestuję! — zakrzyknął ktoś, mocno już podpity. — Szlachta, to bractwo, rodzina — świętość, mosanie! Dość już mamy skartabellów i neofitów — nowymi wtrętami zapaskudzać jej wara!

Rzuci się Mleczek, jakby nań kto wrzątkiem prysnął.

— Psu swemu każ waść warować, a nie szlachcicowi tak dobremu — ba, lepszemu! — jak sam jesteś!...

W moment przyskoczył doń tamten z podniesioną pięścią, drąc się na całe gardło:

— Co?... jak?... »Lepszemu?...« Ode mnie lepszemu?... [Pukszta jestem, mosanie!... Od Pukszty nikt lepszym być nie może.

— Pukszta czy Szukszta, to mi zarówno. A waść się nie drzej, bo cię tu *immediate* uciszyć potrafię.

— Spróbuj... Pożałujesz!

— Owa!... Dośćby mi było kułakiem gębę ci zatkać!

— Pożegnałbyś się z onym — i z całą ręką!

— Pierwejby twoja odpadła, po samo ramię odrąbana!

Indyczą się tak, srodze obaj rozczzerwieni, strasznie ślepiami przewracając, patrzeć zaś na nich — istna krotofila.

Pukszta, mały a przysadzisty, z głową w ramionach, na krótkich, krzywych nogach, wyskakuje ku Mlecze, na wysokim stołku stojącemu. Tamten zaś, długi a chudy, na nogach szczudłowatych, z nosem pociągłym, zgarbił się i z góry onemu wygraża. Bocian, rzekłbyś, zabierający się dziobnąć żabę.

Animusz obu, węgryzmem podkomorskim podniecony, wzrastał tak gwałtownie, że ma-luczko, a porwaliby się do szabel. Widząc to, kompania rzuciła się ichmościów rozdzielać,

mitygując zaperzonego Mleczka i odciągając Puksztę, który z wielkiej pasyi tupał nogami i zgrzytał.

W rozgardyaszu ostatniemu urwano połę od kontusza, Mleczko zasie, zrzucony ze stołka, legł, jak długi, na pawimencie.

Ponieważ, ległszy, powieki zawarł i żadnym członkiem nie poruszał, zatrwożono się wielce: czy go od cholery śmierć nagła nie potkała...

Ale uspokoił gospodarza i panów braci imépan Mokrzecki, który, znając dobrze swego rezydenta i przyjaciela, ledwie nań spojrzawszy, oświadczył krótko:

— Chrapnął.

Zaczem Pafcio przez dwóch roślých hajduków wyniesion jest do komnat gościnnych, gdzie go łoże, puchówkami usłane, w objęcia przyjęło i utuliło.

Pukszta, jeszcze po ustąpieniu adwersarza, rzucał się i hałasował, zwady to z tym, to z owym szukając. Wówczas pan Karp, w takich sprawach *vir expertus*, szepnął panu staroście, aby kazał przynieść petercymentu. Gdy gwałtownikowi przyzwoitą *dosis* pieprznoognistego trunku zaaplikowano, wnet się uci-szył, głowę o poręcz wsparł i ssąc kielich, niby pierś matczyną, słodkim snem niemowlęcia zasnął.

Nowego wybuchu obawiając się, pozostawiono pana brata *in pace*.

Szlachta powróciła do kielichów i do przerwane go dyskursu.

— Panu Mleczkowi — ozwie się ktoś — Bachus nie pozwolił rzeczy swej doprowadzić *ad finem*. Powiedział on nam jeno: co było przed transmigracją Litwy do Żmujdzi. A przecie nie kończy się na tym punkcie ani świat, ani Litwa...

— To się wie — przytwierdził inny. — Nie doczekał się nawet wyvodu swego nieboszczyk Puksza...

— Nieboże — westchnął trzeci — nawet przed Świętym Piotrem wylegitymować się ze swego szlachectwa nie potrafi...

Dla szlachty, każdy, kto kielichowi placu nie dotrzymał, był *mortuus*. Wykreślali go natychmiast z listy żyjących — do pewnego, rozumie się, terminu.

Starosta skinął na służbę, która w mgnieniu oka niedopite kielichy ze stołu sprzątnęła, stawiając na ich miejscu inne, po same wręby nalane.

— Najosobliwsi, najserdeczniejsi, całą duszą ukochani panowie bracia i dobrodzieje moi! — ze łzami w oczach zakrzyknął, ramiona do uścisku rozkładając. — Robak nędzny jestem, ale mię łaska wasza do naj-

wyższej godności podniesie, gdy na intencję nieboszczykowską raczycie wychylić jedną jeszcze kolej: za zdrowie duszyczek w czyścću cierpiących...

Z wielkiem przejęciem się wezwania wysłuchano. Nikt słowa jednego nie wyrzekł; nikt nie powiedział: »tak«, ani »nie« — ale wszyscy, ręce do pełnych puharów wyciągnąwszy, krzepko one ścisnęli.

Ponuro jęknął chór:

— A dusze zmarłych, które w grzechu z tego świata zeszyły, niech odpoczywają w pokoju wiecznym...

Wszyscy, jak jeden, puhary do ust podnieśli.

Wszyscy, jak jeden, osuszyli je do dna.

Wszyscy, jak jeden, huknęli:

— Amen!

Wrychle potem, to tego, to owego wynoszono na spoczynek — nie wiekuisty wszelako. W sypialniach, zamiast letniej, esencją różaną zaprawnej wody, pojawiły się miski ze śniegiem. Niedawna *hilaritas* ustąpiła miejsca jękowi i zębów zgrzytaniu.

Jeno pan cześnik Mokrzecki, w zupełnej czerstwości zdrowia, ze sterczącym w górę wąsem, na kwaterę swą, bez niczyjej pomocy poszedł, sam się rozdział, codzienne modlitwy

pro defunctis odmówił i legł spokojnie na łożu.

A przed zaśnięciem, wzdargliwie wydawszy wargi, nachmurzył się i w przestrzeń, niewiadomo do kogo, rzucił:

— Kpy!...

XI.

Było nieco po dziesiątej, gdy rzeźwy cześnik z osowiałym Pafciem udali się do pałacu na posiłek ranny, mianowany »drugim śniadaniem«, choć obfitością wiktów niemal obiadowi dorównywał.

Spożywano owo śniadanie albo wespół z gospodarstwem, albo *a parte*, każdy w swojej kwaterze. Tego dnia tak się złożyło, że jeno pan Mokrzecki i jego rezydent do wspólnego stołu sięść mieli.

Wyszedł na powitanie gości pan obersztlejtnant, serdeczny, jak zawsze, lecz jakoś markotny. Ucałował obu, o stan zdrowia troskliwie wypytał, a potem zaraz, na środku komnaty stanąwszy, minę przybrał smętną i wyrzekł:

— Żałosną wieść waszmościom dobrodziejom mam zwiastować. Wczoraj, o godzinie szóstej na półzegarzu, jegomość pan sędzia

Towiański, serdeczny mój przyjaciel i najosobliwszy dobrodziej, *cito et insperate*, terminu dni swoich doszedł...

— Umarł? — wykrzyknął cześnik, pełen przerażenia.

Starosta ręce rozłożył, głową pokiwał.

Zapanowała na dłuższy moment cisza, którą mącił jeno szcęk gdańskiego zegara w kącie. Wszyscy głowy zwiesili, pełni powagi i zadumy.

Przerwie wreszcie milczenie Mleczek, mówiąc głosem cichym a głębokim, do okazyi przystosowanym:

— *Sicut flos egreditur, et fugit velut umbra*. Różą wspaniałą rozkwitał, a zwiędł, jako trawa podcięta... *Requiescat in pace*.

W głowie cześnika myśli kołowały, napęniając ją chaosem. Żal mu było przyjaciela, żal ezłowieka prawego, choć podczas i przykrego w pożyciu; litował się też nad małodetnią, pozostałą po nim sierotą; wszelako nie była ta boleść tak wielką, żeby mu aż całą duszę osmęcać miała...

Coś tłumilo porywy żalu, coś trzymało na wodzy litość. Myśli z trudnością dawały się skupić na smutnym obiekcie; odlatywały wciąż odeń z drażniącą płochością.

Zżymał się pan Mokrzecki na siebie sa-

mego, na swe niewczesne roztargnienie, na grzeszną obojętność...

Przy stole jedzenia nie tknął — cmokał jeno małymi łykami kafę z porcynełowej filiżanki i siedział, jak mruk, w pusty talerz wpatrzony.

Inni zatrudniali się *exclusive* nieboszczykiem.

— Zawždy był superfinowy... — szczebiołała miłym, flecikowym głosem pani Bitowtowa.

— Jak kurczę! — potwierdził pan Bitowtt, we wszystkim echem swej jejmości będący.

Pafcio wtrącił półgłosem, nieśmiało:

— Nie wadziło mu to przecie wazą krupnik litewski spijać i kopami zmiatać kołduny...

— A co mówią o zbytnej nieboszczyka porywczosci, to czysta kalumnia — ciągnęła dalej słodko starościna. — On jeno, najpoczciwsza pod słońcem dusza, ścierpieć nie mógł widoku uciśnionej cnoty...

— Uciemężonej niewinności... — dodał starosta, czule w małżonkę wpatrzony.

A Pafcio wtrącił:

Widział zaś one na każdym kroku, najpierwej zaś — we własnej personie...

— Ach! — westchnęła obersztlejtnantowa, chusteczkę korunkową do oczu przykładając —

anioła straciła jejmość pani Towiańska — prawego anioła!

— Sama takż aniołem jest prawym! — westchnął obersztlejtant, powiekami mrugając, aby z oczu bodaj jedną łzę wycisnąć.

Mleczek, któremu jeszcze z głowy wczorajsze [czeremere] nie zgoła ustąpiło, mruknął:

— Jegomość anioł, jejmość aniołowa, to jejmościanka pewnikiem — aniołówna. Szkoda, że się ta familia obficie nie rozrodziła, mielibyśmy niebo w lidzkim powiecie...

Na te faramuszkę Pafciowę nikt uwagi by najmnieszej nie zwracał. Zresztą czynione były bardziej dla osobistej satysfakcyi, niż na użytek publiczny.

Starościna, mieszając łyżeczką kafę, której jeno kilka kropel przez białe ząbki przecezdziła, ozwie się wprost do pana Mokrzeckiego:

— Wszystkim nam do Kotczyna trzeba jechać, nieboszczykowi panu sędziemu posługę ostatnią oddać, nieutuloną w żalości wdowę pocieszyć...

Zanim jeszcze zagadnięty zdołał odpowiedzieć, już starosta przypadł do rąk małżonki i czule one obcałowywał.

— *Charmante Franula!... ma femme exquisite!...* — mówił, romansowo w jej oczy patrząc. — Z aplauzem tę myśl przyjmuję, jak wszystko, co z różanych ustek mojej Minerwy

wychodzi. Tuszę takóŜ, Ŝe jegomość pan cześnik, ekstraordynaryjny mój przyjaciel, i (ku Pafciowi się zwrócił) pan wojskowiec nowogrodzki, serdeczny nas wszystkich łaskawca, i wszyscy zebrani *in hoc momento* pod dachem moim sąsiedzi, współpowietnicy i najosobliwsi dobrodzieje moi, wraz z nami na pogrzeb jegomości pana Towiańskiego pośpieszą.

— Bodajby zaraz! — przytaknął cześnik, budząc się z zadumy i na Pafcia spojierając, który powstał i kłaniając się towarzystwu, oświadczył:

— Komu w drogę, temu czas. Gdy mamy jechać, to już mitrężyć nie wypada, jeśli chcemy oblicze nieboszczykowskie chocia w trunie obaczyć.

Zaczem wszyscy się do komnat swych rozeszli i do drogi gotować się jęli.

Pan sędzia Towiański, acz nie magnat, człek był znaczny i w powiecie swym konsyderowany. Wieść o jego śmierci, dzwonami licznych kościołów i cerkwi, od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od zaścianka do zaścianka, podawana, szeroki krąg obiegła i szerokiem w sercach współziemian odbiła się echem.

Do Kotczyna śpieszono zewsząd karocami i kałamaszkami, wierzchem i *per pedes*. Po-

społu ze szlachtą, księżmi i rycerstwem, ciągnęło tam, chmarą wielką, dziadostwo wszelkiego kalibru, chrome, ślepe, pokurczone, wieszane na wózkach, przez psy albo pacholeta prowadzone, na szczudłach dyrdające i czołgające się na czworakach — dziadostwo syte, wypasione, gorzalką cuchnące, którego łapcie były grubo wymoszczone słomą, a łachmaniaste oponcze sowito, od spodu, futrem zajęczem podszyte.

Drogi się popsuły, śnieg był kopny — ledwie na noc dowleczono się z Łopienicy do Kotczyna.

Uściskom, łzom i jękom końca nie było, gdy starościna z sędziną witać się jeły. Aż je przemocą rozłączać musiano i sole im trzeźwiące pod nosy tkać, boby pewnikiem obie jejmoście pomglały.

Zresztą, z panią Towiańską dyszkursu żadnego być nie mogło, jeno bowiem ręce co moment łamała i tuląc do boku swą córuś, jęczała głosem rozdzierającym:

— Och, sieroty my teraz — sieroteńki!

W wielkiej bawialni, gałęźmi świerkowemi przybranej, których ciemna, prawie czarna, zieleń pochłaniała światło mnóstwa świec jarzących, leżał na marach nieboszczyk pan sędzia, niby dąb, burzą powalony. Nie miała wszelako w sobie nic bolejącego okazała po-

stać w kontuszu, z podgoloną czupryną, z małym, opuszczonym wąsem — której oblicze okrągłe, spokojne, z zawartemi powiekami, zdało się mówić:

— Otóż ja się teraz za wszystkie czasy wyśpię!

Bowiem *notandum est*, że nieboszczyk pan Towiański zawżdy się na niewywczas użalał i nigdy snu nocnego i poobiedniego zadość mu nie było.

Pogrzeb odbyć się miał nazajutrz — i teraz już przecie zakonnicy różnych reguł, kolejno się mieniając, swoje lamentacye przy zwłokach odśpiewywali.

Cześnik, ułożywszy w drodze trefną dla wdowy kondolencyę, nie mógł jej nawet *ad finem* doprowadzić, przerwano mu bowiem wybuchem płaczu i słowami rzecz całą zamykającami:

— Och! sieroty my teraz — sieroteńki!

Pani sędzinie asystował na każdym kroku pewien jegomość układny, w starszym wieku, lisem zdala załatujący — niby to jej brat, ale jak mówiono: przyszywany. Niegdyś pana Mokrzeckiego *amicus*, okazywał mu i teraz względy duże, poznać wszelako dawając, że jeśli z gorącym afektem wita go, z większymby jeszcze — pożegnał.

Dziwnie się ów jegomość turbował o sub-

stancję majątkową nieboszczyka pana sędziego; ciwuna i czeladź na stronę brał i rozpytywał, do archiwum wkładał się, choć tam wstępu broniono. Wciąż był przytem słodko uśmiechnięty, z amicycją wszystkim się narzucający, i tak poczynił sobie, jakby już wdowa z sierotą i całą schedą nieboszczykową w opiekę oddane mu były.

Gdy po jednej stronie dworu braciszkwowie zakonni ciągnęli przez nos żałobne rekwie, po drugiej — kucharz od ognia nie odchodził, przez cały dzień Boży gotując, smażąc i piekąc dla miłych sąsiad, na pogrzeb zjeżdżających.

Kuchciki naszali wciąż czubate półmichy do wielkiej, dębiną futrowanej komnaty; a i loszek nieszeptnie opróżniano.

[Serce sercem — brzuch brzuchem. Na czczo nawet czułym i litościwym być trudno.]

Dobrze bracia Litwini podjedli na wieczrę, poprawili nazajutrz przy śniadaniu, to też w czasie żałobnego obrzędu serca ich pełne były gorącej komizeracyi, a łzy rzęście kapały na lisiury, wilczury i niedźwiednie, któremi się byli odzieli.

Sam zasie obrzęd nie przyniósł ujmy ani godności nieboszczykowej, ani sławie powiatu, którą zawżdy cnym obywatelom w należytej obserwancyi trzymać wypada.

Pod tę porę siła gadali w Kownie i Litwie o pogrzebie sławnej pamięci hetmana Potockiego, gdzie zakonników białych, czarnych i burych na seciny liczono, gdzie od huku dzwonów powietrze się wstrzęsło, sprowadzając chmury wielkie i czarne, a potem nawałnicę z błyskawicami i grzmotami (rzecz w zimie niesłychana), gdzie nakoniec na salwy działowe tak wiele prochu zużyto, żeby go było na niejedną potrzebę z Tatarami i Moskwą starczyło...

Pogrzeb jegomości pana sędziego nie mógł z owym iść w paragon — przecie, dyferencyę stanów uwzględniając, wszystko odbyło się *honeste* i z zupełną cnych uczestników kontentacją.

Zakony okoliczne wystąpiły *in pleno*, tak męskie jak białogłowskie, z przeorami i przeoryszami, afekty manifestując gorące — k'czemu pomogła niemało fama o hojnych zapisach, przez pana Towiańskiego na klasztory zdziałanych.

Bicia we dzwony było zadość — ile, że dzwonnikom przygodnym dawano po szelągu, więc się ochotnie do sznura kwapili. Trwała ona muzyka spiżowa od momentu śmierci pana sędziego, dniem i nocą; ochotnicy mieniali się, a sił nie szczędzili, boć wiadomo,

że to i nieboszczykowi idzie na zdrowie, i dzwoniącym nieba kęs przyczynia.

Nie brakło także i strzelania — a dwie wiwatówki księcia pana Radziwiłowe, *ad hoc* z Nieświża przywiezione, huczek całe przyzwoity sprawiały.

Coronam wszelako *operis* wyobrazilo przemówienie żałobne jegomości pana starosty cyryńskiego, zawołanego oratora, który żadnej okazji nie chybił: bądź na Sejmiku, bądź na pogrzebie, bądź też na godach weselnych, żeby swem krasomóstwem zabłysnąć.

Pan starosta, mąż niewieliczki, chuderławy, ale z wysokiem, łyseń czołem, z którego *ingenium*, jako światło z lampy, na całe zgromadzenie biło, minę solenną a żałosną nastroiwszy, w ten sens rzecz swą prowadził:

— Próżno się uganiać za laty i próżno rączym niedoścignione chwytac godziny Pegazem! Unoszą skrzydlate Eury od Wschodu aż ku ostatnim Zefirom szybko lecące życia naszego obroty! *Eheu!* wynosi się niedaremnym zamachem *inevitabile Fatum* nad krótką dni naszych rewolucyę! Nieutulonym chyba żalem dostarczac możemy zasutych popiołem wielkich parenteli utraconych koligatów i przyjaciół, obfitemi onych windykując łzami!..

Jakkolwiek aż do tego punktu nic się osoby nieboszczykowskiej zdala nawet nie

tknęło, wszelako w zgromadzeniu, tam i sam, stłumione słyszeć się dały szlochy. *Solennitas loci et momenti*, sama już przez się, wymagała tego po obecnych.

Teraz dopiero mówca, nazbyt górne sfery porzuciwszy, ziemskiego padołu dotkąc raczył stopą — i jeśli tak się rzecz godzi — językiem.

— Dziś oto — zagrzmiął, głos podniósłszy — stawiamy sobie *pro doloris objecto* ciebie, niegdy waszmość panie sędzio graniczny powiatu wołkowyskiego, którego scena fatalna *in lugubri theatro* na widok publicznemu *exposuit* żalowi. O ty! prześwietna wielmożnych ichmościów panów Towiańskich prozapiro! I któż wyrazić potrafi nie tylko domowych z przysięgłej i wrodzonej miłości orfanatów, kędy *tot lachrymas generavit amor*, ale i licznych koligatów w sercach zanurzone żale? Godne honoru i wdzięcznej pamięci wielkich antenatów w wielmożnym niegdy jegomości panu sędzim złożone akcye, chwalebne przymioty zasłużonych Ojczyźnie herojów, jenerałów, pułkowników, poświadczają bałtyckie brzegi w szwedzkich, duńskich i moskiewskich potyczkach, inflanckie granice — ba, i w otomańskich imprezach heroiczne dzieła, którzy własnymi Ojczyznę zastawiali pierściami!...

In effectu, milczy dotąd historia o wielkich tego rodzaju dziełach i cnego skądinąd

imienia Towiańskich na kartach heroiczych nie zapisała — zawždy wszelako takowe krasomówcze addytamenta mile bywają słuchane, a w solennych okazyach, jako to: na weselach albo pogrzebach, są zgoła nieodzowne.

— Tuć to trzeba było — ciągnął mówca głosem coraz podnioślejszym — sprawiedliwą wyrzecz srogość, i zawziętej na cną parentelę wstręt uczynić Libitynie! Albo przynajmniej, nieuchronnej uchodząc żałoby, żarliwością biegu swego, nieoszacowane unosić życie!

Nastąpiły z kolei ogólne a wielce żałosliwe lamentacye na temat krótkości żywota ludzkiego. Głośny płacz rozlegał się po kościele i cmentarzu. Ryczeli zwłaszcza włościanie i pospólstwo, wiedzący, że już z reguły zawsze tak czynić wypada.

W zakończeniu oracyi, pan starosta cyryński zwrócił się wprost do pozostałej rodziny — i wpierw dokładnie koligatów nieboszczykowskich zliczywszy, takim rzecz swoją zakończył zwrotem:

— Nie chciałbym pozostałej małżonki, oraz dwunastu serc krwią złączonych, żałosną dotykać palpityą, wszelako z pod tego kamienia, o który kontentece wasze i wszystkie rozbiły się nadzieje, sławnej pamięci jegomość pan dobrodziej i nieboszczyk ostatnią przeze mnie do was czyni narracyę: — Po-

przestań nad głuchym grobem wyrzekania i niemężnych nad mężnymi lamentów, rozkwilona we łzach krwi ukochana! Poprzestań...

Ostatnich słów krasomówcy, dla ogromnego płaczu, nie można już było dosłyszeć.

Po pogrzebie, zwykłym obyczajem, odbyła się stypa sowita. W kilku komnatach długie rozstawiono stoły, przy których jadłem i napojem ugaszczani byli przyjaciele, współzemiańskie, współpowietniczy i koligaci nieboszczakowscy, a także Ojcowie, Bracia, Matki i Siostry obecnych zgromadzeń zakonnych.

Pani Towiańska ukazywała się jeno na moment to tu, to owdzie, zawždy z córką i z panią starościna Bitowttową przy boku. Nie odstępował białogłów i ów przyszywany brat jejmościna — łącznie było wszelako poznać, że jest dla nich niepożądanym natrętem.

Wyraziło się to jeszcze dobitniej przy okazji obierania opieki dla wdowy i sieroty. Natrętnego krewniaka zgoła od onej usunięto; głównym natomiast opiekunem został pan Antoni Mokrzecki, rotmistrz buławy polnej i cześnik powiatu lidzkiego.

XII.

...I znów siedzi pan cześnik w swej kancelaryi zatechłej, i w kompanii wiernego Pafcia, swe *otia domestica* rozpatruje.

Jest piękne, letnie popołudnie. W kancelaryi rozwarto okien dwoje na przestrzał: jednym nadbiegają z dziedzińca głosy krzątającej się przy gospodarstwie czeladzi; drugim płynie aromat świeżo skoszonej łąki. Właśnie kończą tam układać [stóg wielki, baniasty, a raczej cebulowaty, wedle powszedniego na Litwie zwyczaju.]

Prąd świeżego, wonnego powietrza przewiewa komnatę, pełną starych papierów i zakurzonych rupieci.

Cześnik i Pafcio siedzą przy stole, z nosami wetkniętymi w stos prawniczych fascykułów. Tym razem wszelako ta obfita jurystowska pisanina nie tknie się osobistych spraw cześnikowych.

Pan Mokrzecki, skończywszy odcyfrowywać jakiś odwieczny dokument, starą białoruszczyzną a pokręconym, jak żydowskie cyrografy, charakterem pisany, ziewnie szeroko i rzecze:

— A bodaj jego kaczkki zdeptali, chocia on i nieboszczyk! Taże, Pafciu-duszo, pieniacz to był, jakiego Litwa i Korona nie znały!

Pafcio, długi nos z papierów wynurzywszy, potwierdził:

— Widzi mi się, panie rotmistrzu dobrodzieju, że on i na tamtym świecie niewinne duszyczki przed sądy ziemskie i grodzkie, ba! i przed Trybunał Najwyższy ciąga. Niedarmo sędzią był i sędzicem. Towiańscy, z ojca na syna, juryści i pieniacze.

— Uważ, kochanieńki, co ja z apryła miesiąca w interesach jego grzebię się, a nie wiem, czy i do septembra będę gotowy!

— Sam, rotmistrzuniu dobrodzieju, napytałeś biedy, tak i cóż się uskarżać...

— Mus to był, Pafciu-serce — obywatelski i chrześcijański obowiązek. Wdowie a sierocie pomoc nieść, sama Ewangelia przykazuje.

Mleczek nosem czmychał, rzekomo go wycierając.

— Tak, tak, Ewangelia... Tak, tak, obowiązek... — niewyraźnie mamrotał. — A taki, dobrze wszystko zliczywszy, nie wiem, czy

z tych czterech miesięcy choć jeden w Rakowiczach pan rotmistrz dobrodziej spędził..

— Prawda to jest, Pafciu-duszo. Toć nawet i jejmość szafarka kiedyś pytała, czy ma pościel moją, bieliznę i skrzynię z szatami do Kotczyna, jako *in locum fixum*, wyprawić.

Pafcio prychał, krztusił się, przyszczyżone wąsiki tarł, szeroką dłonią zakrywając uśmiech zagadkowy.

Cześnik w stół knykciami zabębniwszy, mruknął, jakby do siebie:

— Mitręgi z tem wszystkiem zadość, ale cóż czynić!

Pafcio bąknął:

— *Est modus in rebus*, panie rotmistrzu dobrodzieju...

— Dawajże go, a prędko, Pafciu-kleynocie!

Spuścił oczy Mleczek — ledwie dosłyszonym głosem wyszeptał:

— Zamiast Kotczyn ustawicznie nawiedzać — jejmość panią sędzinę do Rakowicz sprowadzić...

Nic na to pan Mokrzecki nie odrzekł. Nie zawżdy wszelako milczy jeno ten, co nic do powiedzenia nie ma.

Poczekawszy moment, cześnik, jakby niespodzianem przypomnieniem uderzony, w czoło się stuknie i zawoła:

— A oweż sto talerów!

Rezydent udał, że nie rozumie. Więc cześnik znowu:

— Sto talerów, mówię, którymi nieboszczyk mój rodzic nieboszczykowi panu Smogorzewskiemu, dziadkowi jejmość pani Bitowttowej, niegdyś, w pilnej potrzebie, był wygodził. Jak widzę, zapomniałeś o tem na szczęć, Pafciukochanie!

— Com miał zapomnieć! — uśmiechnął się Mleczek. Jeszczeć, Bogu chwała, na głowę nie szwankuję.

— Czemużeś tam, Pafciu-przekoro, ani bąknął o onych?

— Byłże czas? byłaż okazyja? Późno się wstawalo, późno kładło, a między tem ciągły traktament i różne przyjemne rekreacye. Trudnoż *inter pocula*, w godnej kompanii, przy wzajemnych komplementach i weneracyach, z obligiem wyjeżdżać. A jak na toż, i obligu nie mamy.

Potał czuba cześnik.

— Prawdęś rzekł, Pafciu-serce. Korciło mię nieraz przymówić się o ów dłużek, który z prowizją blisko półwieczną, piękne *quantum* przedstawia — ile, że mi na wyprawkę dla jejmościanki córki gotowizna pilno potrzebna — ale mówić o sprawie nie było sposobu. Jejmość pani starościna tak słodko nadobnemi oczyma spogląda, tak uprzejmie

dźwięcznym głosikiem szczebiocze, tak wreszcie przymilająca się i gościnna, że najmężniejszemu odwagi-by zbrakło, choćby rzecz szła nie o talery, lecz o czerwone złote...

Pafcio milczał, ale wąskie wargi rozszerzały mu się coraz bardziej wiele mówiącym uśmiechem.

Dostrzegł to pan Mokrzecki — niecierpliwie się zmarszczył...

— Cóżes tak krotofilny, Pafciu-wesołku? — z przekąsem niejakim zagadnął.

— Uśmiecham się, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju — odrzeczę Mleczeko — bowiem i sprawa cała jest krotofilna. Jejmość pani Bitowttowa rozbraja tym kształtem swych wszystkich kredytorów. A liczy ich pono więcej, niż pereł w swym naszyjniku...

Zadziwił się cześnik.

— Cóż-bo wygadujesz, Pafciu-papło! W łopienickim dworze dostatek taki, żeby go i dla innych starczyło. Obfitość sprzętów, splendorów, służby, jadła, napoju, jak u wojewody albo hetmana. Państwo obersztlejtntantowstwo *honeste*, po pańsku i po magnacku, żyją...

— Za cudze pieniądze! — dokończył rezydent półgłosem.

— Bój się Boga, Pafciu-złośliwcze! Ta-że samo starostwo dymnickie piękny profit czyni...

— Zapłacił za one pan podkomorzy Le-

parski, pożyczwszy dwa tysiące dukatów — któremu za pilnem naleganiem, oddał sumę rodzony pana Bitowtta, jegomość pan Karol Bitowtt, marszałek upicki. On jeden w rodzinie pieniądze i stateczny. Jego są Wodokty i Dawidyszki. Estymy wielkiej zażywa, jako mąż poważny i rozważny, cale do pana obersztlejtnanta niepodobien — który był zawždy lekkoduch, utracysz i golizną świecił.

— A Łopienica? Toćże mu ją Smogorzewszczanka w ślubnem wianie wniosła.

— Gdzie zaś! Kupować oną od stryjecznego musieli. I znów połową sumy wygodził staroście pan marszałek, cale do tego nie obowiązany, bowiem substancyi po rodzicach zostało tyle, co nic. A resztę sumy popożyczali, gdzie się dało. Niema pono jednego w pułku dragońskim oficjera, ani w całym powiecie wołkowyskim pieniędzy ziemianina, którychby debitorami państwo obersztlejtnantowstwo nie byli.

— Spłacają ich, tak i cóż?

— Gdybyż spłacali, mości rotmistrzu dobrodzieju! Ale oni jeno komplementami i gościnnością liczby swe regulują. Pan starosta ściska, fetuje, o dozgonnej przyjaźni zapewnia; sama zaś jejmość..

— Przestań, Pafciu-obmówco! Sameś cnoty

pani obersztlejtntantowej pod niebiosa wynosił!

— I dziś onym ujmy nie czynię. Ale trudno nie widzieć, że swego pana małżonka nad wszelką miarę i potrzebę miłuje, i wszystko bez braku poświęcić dlań gotowa. Jej też jeno rezolucności zawdzięcza pan Bitowtt, że interesy starościńskie i łopienickie jeszcze się dotąd kupy trzymają.

— Niech jej Pan Bóg da zdrowie i dziatki nadobne! Miłe i grzeczne z niej kobieciątko. A co się tknie tych tam kredytorów...

W tym momencie zaszedł fakt, który panu cześnikowi zaczętego przemówienia dokończyć nie dał.

XIII.

Już od pewnego czasu, z łąki, gdzie siano grabiono, dochodziły podejrzone głosy.

Brzmiało to niby echo głośnego sporu: jakby ciwun łajał parobków, albo chłopstwo kłóciło się między sobą.

Nie zważał na te głosy pan Mokrzecki, pilniejszemi sprawami zabawny.

Ale jednym razem, wrzask się podniósł taki, jakby orda tatarska na Rakowicze napadła. W ucho cześnikowe wpadły wyraźne już okrzyki:

— Bij! łapaj! wiąż!...

Przerwie sobie zatem mowę, do okna skoczy i dłonią od zbytnej jaskrawości słońca zasłoniwszy się, wzrok i słuch wyteży...

Obok cześnika znalazł się wnet i Pafcio, długim nosem wiatr od sianokosów wciągający.

Badali tak przez moment sytuację — wre-

szcie rezydent z pomieszaniem niejakiem szepnie:

— Rotmistrzuniu dobrodzieju... czyżby zajazd?...

— Zajazd, Pafciu-mospanie! Zajazd najformalniejszy!

— Skądże przecie? Kto? i o co?...

— Wnet się to wyklaryguje. Tymczasem i nam pomyśleć o sobie trzeba. Chcą awantury — będą mieli awanturę.

I zaraz, do okna przeciwległego podbiegłszy, całą pierśią zakrzyknie:

— Chwedor! Ściepan! Józik! Matwiej! W dzwonek uderzyć! czeladź z pola, z łąki, z ogrodu zwoływać! Na koni wszyscy — z fuzją, z kosą, z widłami, z czem kto może!

W momencie rum się zrobił wielki; ludzie wysypali się na dziedziniec rojno, jak pszczoły z ula. Donośny głos dzwonka trwogę na całą okolicę rozsiewał.

Starszy synaczek cześnika, młodzieńczyk zadzierzysty, ukazał się na koniu, jak na wojnę zbrojny, bo nawet w koszulce drucianej i w misiurce, którą z lamusa wyciągnął. Prawdziwy Mokrzecki, w mig zrozumiał, co się święci, błyskawicznie plan obmyślił i piorunem go wykonał.

Zahuczał dziedziniec od tententu koni, od szczęku szabel i kos, od prędkiej, głośnej

komendy i hałaśliwych odzewów. Śladem ojca postępując, sposobił się cześnikowicz na rycerza; wojenne rzemiosło mu pachniało.

Sam cześnik o zbrojeniu się nie myślał — jeno harapnik w rękę wziął, poły kontusza zakasał i wyprowadzić dla się kazał konia cnotliwego.

— Nie strzelać! — krzyczał do zbrojnej gromady — chyba, gdyby tamci zaczęli. A flinty nie ołowiem nabite mieć, jeno solą!

Pafcio tymczasem, wzięwszy w sukurs kucharza, w rożen zbrojnego, pomknął opłotkami ku łące, gdzie się owo *larum* wszczęło. Z ukrycia nos wytknąwszy, popatrzył, posłuchał, nozdrzami powietrza pociągnął, i nie bawiąc, z raportem do cześnika powrócił.

— Na mojem się stało, rotmistrzuniu dobrodzieju — nie bez niejakej kontentacyi mówił. — Nie pomogły sądy i wyroki; nie pomogło traktowanie *per non est* jenerała; nie pomogły nawet sypane przez komornika kopce graniczne. Sprawa z Girgasiną odrosła, jak grzyb, którego nie wyrwano z korzeniem.

— Więc to ruszył się zaścianek?

— A któżby inny, wielmożny rotmistrzu! Toć z panami sąsiady w zgodzie żyjemy statecznej — jedna jeno jejmość Girgasina zawždy coś tam na wątróbce do rotmistrza dobrodzieja chowa...

— Niech ją Bóg sekunduje. [Babus nie-
uchodzony!]

Splnął cześnik i prędko wypytywać jął:

— Siła ich?

— Kupa znaczna.

— Zbrojni?

— Strzelby mają, pistolety, rapiry. U je-
dnegom widział garłacz, coby weń wszedł
półkwartek ołowiu.

— Zbieranina pewnie? hałastra?...

— Girgasiaków sześciu na czele. Chłopcy,
jak dębczaki.

— Któż przewodzi?

— Grubas jakowyś, z blachą na piersiach,
w czapce lisiej z nausznikami, w skórzniach
za kolana...

— Girgasina!

— Nie białogłowa, rotmistrzuniu dobro-
dzieju, jeno mąż, i to urody niedźwiedziej,
z szabliskiem sążnistem, z brodą w pół pasa...

— Wiem, co mówię. Girgasina to jest, jeno
od sześciu niedziel nie golona. W ośmnastu
leciech była *virago*, dziś z niej *hic mulier*.

— *Hic* baba!... — poprawił Młeczko, krztu-
sząc się od tłumionego śmiechu.

Z łąki dochodziły krzyki coraz głośniejsze.
Słysząc było parskanie koni i skrzypie-
nie wozów.

Cześnik nogą tupnął.

— I cóż ta hałastra poczynać myśli, dō stu par dziurawych rajtuzów?!

— »Łąka — wrzeszczą — nasza i siano nasze!« Stogi rozrzucają, na swoje wozy ładują...

— A więcej co?

— Siekiery przywieźli i łopaty — kopców imać się zamierzają...

Cześnik wása targał; harapnikiem przecinał ze świstem powietrze.

— Gotować się! — krzyknął do czeladzi, na koniach już siedzącej. — Czuj duch!

— Ojcaszku dobrodzieju! — podjechał cześnikowicz na bystrym koniu, od stóp do głowy uzbrojony. — Ręka świerzbi — pozwól na tę dzicz polecieć i bodaj wyplazować...

— Ani się waź! Wszystko iść musi ordynkiem. Konia mi dajcie!

Na ulubionym srokaczu rozsiadłszy się i stopy w strzemiona wetknąwszy, jął plan kampanii rozwijać, rozkazy w prawo i w lewo rzucać. Rotmistrz ozwał się w nim — po wojskowemu sprawę traktował.

Siły na cztery części rozdzielone zostały; każdej inną wyznaczono rolę.

Pierwszy oddział, z cześnikowiczem na czele, stanąć miał oko w oko z nieprzyjacielem i pierś o pierś uderzyć. Ale natarcie nastąpić miało dopiero po wyczerpaniu środków łagodniejszych. Cześnik, jakkolwiek był

stroną wyzwaną, nie kwapił się zbytnio do bitwy, poczytując ją w każdym wypadku za środek ostateczny — dla tego pewnie, że był żołnierz z zawodu, a nie, jak inni, z okazji lub upodobania.

Dwom hufcom następnym — gdzie czeladź dworska zmieszana była z gajowymi, a stajenni z ogrodniczkami, zlecono napastników oskrzydlić. Turecka to była i tatarska moda, wybrał ją przecie cześnik, poczytawszy *in hoc casu* za najwłaściwszą.

Oddział wreszcie ostatni, któremu przewodził kucharz, mający pod sobą kuchcików, służbę kredensową, parobka, noszącego drwa na kuchnię, oraz sześć pomywaczek, wysłany został drogami bocznymi, aby zajął nieprzyjacielowi tył i odwrotu mu bronił.

Nie upłynęło trzy pacierze, a już hufiec pana Mokrzeckiego i zbieranina Girgasinej znalazły się naprzeciw siebie, wązkim jeno pasem skoszonej łąki przedzielone.

Na dłuższy moment zapanowała cisza. Takowa cisza poprzedzać zwykła wybuch, czy to nawałnicy, czy też bitwy.

Ci, co już z zagrabionem sianem odjeżdżać mieli, zatrzymali konie w miejscu. Tym, którzy słupy graniczne rąbali, uzbrojone w topory ręce znieruchomiały w rozmachu.

Na znak, uczyniony synaczkom przez Gir-

gasinę, akcyę zaczepną wstrzymano. Sama jejmość, rozparta hardo na rosłej, w zadzie szerokiej kobyle, wyjechała szłapią na czoło swego hufca i przybyłym urągliwie przyglądać się jęła.

Girgasiaki kołem otoczyli swą macierz. gotowi na jedno jej skinienie: kłuć, strzelać, rąbać.

Wszelki człowiek zrozumiał był, że nadszedł moment, gdy ktoś głos zabrać musi i wyrzec coś albo bardzo mądrego, albo wielce zadzierzystego.

Jakoż wysunął się na lichej szkapinie pan Mleczko, aby imieniem swego patrona, dłuższą powiedzieć oracyę, i tak rzecz swą zagaił:

— Wielmożna mościa pani Girgasino, sercem ukochana sąsiadko i dobrodziejko nasza! *Obstupuimus omnes*, tak wielmożny jego mość pan rotmistrz dobrodziej, jak wielmożni ichmoście panowie rotmistrzowicze i ja, wierny ich wszystkich *servus et amicus*, na bezprzykładną w dziejach świata wiolencyę praw ludzkich i Boskich, jakiej waszmość pani dopuściłaś się, najeżdżając z orężem wytyczone przez komorników, bezsporne i nie-tykalne majątności rakowickiej granice. [Różne już na powierzchni tej ziemi zdarzały się *mirabilia*, o których czytać w księgach i ludzi

uczonych rozpytywać — nie wszelako z tak ekstraordynaryjną napaścią w paragon iść nie może. Nieopodal sławnego miasta Arlem, w kraju, który zowią Ollandją, pokazowano *publice* białogłową morską, w jeziorze ułowioną, nadobnej urody, z piersiami mlecznemi, ogon rybi mającą. Z morza Fryzyjskiego wyciągnęli żeglarze morskiego człeka z brodą zieloną, całego takiejże farby, włosami obrośłego. W mieście Haye pewna hrabina, imieniem Margaryta, porodziła za jednym razem dzieci trzysta sześćdziesiąt i pięćcioro, to jest tyle, ile dni w roku.] W kraju znów afryckim, w *Caput nigrum*...

Niewładnąca już sobą z pasyi wielkiej Girgasina, na cały głos zakrzyknie:

— Zczecznij, pyskaczu obmierzły! Nie zamkniesz-że to nigdy swej rozjechanej paszczęki?...

Rezydent, zbity kęs z pantaląku, ale bynajmniej na honorze nie draśnięty (nijaka baba nie ma mocy na rzecz tak świętą nastąpić!) opuścił dalsze zadziwiające *exempla* i już prosto *in medias res* godząc, ciągnął:

— *Eheu!* Te wszystkie, i większe jeszcze od nich, ba! i największe nawet dziwy i *curiosa*, faramuszką są w komparycyi z niegodziwością i cale już zbójeckim obrotem waszmość pani, sercem ukochanej sąsiadki i dobrodziejki naszej. Przecieram oczy i sam sie-

bie zapytuję: — Kogoż to ja mam przed sobą: niepoleską, obory jeno i chlewa świadomą, w kurnej chacie zrodzoną, chłopiankę?... Przebóg! cóżem wyrzekł nieszczęsny? Toć głośna fama, po zaściankach chodząca, jejmość panią Girgasinę szlachcianką obwołała...

— Szlachcianką?... — przerwie zaperzona baba. — Sameś waść szlachetka — z tych, co to połą nos a wiechciem gębę ucierają! A Girgasy z kniazów zawždy szli, idą i po wieki wieków iść będą!...

Na tę, cale niespodziewaną, deklarację, wymowny Mleczek zamilkł, jakby mu kto plastrem usta zalepił. Za heraldyka się miał pierwszej mocy, rodowód każdej rodziny litewskiej i żmujdzkiej umiał być od Noego, ba! od Adama i Ewy foremnie wyprowadzać — a tu mu, jak kamień na głowę, spada taka genealogiczna nowinka...

— Z kniazów?... — wybełkotał, do głosu wreszcie przyszedłszy. — Jakem żyw, o kniazach Girgasach nie słyszałem!...

— Boś kiep!... — odpaliła, nie zwlekając, baba. — A mądrzejsi od ciebie taki słyszeli!...

Najczulszą wenę Pafcia potracono. Uspokoić się nie mógł. Mniejsza o babskie przygryzki, ale — gdzież prawda historyczna? Więc w dalszym ciągu protestował:

— Ani Paprocki, ani Bielski, ani Okolski

kniaziów Girgasów nie znają. Nie spotkałem-ci też ich w herbarzykach Swacha i Gorczyzna. Ba! nawet Kojałowiczowi obcy, a *pater* Niesiecki przeżegnałby się pewnie, o onych usłyszawszy...

— Mam ich wszystkich... tam, gdzie i ciebie! — wrzeszczała Girgasina, ani myśląc ustąpić. — Girgasy kniazie z kniaziów, a kto temu przeczy, dureń i kwita!

— Ba! Gdzież przecie dowody?

— Upartyś waść, jak kozioł, a durny, jak stołowe nogi! Dowody byli, ale się spalili. Nieboszczyk *monż* dokumenty miał, jak się patrzy, na byczej skórze, z dyndałkami takimi z wosku. Trza było wtenczas o one pytać. A teraz gębę stulić, bo -- zamaluję!

Najstarszy z Girgasiaków podjechał na koniu — matkę w łokieć trącił.

— Co matuś tak długo ze skurczypałą tym pytluje?... Czas ucieka, a tam nasze chłopcy aż rżą do zabawy!

Baba kęs ochłoneła — wierzchem dłoni nos utarła.

— Racya twoja, synuś!... — spokojniej oświadczyła.

I, aby okazać adherentowi wyraźnie, że dysputa skończona, skreśliła swego konia tym kształtem, że rozrosły zad onego znalazł się na wprost Pafcia. Zaraz też kobyła, jakby

tego nauczona, zadniemi kopytami mocno wierzgnęła, obrzucając pana Mleczka piaskiem i błotem.

Zbytńia to już była konfidencya, a zarazem konfuzya — i nie przeniósłby onej nawet zwykły *scartabellatus*, cóż dopiero urodzony szlachcic, pieczętujący się Doliwą? (Byli także Mleczkowie herbu Korczak, ale się do nich jegomość pan Pafnucy nie przyznawał).

Więc na doznaną zniewagę odpowie rezydent wyniosłem plunięciem i zakłnie, cale już grubo, po białorusku, pan Mokrzecki zaś, w strzemionach się uniósłszy, zakrzyknie:

— Bij, kto w Boga wierzy!...

Zaczem nastąpiła rzetelna łupnia.

Cześnikowicz, wesoło poświstując, powiódł swą jazdę na czołowy hufiec nieprzyjacielski, który miał być *stante pede* oskrzydłony i w jasyr wzięty. Ciurom zlecono załatwić się w tymże czasie z ludźmi, przy woziech z sianem zatrudnionymi.

Zdawało się, że wszystko pójdzie, jak z płatką — aliści jejmość Girgasina okazała się orzechem, cale do zgryzienia trudnym. Rzemiosło wojenne nie było snać obce ani synom, ani matce, cała też rodzina dowiodła niemalej w fortelach bitewnych eksperyencyi.

Gdy cześnikowicz z rozpędem ogromnym na nieprzyjaciela natarł, ów, zamiast murem

stanać, ogłędnie wstecz się cofnął. Nie był to zaś odwrót szermierza porażonego, z haniebnem ukazaniem pleców połączony. Girgasiaki z macierzą swą przenieśli się jeno z miejsca na miejsce, upatrując wygodniejszego.

Nie przestali takóŜ na jeden moment czynić przechwałek, czekanami wywijać, rusznicami potrząsać...

Cześnikowicz wszelako wyeksplikował to sobie fałszywie, rozumiejąc, Ŝe owi ustępują. Więc, do upatrzonej mety przycwałowawszy, stanie, w lewo i w prawo okiem strzeli i zwycięsko zakrzyknie:

— Oskrzydłać!

Ruszyli się stąd leśnicy, wysunęła się zowąd czeladź — wszyscy prą ku środkowi, wrzeszcząc przeraŝliwie:

— Haj go, haj!... A imaj!... A wiąż!...

Daremnie rotmistrz, w tych sprawach *expertus*, harapnikiem zdala wymachuje i piersi zrywa, krzycząc ostrzegawczo — tumult się wszczął, rośnie — nic go juŝ naprawić nie zdoła.

W momencie, wszyscy ludzie rakowiccy w kupę się zbili, splątali, zdurnieli. Kręcą się w miejscu, jakoby *in circulo vitioso*, ani wiedząc: z kim się potykać, kogo imać, kogo oskrzydłać?...

Dopieroż Girgasina swoim da znak i szykiem foremnym na oną kupę uderzy.

Do korda, a tem więcej do strzelby, jeszcze się był nikt nie porwał, w ruchu był jeno oręż drewniany. Wynikło stąd, że przez dłuższy moment dudniało na onych pokosach, jakby kto cepami młócił.

Wnet też, to tu, to owdzie, krzyk buchnął, już nie z zapalczywości, lecz z bólu zrodzony. Dojeżdżali sobie ci i tamci uczciwie, a choć to [barki litwina niedźwiedzim, a podczas i żubrzym sprostają] trudno było nie krzyknąć, gdy one cale nie po sąsiedzku nadwerężano.

Najzapalczywszą była sama jejmość. Nie darmo gadano o niej po zaściankach, że zdrzec z panią Girgasiną toż samo jest, co dyabła za ogon pociągnąć. Srogi dębczak kręcił się i furkał w jej olbrzymiej łapie, jak skrzydło wiatraka przy wichrze najtęższym. Łomotała, miażdżyła, grzmocąc po ludziach i koniach, nie patrząc: łeb, zad, czy plecy. To znów, dla odmiany, pałkę do lewej ręki przerzuciwszy, prawicą najbliższego jeźdźca za kark chwytala, i — raz, dwa, trzy! — już on nieboże na ziemi leżał, za bok dzierząc się, lub za co innego...

Do ostatniej pasyi przyszedł cześnik. A żółc tembardziej w nim wzbierała, że hamować oną musiał, nie mogąc, z racyi swego urzędu

wysokiego, stawać *personaliter* do walki, która, uszy uczciwszy, burdą jeno była.

Możeby wreszcie i nie strzymał, i o ziem cześnikostwo i rotmistrzostwo swoje cisnął ale nagle sprawa cale nowy obrót przybrała.

Nowy i fortunny.

W momencie, gdy strona girgasowska najbardziej zbytkuje i już wiktoryę obwoływać gotowa, na tyłach jej ruch się wszczyna gwałtowny, a wnet potem i popłoch.

Trudno było pojąć zrazu, co się stało. Bez widocznej przyczyny, któryś z napastników na siodle się skręca, z bolu się wije i cugle puściwszy, cwałem na stronę ucieka. Drugi i uciec nie zdążył — ból z konia go zwałił, na trawie rozciągnął. Maluczko, a cała gromada rozprzęga się, animusz traci — bardziej o ratowaniu siebie, niż o porażce przeciwnika, rozmyśla.

Ani wątpić, że stronie rakowickiej sukurs przybył jakowys.

Zrozumiał wreszcie cześnik, co się święci; odgadł, skąd posiłki nadchodzą. Toć sam usadził był na tyłach oddział zapaśny, kucharza Macieja na czele swem mający. Miał ów oddział oczekiwanego odwrotu nieprzyjaciela bronić, wszakoż *insperate* sam się w ogniu walki znalazł. Przeciw rygorowi wojennemu to było, i słusznie kucharz naganiony być

musiał. Wszelako, — *nulla regula sine exceptione*.

Ale już najbardziej dziwił się pan Mokrzecki rodzajowi walki, przez starego Macieja podjętej. Nie było tam widać w ruchu przyrodzonej kucharzom broni, a więc: różnów, patelni, tasaków, ścierek — latały natomiast na głowy wrogów pociski cale osobliwego gatunku.

Pod tę porę, gdy cześnik podniósł we dworze *larum*, Maciej, obok wieczerzy dla państwa, warzył strawę dla czeladzi. Właśnie zdejmował z ognia spory kocioł kaszy jaglanej, olejem okraszonej (dzień bowiem był postny), gdy mu, wraz z podwładnymi, pod bronią stanąć kazano.

— Ot, zachciało się!... — warknął z pasyą, i mało-wiele myśląc, w tabakierce nos umoczywszy, kazał kuchcikom dwom on kocioł za ucha chwycić i za sobą nieść, sam zaś jeno warząchew dużej miary za pas sobie zatknął.

Podśmiewali się z tego inni — ale stary wiedział, co czyni. Miał on w pamięci przypadek onego towarzysza, który ongi, dzięki workowi z gorącą jagłą, zwycięstwo nad Tatarami sprowadził. Umyślił naśladować go — innym wszelako kształtem.

Gdy napastnicy ludziom pana Mokrzeckiego

na kark już wsiedli, i dusili onych, jak jastrząb kuropatwę, zrozumiał Maciej, że dlań chwila działania nadeszła. Chwyta przeto warząchew, w kotle zanurza, i — dalej na ona dzicz wrzątkiem swym chlustać. *Notandum est* zaś, że między gorącemi jagłami na oleju a wrzącym ołowiem, dyferencyi jest tyle, co nic.

Kucharz miał rękę pewną i celne oko. W wolnych od gotowania i pieczenia chwilach, myślistwem się zabawiał. Więc i teraz każdy jego pocisk nieomylnie trafiał do celu.

Już jednemu z Girgasiaków haniebnie oparzona gęba poczerwieniała i wzdęła się, jak pomidor. Już drugi karkiem ruszyć nie może, bo mu na nim bąbel usiadł ogromny. Już trzeci ręką nie włada, dmuchając na palce, które ze skóry oblażyły...

Stary kucharz wiedział, kogo brać na cel.

Najbardziej upodobał sobie samą jejmość i raz po raz częstował ją swym postnym przysmakiem. Ale choć pociski z drogi nie zbaczały, żaden skutku pożądanego nie sprawił. Broniły panią Girgasinę od postrzałów: skóra juchtowa, blacha, gruby samodział, wreszcie kołpak futrzany z nausznikami.

Mężna niewiasta miała nawet na rękach dragonkie, łosiowe rękawice, oblicze zaś tak

szczelnie zakryła, że jej jeno długi nos i szpakowate brodzisko na świat wyglądały.

Straciły ducha zastępy Girgasinowe. Jaki taki o odwrocie myślał, upatrując, gdzie łaćniej precisnąć się koniowi. Drugi gotów był oddać się wrogom w jasyr, byle mu jeno kasza jaglana nie na gębę, lecz do gęby wpadała.

— Durnie! — zakrzyknie na swych ochotników lwim głosem jejmość Girgasina. — Dopókiż tamten psubrat paskudztwem swem babrać was będzie? Ruszyć mi kupą! Zmasakrować kpa! Na zrazy go posiekać!...

Nie miało to spaść na starego Macieja niespodzianie. Gdy mu jagieł przybrakło, wydo stał dużą, z łyka lipowego tabakierę; otworzył oną, do nosa przytknął, pociągnął... nie kichnął przecie, bowiem starzy tabaczarze mają sprężyny nosowe obluzowane. Łzami zaszyły mu jeno oczy, które dłonią otarł, i wojowniczo potrząsnąwszy tabakierą, przez nos zakrzyknął:

— Rożny wytknąć!.. Szpikulce mieć w pogotowiu!...

W momencie, zjeżyła się ostrymi kolcami wiara kuchenna.

Z dobrą fantazyą natarła na oddziałek Girgasina, lekce go sobie waząc, natychmiast przecie opinię swą o nim zmienić musiała.

Różny kłudy nie gorzej szpad i kopij; szpi- kulce kąsały, jak żmije.

Cześnik, widząc co się święci, plan kam- panii zmienił. Już mu się teraz oskrzydlać wroga oddechciało. Wszystkie oddziały zmie- szał, w jedną linię wyciągnął i — hajże na Girgasiaków!

Wzięci w kupe, możeby czmychnęli, mimo nawoływań samej jejmości — ale nie było kędy. Od przodu i od tyłu nieprzyjacieli; po prawej stronie tabór wozów z sianem, przy których rakowickie parobczaki; po stronie le- wej — rzeczułka.

Więc — [zdechł pies!...] Niby to się biją, swej przewodczynie słuchając, ale coraz to ten, to ów z konia, rzekomo nieumyślnie, ze- sunie się, przez trawę wysoką chyłkiem po- pełźnie, junakom cześnikowskim na łaskę i niełaskę się odda. Miano, jak na toż, przy- gotowane łyka i deszczułki, więc oni tcho- rze, jeden po drugim, w kij byli wiązani.

Girgasiaki skupili się przy swej macierzy, jadu i zawziętości pełni. Zbliżka już im do- piekano, i rakowiczanom, jak osom, na wsze strony opędzać się musieli — kipiała też w nich cholera, wierzchem się przelewając.

Niejeden parobczak cofać się musiał z roz- płataną szabliskiem gębą, szli bowiem na

ostre. Dwaj wywijali haniebnie długimi koncerzmi, a jeden do pistoletów nawet się miał..

Nie doszłoby przecie było do prochu, gdyby nie taki *casus*, że ów z pistoletem cale nieumyślnie z onego wystrzelił. Kula w ziemię poszła, nikomu szwanku nie czyniąc, *clamor* wszelako w tłumie wszczął się, jako, że już na zabój ucierać się miano.

Więc pan Mokrzecki do swoich się obróci:
— Osolić tych obwiesiów!

Zaczem w jednymże momencie ze wszystkich flint wygarnięto i grzmot poszedł po okolicy. Nikomu w myśli nie powstało bliźniego brać na cel, drugi przecie i nie patrząc trafił, i kilku ze strony Girgasinowej kręcić się jęło i wierzgać, poczuwszy nagle haniebne śwędzenie...

Nie zwlekali tamci z responsem. Z rusznic i pistoletów ognia dano; ryknął także i garłacz, siekanym ołowiem rzygnąwszy.

Zgoła inakszy był skutek tej palby, niż tamtej. Co ołów, to nie sól. Kilka koni na miejscu ubito, siła ludzi pokaleczono; jednemu ogrodniczkowi kula-paskudnica połowę ucha urwała, jeden zasie kuchcik, zwinąwszy się z bólu, z siodła spadł — któremu już jeno Sakrament aplikować przyszło.

Ale też ostatni to już był tej burdy termin. Rakowiczanie pokwapili się z ukończeniem

sprawy, nie dając tamtym powtórę wystrzelić. Uśmierzono wnet gwałtowników, łykiem a rzemieńmi związawszy onych, jak się patrzy.

Jeden z Girgasiaków miał na łbie guz, jak strusiove jajo, od maczugi, którą go leśnik dojechał. Drugi łapę bezwładnie zwiesił, bo mu ją różnem przekolono. Trzeciemu i czwartemu dolegały oparzelizny srogie na gębie, karku i rękach. Ostatni dwaj byli rzetelnie osoleni i wiercili się, jak frygi.

Owo zgoła cały sztab jejmoścín siłę popołu z fantazyą postradał, i nie do użycia był. Reszta kupy zgoła już tchórzem śmierdziała i sama szła w niewolę, ręce do pęt podawając.

Jeno jejmość Girgasina trwała wciąż na swej pozycyi, harda, zawzięta, nieprzejednana i ani jednym dotąd pociskiem niedosiężona.

Już całej awanturze kres położono; już wozy z zagrabionem sianem na folwark rakowicki pojechały; już zaściankowa hałstra w rzemiennych i łyeczanych więzach ciężko dyszała; już wreszcie sześciu synaczków jejmości oręż złożyło i jeńcami się wyznało, — a ona sama, szabliskiem potrząsając i na kobyłę swej harcując, nie przestawała kłąć, grozić i pana Mokrzeckiego inwektywami sromotnemi obrzucać.

Już też i cześnikowi, choć był, jako mówią, człek bez zółci, naprzykrzyło się ono brzęczenie natrętnego owadu.

Sam nie chciał się w wojnę z babami wdawać, uważając to za ujmę swej rotmistrzowskiej godności, pchnął wszakże rezydenta, aby buzię jejmością stulił.

Króciuchno bawił Pafcio na onej legacyi. Gdy wrócił, minę miał wielce markotną i do gadania cale się nie kwapił.

— Cóż powiedziała? — dopytywał cześnik.

Rezydent jeno skrzywił się i ręką machnął.

— Gadajże, Pafciu-milczku. Toż wiedzieć muszę, co baba myśli i jakowy koniec uczynić mi z nią wypada?

— At, kiedy bo... rotmistrzuniu dobrodzieju...

— Cóż tak cedzisz? Prędezej gadaj.

— Kiedy bo... nie wszystko w uczciwej kompanii powtarzać się godzi...

— Rozumiem. Pewnie cię baba po swemu sfukała?

— Gdybyż tylko mnie, wielmożny rotmistrzu!... Ale nie uszanował babski ozór i jego mościnego honoru. Ba! nie znał respektu nawet dla czcigodnego cienia świętej pamięci matki waszmościnej...

Ubódł pan Mokrzecki swego srokacza ostro-

gami, aż ów szczupaka dał. Harapnikiem, ze świstem głośnym, przeciął powietrze.

— Ha! — wrzasnął — mościa Girgasino! Musisz mi to w żywe oczy powtórzyć!

— Powtórzy, rotmistrzuniu... Jak Boga kocham, powtórzy...

— To jej w łeb palnę — i raz będzie koniec wszystkiemu.

Przerażony rezydent z konia zeskoczył, do pana Mokrzeckiego przybiegł — za ręce, za nogi ścisnął..

— Umityguj się, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju! Jakiż to byłby koniec?... Taż to sprawą gardłową grozi, kryminałem pachnie!

— Baby do wszystkiego doprowadzą — na toż one i na świeciel... Ale uspokój się, Pafciu-serce... Girgasina *ad oculos* mnie nie stanie — rura jej zmięknie..

— Nie zmięknie, dobrodzieju mój! — ureczam, że nie zmięknie! — lamentował zatrwożony Pafcio. — Już ja ją na wylot przejrzał. Jędza to z tych, które w szabas z samym biesem dżyguna tańczują... Ona-by i Belzebubowi nie ustąpiła! Wartoż dla takowej insekty swoją i familii swojej spokojność na szwank narażać?

Rzucił się jeszcze i zębami zgrzytał pan Mokrzecki, starając się pasyę okrutną okieł-

znać. Po dłuższej ze sobą walce, tak wreszcie zakonkludował:

— Idźże tedy do niej raz jeszcze, Pafciucnoto, i już jej jeno *ultimam* zadaj *quæstionem*: co za rację ma do takowej naprzeciw mnie nienawiści? Jaż jej ni w czem nie ukrzywdził, szkody na honorze i substancyi nie wyrządził — nawet, od czasu minionej młodości, nie gadał z nią, ani na nią patrzył.

— Są wszelako jakoweś dyferencye graniczne...

— Kpij ty z tego, Pafciu-duszo! *In effectu*, tyleż je ona sobie waży, co ja baszostwo tureckie, albo chaństwo tatarskie. Posuń ty dziś kopce tam, gdzie jej się żąda, ona jutro *de noviter* rozrzucac je każe! Ów spór to jeno zamówka.

— Cóż przeto w tem wszystkim tkwić może? — boć *sine ratione* jejmość takby nie gwałtowała...

— Ba! [Zgaduj zgadula, gdzie złota kula.]
Ani wiem, ani się domyślam.

Potarł cześnik czoło w zadumie.

— Jednom jeno zauważył. Ale to związku nijakiego z tą sprawą niema. W trzech głównie życia mego terminach, jejmość Girgasina największą pasyą przeciw mnie wzbierała. Najpierw — gdym się żenił z nieboszczką pierwszą moją żoną. Powtóre — gdy mi tamto

żonisko zmarło. Po trzecie — teraz, gdy mi przyszło śmierć drugiej małżonki swej opłakiwać. Mądry byłby, ktoby te racye z wybrykami jejmościniemi do kupy związać potrafił!

Splunął dla okazania, jak mu to wszystko obmierzło.

— A ty, Pafciu — do rezydenta się zwrócił — ruszaj mi *stante pede* z tem, com tobie zlecił, bowiem rzecz raz nareszcie wykłargować się musi.

Skrzywił się Mleczek, w głowę się podrapał — westchnąwszy, dosiadł powtórę swej chudej szkapiny. Mina jego okazywała wyraźnie, jak mu w smak idzie ta nowa legacya. Ale rezydenci od tego są, żeby spełniać bez szemrania, co im ich chlebobdawcy rozkażą.

Tym razem nieobecność wysłańca dłużej się przeciągała. Cześnik węża gryzł, pomrukując:

— Nie dojedzie on z tą sekutnicą końca... Z dyablem-by dojechał, z nią nie dojedzie!

Zniecierpliwiony, do ludzi swoich się obrócił, komenderując onymi. Jeńców rozmieścić przykazał wedle stanu: Girgasiaków, sznurem jedwabnym przystojnie związanych — w jednej z komnat dworskich; szaraczków zaściankowych, w konopnych pętach — w świronku; chamstwo ordynaryjne, łykiem prostem skrę-

powane — na gołej ziemi, w dworskim obejściu.

Ludziom poszwankowanym z tej i z tamtej strony udzielała szafarka doświadczonej pomocy. Maści, balsamów i osobliwych dryawkij dostarczyła apteczka rakowicka, wielce we wszelakie medykamenty zasobna. Synaczkom pani Girgasinej zalewano rany czystym węgryzнем — co jeno szlacheckiej kondycyi ludziom bywa aplikowane i *miraculose* onym pomaga.

Szpetnie postrzelonemu ogrodnickowi plastry i zalewania na nic już się zdały. Wezwać doń musiano — parocha.

Zjawił się nareszcie i Mleczek, którego cześnik, wnet na osobność wzięwszy, pytaniami zarzucił. Cale inszej cery był teraz legat. Choć nastrojał się poważnie, znać było, że mu po głowie chodzą *jovialitates*.

— Dojechałeś końca? — badał cześnik niecierpliwie.

— Nie odrazuć to poszło!... — westchnął ów, ale mu w zmrużonych oczach jakby świeczki zamigotały. — Na początku krzyczała, że jeśli synaczków swych natychmiast nie odzyszcze, spali dwór rakowicki, mnie na pal wbije, a wielmożnemu rotmistrzowi dobrodziejowi... ach! aż strach i wstyd powiedzieć!...

— Powiedz przecie, Pafciu-serdeczny. Raz

mi już wreszcie czarę sromoty swej do dna wychylić trzeba.

— Ha, skoro taka waszmości pana mojego wola... Otóż odgrażało się ono babsko przebrzydłe, że z rotmistrzem dobrodziejem obejdzie się zgoła po barbarzyńsku... że figla mu wypłata, po którym już się waszmości panu mojemu amorów raz na zawsze odechce...

Zagryzł pan Mokrzecki usta, aby śmiechem nie parsknąć, trząśł mu się wszelako żywot od wielkiej wesołości.

— Gadajże, Pafciu-figlarzu, jakież to tam były nowe onego babusa inwencye?

— Bogać tam nowe, rotmistrzuniu dobrodzieju. Panięskich czasów jejmości sięgają, a waszmościnych kawalerskich!

— Ba! — może jeszcze onej pory, kiedyśmy się oboje piaskiem bawili?...

— Piaskiem nie piaskiem, jeno kwiateczkami, listeczkami, a podczas i taneczkiem, jak to między młodzieżą zwyczajne.

— Bodajże cię, Pafciu krotofilny! Ano, oczywistej prawdzie trudno *negare*. Z jejmościanką Wydrzanką, zanim jeszcze jegomości Girgasa poślubiła, tańcowało się w zapusty nie raz i nie dziesięć. Bies nie śpi — może się jej kiedy i sentyment jakowy słodkiem słówkiem objawiło. Dziewka była na schwał, co się zowie *puella formosa*, a na wąsy i brodę

jeno się onej mięki meszek sypał. Doświadczęsi już ją wondrous mianowali *virago* — młodziankowi przecie i piwonia wyda się różą.

Zamyślił się cześnik i jakoby o obecności rezydenta zapomniał, dawnych czasów zasłonę odchyliwszy...

— Cóż to się przecie naszej sprawy tknie? — zagadnął nagle, głowę podnosząc.

— Właśnież tknie się, rotmistrzu wielmożny. Girgasina na one momenty się powołuje, one tańce i słówka przypomina — wreszcie *affirmat*, że od waszmości pana mojego prze-różne amoro-we manifestacye, ba, nawet i obli-gacye *accipiebat*...

— Phil!... — dmuchnął przed się pan Mokrzecki. — [Choćby to i było, dawno z wiatrem uleciało... I w sto koni nie dogoni!]

— Ona inaczej o tem sądzi. *Verbum dabile* — gada — *debet esse stabile*.

Usłyszawszy *insperate* takową nowinę, cześnik brwi wysoko podniósł, oczy wybałuszył i minę uczynił całę osobliwą. Znać było po jego obliczu, że nie wie: śmiać-li się ma, płakać, czy gniewać?

Pomilczawszy cokolwiek dłużej, półjowialnie, pół żałośliwie zapyta:

— Gadałaż to ona przy zdrowych zmysłach?

— Przy najzdrowszych, rotmistrzu dobrodzieju. Krzyczała, że dopóty nie ustąpi i waszmości panu mojemu spokojowi nie da, dopóki wymierzone jej nie będą: *justitia et satisfactio*.

Zżymnął się cześnik, wása zatargał.

— Do czegoż to ona kieruje? — krzyknął, nogą tupnąwszy.

Pafcio oczy spuścił.

— Ano... być może... wiadomo... aczkolwiek... — jąkał i bąkał, jakoby wstydził się całą myśl wypowiedzieć.

— Czyżby się babie roilo przed ołtarz mnie pociągnąć? magnifiką moją zostać?...

Pafcio w milczeniu kiwnął kilkakroć głową w sposób twierdzący. Oczy wzniosł przytem w górę, jakby niebo przyzywał na świadka, że on temu wszystkiemu nie winien.

— I cóżeś jej na to rzekł? — ciągnął cześnik, od pasyi czerwony.

Mleczek rozpostarł ramiona bezradnie, oczami przewracać nie przestając.

Zagryzł wargi pan Mokrzecki, czoło okrutnie zmarszczył — biegać jął prędko naprzód i w tył. Wzburzony był — uspokojenia w ruchu gwałtownym szukał. Wreszcie stanął w miejscu, spokojniej już oddychając, głowę do góry zadart...

— Tfy!... — głośno, z wysoka splunął.

A jakby ze śliną razem wszystką już pa-

syę z siebie wyrzucił, czoło w momencie jednym wygładził, zjeżone wąsy wyrównał, zwyczajną posturę przybrał.

— *Finis!* ... spokojnie a dobitnie wyrzekł, dłoń na ramieniu pafciowem kładąc. — Czem innym zatrudnić się nam trzeba. Kto kaszy nawarzył, niech ją je. Jeńców się wypuści, admonicę każdemu przystojną dawszy. Girsasiaków związanych odstawi się do sądu grodzkiego. O najazd, przechwałki, naruszenie granic i gwałtowne zabicie ogrodniczka sądzeni będą. Odechce się ichmościom *in futuro* zbytków i wiolencyj. A że sprawa gardłowa, mogą oną i gardłem przyplacić. Co się tknie postrzelonego śmiertelnie ogrodniczka, matka onego oddzielną żałobę do instygatora wniesie.

— A co się uczyni z samą jejmością?

— Już rzekłem. Naje się kaszy, którą uwarzyła. A moja już w tem głowa, aby jej tę strawę suto omaścić. Uręczam, że i przez ruski miesiąc smaku jej nie zapomni!...

Taki najbliższych działań abrys rzucił rezydentowi cześnik, gdy był jeszcze furiy swej ze wszystkim nie wyczmychał.

Po wieczerzy, do której wszyscy z żarłocznością iście wilczą zasiedli, odstąpiły ogniście humory od głowy cześnikowej. Konkokcyja żołądkowa zatrudniła one. Cześnik jadał obficie i sprawę posiłku z należąną traktował powagą.

Zwyczajem jego było, dopiero gdy się najadł, wydrzemał i wysapał, na nowo przerwany wątek spraw aktualnych snować. Przystępował zaś wonczas do onych z sercem większem od wosku, słodkiem, jak patoka...

I tym razem przeto srogie zarządzenia przedwieczorne po wieczerzy cale inną przybrały postać. Jeńców rozwiązano i wolno puszczono — *pro forma* jeno nad każdym w powietrzu harapnikiem świsnąwszy.

Girgasiakom ucieczka była ułatwiona, rzekomo przez niedopatrzenie. Pęta z onych zdjęto i klucz w zamku pozostawiono. Musieli wszakoż *anticipando* przysięgę złożyć, że granice rakowickie szanować będą i nigdy się już na ludzi pana Mokrzeckiego *armata manu* nie porwą.

Jak na toż, i fortuna *in hoc casu* onym sprzyjała. Ogrodniczek, któremu co najdroższe medykamenta z apteczki dworskiej zaaplikowano i kordyałem serdecznym ducha skrzepiono, lepszej nabrał cery. Przywieziony z miasta *medicus* zapewnił, że się ów, przy pilnym opatrunku, z ran swoich wyliże.

Już się też odtąd na panią Girgasinę i na jej latami niepożyte afekty, pasyą cześnik nie unosił. Owszem, wesołość w nim one budziły i — rzecz całą za krotofilę poczytał.

XIV.

W Mięsopesty, siła szlachty zjechało do Boryszyna, do jegomości pana Wojniłowicza. Było tam haniebnie wesoło, ale i statecznie, bowiem wszyscy dla gospodarza i gospodyni respekt wyznawali.

Dziedzic boryszyński należał do tych dobrych, prawdziwych Wojniłowiczów, którzy się wywodzą od Trojana Wojniłowicza, bohatera i zbawcy Litwy. Miał on w swym rodzie i junaków serdecznych, i kościelnych dygnitarzy, i mężów uczonych, i nawet poetusów — to też tego wszystkiego po kęsie i w nim mieszkało.

W Boryszynie pito, płasano i dudkowano nie gorzej, niż indziej, wszakoż ton panował tu inakszy, niż u zwykłej szlachty, czy to dworskiej, czy pałacowej.

U pana Wojniłowicza mówiono zawždy politycznie i ze swadą, głównie *de publicis*.

Tu i z krasomówskim popisem spotkać się było można, i z sentencją, która aż się prosiła, żeby ją sejmujący pod rozwagę wzięli. Sam też jegomość był mąż *dicendi peritus* i ochotnie w szranki oratorskie stawał.

W wielkim, boryszyńskim dworze, nie wysokim, ale za to wszereż okazale rozrosłym, — niby Żmujdzin przysadkowaty a pleczysty — już od tygodnia goście się zabawiali.

W sam Tłusty czwartek, z brzękiem i szczękiem, z głośną muzyką dzwonek i grzechotek, z przeraźliwym piskiem fletów i dudnieniem basów, spadł tu kulig. Wyśypał on z licznych sań tłumną czeredę Cyganów, Cyganek, Węgrów z olejkami, pejsatych Żydów i Turków brodatych — których gospodarz *immediate* w jasyr wziął i sanie z płozów zdjąwszy, odwrót onym uniemożliwił.

Wszystko to teraz po woskowanym pawimencie bawialni ślizgało się, tańcząc, trzpiotając się, przeróżne sowizdrzalstwa mięsopustne wyprawiając.

Pan Wojniłłowicz postanowił, że nikogo od siebie nie wypuści przed Wstępną środą, póki kucharz nie poda śledzia a ksiądz popiołem głów nie osypie. Jejmoście i jejmościanki rzekomo wielce się tem strapiły, nie trwało to przecie dłużej, jak do pierwszego ozwania się kapeli na chóрку.

Gdy przyszły [Kuse dni], już nikt o wyjeździe ani pisał. A im bliżej było Popielca, tem ognistszą i jakby waryacką, stawała się ochota. Bankiety i krotofile, śpiewy nadobne i płąsy, przejażdżki sanna i spokojniejsze, pokojowe igrzyska — mieniały się bezustannie, wytchnąć nikomu nie dając.

W tem powszechnem rozigraniu, i cześnik ożywił się, rozweselił, rozfigłował — na licach i w sercu druga młodość mu rozkwitła. Naszał naprzemian to swój rotmistrzowski, błyszczący uniform, to kontusz hałasowy z wylotami, a pięknie mu było i w tym i w owym. Rumiana twarz nadobnie odbijała przy mlecznym wąsie i srebrnej czuprynie, a figura, w miarę korpulentna, całej personie majestaticzności niejakej dodawała.

Cyganka jedna, z uśmieszkiem a dygiem do pana Mokrzeckiego podszedłszy, oświadczy mu konfidencyjalnie:

— Gdybym mogła, tobym waszmości pana dobrodzieja skonsumowała... Jagódką mi się zdasz w śmietanie!...

— At, mościa dobrodziejko — ów odpowie — przestała to jagoda — jesienna... Któżby się na oną połakomił!...

— Właśnież takie bywają najśłodsze. Kto znawca, nad majowe je przełoży...

Roześmiał się cześnik, a do innej materyi przechodząc, spyta:

— Cyganeczko dobrodziejko, chciałbym cię o wróżbę poprosić — alem w obawie, że będzie tak omylna, jak twoje komplimenta...

— Będzie, jak one szczerza i prawdziwa. Proszę waszmości o rączkę.

Więc wyciągnie pan Mokrzecki swą dłoń mięsistą, a ona ją w białe, superfinowe łąpiątka ujmie, paluszkami po niej wodzić, wpatrywać się i dumać weźmie...

Otoczyli ich ciasnym kołem mężczyźni i białołłowy, krotofili ciekawi. Ale wyslizgnie się im Cyganeczka i cześnika ze sobą uprowadzi.

— Ja jeno na cztery oczy wróżę skutecznie...

Dopiero w głębokiej wnęce, firanką od kompanii oddzielonej, do czarodziejstw swych przystąpi.

— Ho, ho, dobrodzieju — płacze się wszystko u waszmości, jak w labiryncie... Jedna linia, druga linia, trzecia linia... Tu kółko, a tu znów krzyżyk... Tam się wszystko rozbiega, tu zasie kojarzy... Dwie linie kardynalne wciąż się kierują do siebie — szukają się — złączyłyby się rade... Jedna linia waszmościna, a druga... hm... druga...

Coś długo namyśla się wróżbiarka, nazbyt długo dla niecierpliwego cześnika.

— Czyjaż druga, Cyganko dobrodziejko?...
Męskaż ona, czy białogłowska?

— To się wie, że białogłowska... Samotna,
pary dla siebie szukająca... To linia biednej
pustelnicy, co tam, w kąciku, z plebanem dy-
szkursy toczy pobożne.

Nie potrzebował pan Mokrzecki w tamtą
stronę spojrzeć — wiedział dobrze, kto tu
kuligiem w szacie pustelniczej przyjechał.
Serce zabiło mu mocno, aż hałas na kontu-
szu zachrzęścił.

— I cóż z onych konjunktur wyniknie? —
pyta, a szeroka dłoń od szabli dygoce mu, jak
u słabej niewiasty.

Cyganka znów palcem wodzi, namyśla się,
wzdycha...

— Hm, hm... Przyplątała się do tych dwóch
linij trzecia - wielce wścibska, wielce uparta...
Oo! jak to podbiega, z pasyą wyraźną, do
waszmościnej, aby ją zwyciężyć i odegnąć!...
Jak to znów za tą drugą ugania się, drogę
jej zabiega, na wszelki sposób opanować ją
żąda...

— Przebóg, wróżko dobrodziejko! Dopnież
ona swego?..

— Na toż Pan Bóg stworzył waszmości
mężem, żebyś się mężnie potykał z przeci-
wnościami i nikomu przed sobą placu nie da-
wał. Kogo ona linia natrętna wyobraża, wła-

sny m już dowcipem dojść powinienes. Gdy tamte dwie linie akord zupełny ze sobą uczynią, ta z horyzontu waszmościnych konjunktur sama ustąpi, jako ustępuje miesiąc przed słońcem, słońce przed pogodą — zalotnik wzgardzony przed zalotnikiem przyjętym...

Potał czuba cześnik, stopą zaszurał.

— Ćwiekaś mi zabiła, wielmożna a nadobna Cyganeczko... Jużcić, jako buławy polnej rotmistrzowi, na męstwie zbywać mi nie może — są wszelako cyrkumstancye, gdy samo męstwo *non sufficit*, i niejaką przebiegłością — że nie powiem podstępnością i chytrą lisią — podpartą być musi. [A w tem to już ja — pasz!]

Uśmiechnie się na to wróżka.

— Wyraźniej eksplikować mi się nie wolno — asekuruję wszakoż waszmości, że w tej okazyi, byle z odważnem sercem, twardo a rezolutnie w szranki wystąpić — wiktorya pewna. [Jak to mówią: śmiałkom Fortuna sekunduje...]

Ucałował pan Mokrzecki ręce Cyganki i na tem wróżby się skończyły.

Tejże nocy, zamknąwszy się samowtór w gościnnej izbie z nieodstępny m Pafciem, długo tę sprawę, z tej i z owej strony rozważał.

Uderzyło go, że rezydent był tegoż samego

co do joty zdania, co i jejmość w przebraniu Cyganki.

— Święte słowa starościny dobrodziejki. — z nabożeństwem powtarzał. — Sama mądrość przez usta pani obersztlejtnantowej przemówiła... Na intruzów niezawodne *remedium*: mars na czołe, gęba wygadana, a w potrzebie — tęga pięść i oręż...

Cześnikowi wąsy obwisły, głową chwiały *irresolute*.

— Wiesz ty jedno, Pafciu-duszo a ja wiem drugie. Łatwo komenderować, mając za sobą hufiec, którego jest się pewnym. Ale ja tu pewności nijakiej mieć nie mogę. A nuż do ataku zatrąbiwszy, ujrzę się na placu sam jeden, jak palec?...

— Więc cóż? Usadzić się i — pewność zdobyć.

— Ba!..

Wstał cześnik i jął po komnacie szwędać się, to ją dokoła obchodząc, to na ukos i na krzyż przecinając — jak to miał we zwyczaju, ilekroć nad czemś głęboko medytował. Co moment, kroku zwalniając, powtarzał swoje »Ba!« — któremu ton i akcent coraz inny nadawał.

Wreszcie, już do tej materyi nie wracając, pacierze odmówił i legł spać.

Ale nazajutrz, od samego rana, wcale inną

przybrał postawę. Z głową wysoko podniesioną, w swych szatach najcudniejszych, cały haftasem, rubinami, turkusami i najbardziej świeżym, iście różanym rumieńcem błyszczący, na krok nie odstępował — pustelnicy. Mina jego zadzierzysta, jedna ręka przy wąsie, druga za pas zatknięta, ruchy zarazem rycerskie i polonezowe, mówiły:

— Tak czynię, bo tak mi się podoba. A jeśli to komu nie do smaku, to wnet mu mogę smak szerpentyną swą naprawić!

Wymacałby i ślepy, kogo się owe przechwałki tknęły. Przy nadobnej pustelnicy asystę wciąż trzymał jegomość, który z nią był kuligiem przyjechał, — ten sam przyszywany brat, co już przy pogrzebie nieboszczyka jej męża zbytnią konfidencyą swą niemało krwi cześnikowi napsuł, a teraz żółcią wszystkie godziny jego żywota zaprawiał.

Mianował się ów Łatkowskim herbu Poraj — choć jako żywo Porajczykiem nie był i z żadnego zgoła szlactwa wylegitymowałby się nie umiał. Najpewniej był *nomine et cognomine* Łatka *vel* Łata, i z łyków się wywodził, a nazwisko dostał *ex re* łat, którymi jego rodzic dziury w kapotach, a może i w obuwiu, braciom mieszczanom zakrywał.

— Szwiecem śmierdzi.. — mawiał o nim

pan Mokrzecki do Pafcia — a i [przylepny bestya, jak szewcka smoła...]

Z jakiej racyi czepiło się to urodziwej, a i nie biednej, wdówki — Bóg raczy wiedzieć. Gdzie ona, tam i on. To jej przy stole usługuje, wina albo wody nalewa, półmiski podsuwa, menazik z solą i pieprzem podaje; to za nią książki nosi, wybiera, na głos czyta; to przy klawikordzie kajety z nutami przewraca. Ale najczęściej i najochotniej narzucał się ów natręt z radami, dotyczącemi spraw gospodarskich i majątkowych. Tego już cześnik żadną miarą ścierpieć nie mógł — ile, że opieka nad wdową i sierotą *ex officio* poruczona mu była.

Więc, na kięł wzięwszy, pocznie pan Mokrzecki onemu Łatkowskiemu, *recte* Łatce, przytyki dawać, afronty czynić, pięty przydeptywać, owo zgoła jak wtęta i impostora traktować.

Pewnieby w drugim krew zakipiała, pacyencyi-by mu przybrakło, a napastnikowi raz i drugi rzetelnie odpaliwszy, na ostre-by go wyzwał — ów przecie jakby nic, miny nie traci, z drogi jeno cześnikowi ustępuje i płaszczy się a płaszczy, aż się w końcu cały pluśkwie stał podobien...

Toby jeszcze były fraszki — ale nagle do głowy mu coś strzeliło i, jak pierwej czynił

się bratem przyszywanym pani Towiańskiej, tak teraz i do cześnika ośmielił się *per* »bracie« przemawiać...

— Suplikuję waszmości, miłościwego pana i brata... Z atencją należną panu cześnikowi dobrodziejowi, panu a bratu mojemu...

Z początku, puścił to cześnik mimo uszu, jako pospolitą, mięsopustną stultycę; za drugim przecie razem nastąpi prosto na konfidenta i z miną rzekomo pokorną, ale z groźnie namarszczonem czołem, rzecze:

— Zbytni fawor czynisz mi acan dobrodziej, za pan brat ze mną sobie poczynając. Szeroka jest prozapia *domus Mokrzecianae* i znam oną, jak »*Pater Noster*«, wszelako na żaden sposób przypomnieć sobie nie mogę, żeby ją Łatkowscy, Łatałscy czy inni Przyszczepkowscy, swą koligacją honorowali...

Złamię się ów w uniżonym pokłonie.

— Ja też, mości cześniku dobrodzieju, bynajmniej nie *ex re* koligacyi...

— Z jakowegoż zatem prawa?

— Ot, zwyczajnie, jak między bracią szlachtą...

Pan Mokrzecki odmie się.

— Dziwy waść mi powiadasz... Między szlachtą?... Między bracią szlachtą? Szeroko o tem szlachectwie pisał król Dawid — za to » Paprockiego i Okolskiego tyle o onem, co

nic... Ja waściąną zbytnią łaskę skądinąd wywodzę — ja mianuję oną poprostu: przypinaniem łatek rodowi mojemu. Ostrzedz zaś acana dobrodzieja muszę, że naszając się zawždy cało, nijakich łatek ścierpieć nie mogę. Owszem, każdą takową łatkę zwykłem tym oto nożykiem — tu w szablę brząknął — *immediate* odrzezywać!

Skulił się Łatka, jak pies obity, i czmychnął, ani śmiać nawet ze słowem jednym wystąpić.

Choć to wszystko było mówione zwyczajnie, bez ekstraordynaryjnego podnoszenia głosu, doszło wszelako do tego i owego z biesiadników. Szlachta kułakami gęby zatykali, żeby niewczesną i nieprzystojną wesołością gospodarzowi i cnym gościom nie ubliżyć — *hilaritas* przecie była powszechna.

Rzecz podziwienia godna, że pustelnica, czyli, bez metafor mówiąc: jejmość pani sędzina Towiańska, dyalogu onego świadek, całe się nim obrażoną nie wydawała — choć rzekomo siostra jegomościna. Ktoby był zerknął pod jej wachlarz, możeby nawet i uśmieszku krotofilnego dopatrzył.

Wielką otuchą napełniło się serce cześnikowe. Wąsa kręcąc i pasa złocistego poprawiając, do jejmości się przysiadł — nie bez emocyi niejakiej, bowiem afektów biało-

głowskich nigdy całkowiec pewnym być nie można.

Potkała go siurpryza niemała. Objawiono zdziwienie i żal, że się tak długo na uboczu trzymał; złożono dzięki gorące za przysługi otrzymane, przypominając się zarazem subtelnie z przyjaźnią dalszą — pokazano wreszcie w uśmiechu białe ząbki, z pomiędzy których jedną jeno perelkę wykradł czas nieliłościwy.

Topniał cześnik z uciechy, jak smalec na gorącej patelni. A już mu też błogość wierzchem przelewać się zaczęła, gdy posłyszał panią Towiańską mówiącą:

— Tak się córy nasze pokochały, tak jedna bez drugiej obyć się nie może, tak żadnej między nimi dyferencyi niema, że wzięłyby je można za dzieci jednej matki i jednego ojca...

Odtąd już pani sędzina i pan Mokrzecki nierozdzielną stali się parą. Razem przy obiedzie i wieczerzy, przy zabawie i modlitwie, w gromadzie i na osobności. Niewiasty podszeptowały, oczyma ich sobie ukazując; staroscina rzucała im raz po raz zachęcające spojrzenia i uśmiechy, a Pafcio, ilekroć zdybał się z cześnikiem, szeptał mu, oczy mrużąc:

— Rotmistrzuniu dobrodzieju — [kuć żelazo, póki gorące...]

Tymczasem skupieni przy gospodarzu personaci zabawiali się w oddzielnej komnacie kielichem i foremnymi dyskursami. Młodzież poważniejsza miejsca przy drzwiach zajęła, usługując w potrzebie starszym, łowiąc uchem każde ich słowo, z własnem zaś nigdy się nie wysuwając — owo zgoła statek łącząc z pożytkiem.

A nie rozlegały się tam nijakie, wiatrem nadęte, *ephemeridae* — owszem, każde przemówienie, w skupieniu ducha przez innych wysłuchywane, było popisem krasomówczym, któregoby się i »Swada Polska« imci pana Danejkowicza nie powstydziła. Drugiemu za lekcję retoryki starczyć to mogło.

Jak pięknym, naprzykład, kształtem opisywał pan starosta cyryński — ten, któremu już szlachta na pogrzebie nieboszczyka pana sędziego Towiańskiego gorąco aplaudowała — peregrynację swą na morze Bałtyckie...

— Nie zatrudniły nas — mówił, wdzięcznie się w tę i w ową stronę przeginając — przy wiślnych Nereidach szkodliwe remory, i stamtąd na większe, *faventibus Euris*, puściliśmy się insultry, gdzie nam Neptunus *ventis implevit vela secundis*. Przebyliśmy szczęśliwie burzliwej *per Hiperboream* Bałtydy *Scillas et Charibdas*, i na fortunnym, *sub ramo pacis olivae*, stanęliśmy brzegu...

Głaskali się po brzuchach poważni ichmoście, ustami mlaskając i chciwie chłonąc one słowa wyśmienite, które z ust mówcy patoką miodną płynęły.

U pana Wojniłłowicza Bachus mniejsze, niż po innych domach, otrzymywał ofiary. Nigdy tu *abusus* w napojach głów zbytnio nie zamroczył, do nieprzystojnych kłótni i jakichkolwiek harmidrów powodem się nie stał.

Za kołnierz nie wylewano, coby grzechem i sprzeciwianiem się woli Pana Boga było, który [winną jagodę na wyłączny użytek człowieka był stworzył — ile, że zwierzę żadne ani jej godnie zażyć, ani właściwie przygotować nie potrafi. Jakże zresztą nie pić, jeśli już łacinnik zapewniał: *vinum laetificat cor humanum*, a w Kanie Galilejskiej sam Chrystus Pan usta przenajświętsze w kielichu maczał!...]

Wszelako sok Bachowy, nawet z moderacją wzięty, zawždy swoje zdziała — więc i tu, dzięki onemu, animuszu wszystkim przybyło i umysły krotofilnie się nastroiły. Znalazły się wnet na stole anegdotki i dykteryjki (gospodarz czuwał, żeby w onych *limina* przystojności przekraczane nie były), a potem jęła się szlachta swego umiłowanego obiektu, który ma to do siebie, że się nigdy do dna wyczerpnąć nie da, mianowicie: heraldyki.

Mówił to ten, to ów, z wiadomościami się popisując, obiektu zasie dostarczały personatów obecnych rodowody. *Solenniter* dyskurs szedł, jak zawždy w boryszyńskiej kompanii, ile, że średnio zażywane kielichy zaostrzały dowcipy, bynajmniej onych nie mrocząc.

Wszelako i tu znalazł się *turbator chori*, a był nim jegomość pan Puksza. Zadzierzisty ten szlachcic, człek wielkiej o sobie prezumpcyi, łączył ze słabą głową wielką do cholery skłonność. Już kiedyś, w gościnie u pana obersztlejtnanta, omal do bójkki nie stanął z Mleczkiem, a zdarzało mu się nie raz, nie dwa, na sejmikach w szable z bracią szlachtą dzwonić o wiatr, co wieje.

Na wszystko inne wyrozumiały i niemal całe *neuter*, w pasyę wpadał niezmierną, gdy mu kto na jego kleynot herbowy nastąpił.

Ze swym Kościeszą naszał się wszędzie, by kura z jajkiem.

Do wzburzenia w panu Pukszcie humorów niewiele było potrzeba. Byle cztery, pięć, półkwartowych wiwatówek, już próżność swą, jak indyk korale, nadymał i do zwady był gotów.

Taki był i tym razem. Uroił sobie, że jego kleynot postponują i personie przytyki dawają. Więc naczupurzy się, rozeźli, i weźmie temu i owemu kąśliwe słowa rzucać, miesza-

jąc one z całej już śmiesznym samochwalstwem.

— [Niema, mości dzieje, klejnotu, jak Kościeszka!... Kościeszki nikt nie zrówna i na Litwie, i w Koronie. Puksztowie są jedni i nikt nie może iść z onymi w paragon. Dopiero się szlachta litewska z jajka wykłuwała, gdy już ich praszczur, jegomość pan, sławnej pamięci, Wojdyłło Klausgiełłowicz od Jagiełły nobilitację brał. Czytać o Puksztach Klausgiełłowiczach u Kojałowicza *in manuscripto*.] Nikomu tak hojną miarą nie odmierzył, jak onym. Więc kto Puksztom i ich Kościeszki ubliża, mam go za cztery litery!

Przy onych przechwałkach, czerwienił się, oczyma przewracał i na palce wspinał, aby dla swej drobnej osoby większy respekt zbudzić. Już też i szlachta, co zapalczywsi, gniewnie na onego chwalipiętę pomrukiwali. Wstanie przeto pan Wojniłłowicz i gwoli uspokojeniu umysłów, z taką wystąpi oracyą:

— Niech się jako chcą zaszczycają dawnością familij ziemianie nasi, tobie, mości Pukszto, najdoskonalszą każdy przyznać musi prozapię. Wtenczas bowiem sławnego domu Puksztów założony był fundament, kiedy świata stanęła erekcja. Owszem, kiedy jeszcze w młodości świat się widział, już dom Puksztów był starożytny; a gdy mały był jeszcze *terra-*

rum globus, już tego domu wielcy byli antenaci. Nie zaraz *in lucem publicam* wychodziła Polska, gdy niejeden z domu Puksztów w umbrze fatalne uczynił transgresję. Dopiero Sarmacya rodziła się, kiedy już ten dom prowadził życie. Zgoła młodą jeszcze była, a już się starożytnością zaszczycałi twoi, mości Pukszto, antenaci. Kiedy jeszcze *infantiam* obchodziła Polska, już wy byliście *maturi*. Dopiero polskie zakwitać poczynały niwy, już dom Puksztów *aestatem suam* odprawiał. Ba! nie zaraz po was Polska powstała, powstawszy zaś, gdy ujrzy Puksztę, tak wielką starożytnością zasłużonego, jego *in Patriae patrem* zaprosiła. A kiedy Polska w Puksztach zaszczytną upatrzyła koligację, natychmiast z nimi w wieczyste wstąpiła śluby — nie było bowiem i niema takiego domu, któryby do Puksztów nie należał. Z samym nawet Jowiszem macie pokrewieństwo, bo równe wasze cnoty, jako jego dzieła. *Ab Jove progenies et origo vetusta parentum*. Drzewo domu Puksztów, szerokie i wysokie, tyle ma odnóg, ile gwiazd na niebie rachujemy, tyle koligacyj, ile iskiei z Etny wybucho. Nie wyliczam tu domów, do was należących, boby arytmetyki nie stało; nie rachuję w Polsce waszych pokrewieństw, bo całą Polskę musiałbym na plac przywołać.

Choć się który z domów dalekim od was widzi, blizkim jest *in effectu* — jako morze, lubo odnogi jego w dalekości, jednak blizkiemi się nominują, bo w jednym schodzą się oceanie. Lubo która odnoga domu Puksztów odłączy się od pnia ojczystego, przy nim zostaje i do niego należy — zgoła domem waszym jest Polska cała. I cudze takż kraje niemało dostarczyły domowi Puksztów koligatów. Owszem, niezrachowana jest onych liczba — wielość ich prochom Troi spalonej zrównywa! A jeśli nazbyt jeszcze skąpą domowi temu dałem komparacyę, wybacz mości Pukszto, gdyż rozum ludzki — ba, samej Minerwy dowcip — godnego was podobieństwa wynaleźć nie potrafi..

Tu mowę zawiesił i z obawą niejaką po słuchaczach spojrział: aza który, intencyi się domacawszy, zbyt jawnie wesołości nie objawia? Wszyscy wszelako zachowywali po wierzchu niezmaconą powagę, od pierwszego słowa dorozumiawszy się, o co chodzi; choć przeto który szaloną miał ochotę śmiechem parsknąć, wargi przygryzał, aby pana Pukszty z miłego nie wyprowadzić złudzenia. On sam zasia, dobrze już trunkiem zagrzany, za dobrą monetę wszystko brał, rozkoszując się słyszanemi pochwałami i tając z błogości, jak masło na patelni.

Więc pan Wojniłłowicz tak w dalszym ciągu oracyę swą poprowadzi:

— Niemasz tak wielkich rzeczy, żeby z domem Puksztów komparować się dawały. Wielkie maszyny domów innych z waszym równać się nie potrafią; tak się do onego mają, jak gwiazda do słońca, proszek do Olimpu. Honorów domu Puksztów rejestrować nie będę, bo wszystkie on posiadał. Jeszcze świat był *in fasciis*, kiedy dom Puksztów *fascias* już miewał; jeszcze *in pretexta* chodził, kiedy was widziano *togatos*; jeszcze *balbutire* ledwie umiał, kiedy wy byliście *consullos*. Ile tylko ziemia rachuje tytułów, wszystkie u Puksztów się znalazły, korony wam jeno brakło, ale zaiste cnotami swemi na koronę zarobiliście, owszem koroną te cnoty wam były. Uniżoność i wyniosłość tak się w domu Puksztów zespoliły, jako lód z ogniem, światło z ciemnością. Mało rzec, żeście pokorni: samą pokorą jesteście, prawdziwy z was modestyi prototypon. Hojność w was tak wielka i tak bujną na świat wylewa się falą, jak Nil na ubogie egipskie role. Tyle macie cnót, ile liścia rodzi Flora. Mądrość u was ma takóž *locum standi*, i Minerva, gdyby jeszcze żyła, w waszychby głowach założyła swoje *sedem*. Nakoniec, mości Pukszto, co się tknie męstwa, Mars powinien buty tobie czyścić, a Pallas — płaszcz nosić

za tobą, ba, koniowi twemu chwost zawiązywać!...

Skończył i czoło spocone otarłszy, siadł — a pan Puksza wnet doń doskoczy, w objęcia go chwyci, ściskać a całować weźmie.

— Szczęsny to dzień w mem życiu, panie Wojniłowiczu dobrodzieju — lubryką w kalendarzu go zakreszę! Dziś-em się dopiero dowiedział, kto mój *amicus* prawdziwy!

Pan Wojniłowicz wstydał się kęs swej zbytnej jowialności, ile, że objektem onej był szlachcic dobry — widząc wszelako, jak bardzo zaślepiła pana brata niebotyczna miłość własna, uspokoił się i sam się krotofilą swą ubawił.

XV.

Akurat w same Kuse dni kończył się termin żałoby pani sędziny Towiańskiej. Jakoż zrobiła całej kompanii miłą siurpryzę i szaty pustelnicze zrzuciwszy, przyszła na obiad w barwistym, cale już świeckim stroju.

Przyjęto wróconą światu aplauzem ogólnym, na który wdzięcznym odpowiedziała dygiem. I zaprawdę nie tak się przekształca Jupiter w onych księgach Nazonowych, które »Metamorphoseon« zowią, jako cudnie, licem i całą postacią, przemieniła się ta grzeczna pani. Róża z leliją rozkwitły na jej jagodach, cała zaś wdzięczną się uczyniła, by ptaszę w gaju. Nie zapomniała także o czarnych muszkach, które nadobnie a figlarnie twarz jej obsiadły. Owo zgoła taką się wszystkim wydała, jaką była nie jeno przed pogrzebem swego małżonka, ale i przed ślubowaniami z onym.

Gdy pospołu ze swą córką na salę weszła, niemal równolicami obie się zdawały — co najwyżej, matce jakieś pięć, sześć roków więcejby kto przysądził.

Wszystkich uprzejmie pominąwszy, podała sędzina rękę cześnikowi, który też wąsa, pasa i wylotów poprawiwszy, *solenniter* do stołu ją powiódł.

Przy stole, osobliwie przy wydworknych desertach, pieprzną małmazyą i słodkim alikantem obficie podlewanych, huczek podniósł się przyjemny, jako, że to święcono ostatnią już dobę mięsopustną. W powszechnym harmidrze trudno było rozeznąć, o czem siwy wdowiec z różaną dyszkuruje wdówką — na chwilę tam przecie nie odpoczywały usta, spojrzenie gonilo za spojrzeniem, uśmieszek za uśmieszkiem. A podczas i pełny śmiech wybuchał, u drugiego końca stołu słyszany, gdzie siedział Mleczek, wietrzący nos ku patronowi kierując.

A tam już ku końcowi obiadu i gałki z chleba pojawiły się na obrusie. Trzy ich było — dojrzał to wyraźnie Pafcio — postawiła zaś one pani Towiańska. Cześnik, z namarszczonem czołem, długo się w szare kulczki wpatrywał, wreszcie łapę wielką wysunąwszy, jedną kulkę nakrył i słówko jakoś bąknął. Roześmiała się pani sędzina i oczy

chusteczką dzierzganą zakryła. Roześmiał się i rozpogodził pan Mokrzecki. Ręce sobie podali, a że obiad się kończył, wstali od stołu w najlepszej komitywie.]

Wstał i Pafcio, a chociaż, dzięki licznym kolejkom, w swej przyrodzonej równowadze był kęs zachwiany, minę miał rezolutną i wesołą. Drapał się po nosie i pod wąsem chytrze się uśmiechał, co zawždy u niego zupełnej satysfakcyi znakiem bywało.

Do patrona swego zbliżyć się chciał, lecz nie mógł, ów bowiem wciąż był panią sędziwą zabawny.

Obiad kończono już przy świecach. A gdy kompania — mało — wiele wytchnąwszy, i — co białogłowom w każdej okazji potrzebne — przyglądziwszy się, do bawialni wstąpiła, już tam pająk kryształowy mnóstwem świec woskowych gorzał, a na chórku instrumenty swe dworska stroiła kapela.

Już to było w tradycyi boryszyńskich gospodarzy, że u nich w Ostatni wtorek do upadłego hasano. I teraz zatem tańce szły po tańcach, a płeć nadobna po dwakroć strój odmieniać musiała, tak jej ogniści tanecznicy pajęczynowe szaty w płasach nadwyryżali.

Jeśli na wieczorach poprzednich przodownicą stale bywała jejmość pani obersztlejt-nantowa Bitowttowa, tego dnia berło odstąpić

musiała jejmości pani sędzinie Towiańskiej. Z oną zaś zarówno w posuwistego poloneza, jak i w skoczne tany, puszczał się statecznie jegomość pan cześnik Mokrzecki. Jenowec w menucie miejsca ustępował młodszemu, ile, że ów taniec stroju francuskiego wymaga, którego by za żadne skarby świata cześnik nie był przywdział.

Drobny *casus*, ledwie, że przez niektóre osoby zauważony, zamącił na moment harmonię zabawy.

Gdy w »odbijanym« ów impostor Łatkowski, wysunąwszy się z korowodu, po rączkę pani Towiańskiej dłoń wyciągnął, cześnik ominął go, udając, że nie dostrzega i tancznicę swą komu innemu oddał..

Afront to był, jakowego nawet *scartabellae* i neofici płazem puszczać nie mogą. Zaczerwienił się ów, najeżył i do adwersarza swego doskoczył. Starli się ichmoście na słowa, które były gwałtowne, prędkie, lecz — niegłośne. Potem cześnik z pogodną twarzą na miejsce przypadające sobie wrócił, ów zaś, skrzywiony, by szatan, zaszył się kędyś między ostatnie pary.

Godowano godzin kilka, o świecie całym zapomniawszy. Niejednemu i niejednej, po rzetelnem wytrzęsieniu, haniebnie jeść się zachciało, o wieczery wszelako było cicho

i jeno przeróżne cukrowe figlasy damom służba roznaszala — przy których i kawaler się pożywił, a podczas i wdowiec. Ale takie to tam było i pożywienie!

Pafcio, któremu nie do tańców było, myszkował tu i owdzie, a zwykłej elokwencyi i rezolucyjności zbywszy, mrukiem się wydawał. Po kilkakroć pan Wojniłłowicz na stronę go brał i coś tam ze sobą konszachtowali. Rezydent głową chwiał *irresolute*, skończył wszelako na kiwnięciu, które w języku wszystkich zgoła nacyj, tak europejskich, jak zamorskich, zawždy znaczy *bene*.

Rozochocona kompania w najlepsze na woskowym pawimencie podrygiwała, gdy jedną razą skrzypek gubi takt, basetlista płacze się i rezon traci, bęben trajkotać zaczyna, jak waryat, a klarnet, w górę skoczywszy, wydaje pisk przeraźliwy, jakby kto palcem wilgotnym po szybie przejechał. Owo zgoła dekoncertacya i dekompozycya jeneralna...

Wzdrygnęli się tanecznicy i zamęt wszczął się między onymi. Jeszcze przez momet pary kołowały, potracając się nawzajem, wreszcie wszystko w miejscu stanęło.

Zamilkła też i kapela — a to nagłe zatrzymanie się wszelkiego ruchu i głosu sprawiło efekt ekstraordynaryjny, ledwie, że nie przerażający...

W tymże momencie zaczął bić w sieniach wielki zegar gdański, którego powolne, głębokie, nieco drżące pulsy wydawały się głosami z innego świata. Wszyscy mimowolnie liczyć te uderzenia zaczęli i doliczyli się — dwunastu.

— Północ!... — obwieścił głosem cale już grobowym sędziwy sługa, otwierając wysokie podwoje do obocznej jadalni.

W progu ukazał się imćpan Wojniłłowicz, gospodarz boryszyński, dziwnie na obliczu i na całej figurze odmieniony. Wąs obwisły, barki przygarbione, wzrok w ziemię wbity, a zamiast sajet i hatłasów — kontusina z prostego kilimka barwy marmurkowej, pasik włóczkowy ladajaki — owo zgoła przedstawił się raczej szaraczkowi zagrodowemu, niż jasnemu dziedzicowi podobien.

— Wielmożni, mnie wielce miłościwi, panowie bracia i dobrodzieje moi! Wielmożne, mnie wielce miłościwe, jejmoście i jejmościanki! Niepowstrzymany w swych kursach Saturnus doprowadził wóz naszego żywota do punktu, w którym Mięso-pusty i Zapusty termin swój ostatni biorą, scepter zasie monarszy dostaje się odpustom. Obwieszczając początek panowania postu świętego, upraszam całą przezacną kompanię na skromnego, klasztornego, ocl'em skropionego, śle-

dzika — do krórego wszelako zanim zasiądziemy, wpieryw mądrych słów kaznodziei, gwoli upamiętaniu i zbawieniu dusznemu wygłaszanych, z nabożeństwem, powstawszy, posłuchajmy.

Tu drzwi zatrzasnięto i kompania, *nolens volens*, zwrócić się musiała w stronę przeciwną, a ówdzie nowa czekała ją siurpryza...

W rogu wielkiej sali balowej, na wzniesieniu *ad instar* ambony urządzone, stał ksiądz w białej komeżce, ze stulą na szyi, wpół pasa kobierczykiem wzorzystym foremnie zasłoniony.

Nowicyuszów wielce ten widok zmieszał i na ton nabożny nastroił; *virii experti* przyjęli go uśmiechem, całe świeckiej natury.

Ten i ów, podszedłszy bliżej, łącno poznal, iż rzekomy kapłan jest człowiekiem tyleż świeckim, co reszta kompanii: że jego komża jest zwykłą, białą koszulą, a stula zwykłym, do brzucha opasywania, pasem; że wreszcie kobierzec po to jeno tam wzięty, żeby dolną, całe już świecką połowę ubrania, przed oczyma słuchaczów maskował.

Rychło też szlachta bystrzejszego oka domacała się, że w skórę owego kaznodziei, gwoli zapustnej krotofili, oblókł się — jego mość pan Mleczo, kompan i konfident cześnikowy.

Zajęto pośpiesznie miejsca, gdzie i na czem kto mógł, a uroczyście namarszczony i łysiną jakoby gromnicą świecący Pafcio, znakiem krzyża świętego siebie i słuchaczów swych przeżegnawszy, takim kształtem rzecz swą prowadził:

— [Zdrów czy chory: *memento mori!*] Mięso-pusty — obiekt pusty; *et post: est* »post«. [Nihil novi sub sole, milsze mółowi sobole, niż z chrustu malowane powidła] — napisał myśliwy Ochmal na piaszczystem morzu, zabiwszy drapieżnego wielgoryba w boryszyńskiej puszczy. Nie trzeba morzem do Krakowa płynąć, bo i po śląskich górach Litwini suchą nogą biegają; ten jeno cud w cudzych krajach największy, że tam u ludzi nogi do samej ziemi rosną, a słońce w dzień, księżyc zasie w nocy świeci. *Quid, nisi vela sumus?* Nie trzeba do Ankony gazetów pisać, ani w Amszterdamie, na Pivnej ulicy, słomianego szukać wołu, bo i w Wołkowysku Żydzi świniego mięsa nie jedzą, a [kto się poci, kwiatu lipowego nie pije.] *Non est cibus nisi baro...*

Choć się słuchaczom łechciwszej natury na śmiech zbierało, nikt wesołości swej nie pofolgował, bowiem obyczaj żądał, aby takich kazań w skupieniu ducha słuchano. Niektórzy, by pokusę śmiechu przyzwyciężyć,

głowami kiwali, jako to bywa na kazaniach prawdziwych...

Mleczek ciągnął, głos swój *ad hoc* nosowym czyniąc:

— Cóż pomstować na Mięsopesty, albo proces Fortunie wytaczać: że szewcy poniedziałki święcą, lutrzy w soboty mięso żrą, Cyganie kobyły kradną — kiedy sam rzymski orator, Cyncero, nie mógł łysą głową przebić drewnianego muru? *Nec Hercules contra plures*. Nie smakowała Żydom na puszczy pod Lidą manna, więc za to w szabas nie wolno im kurzyć fajek i pieniędzy liczyć. Z czego się okazuje, że sowa nie urodzi sokoła, kot oka nie wykole, choć chodzi po stole.

Cyrus, król lacedemoński, miał ten obyczaj, że gdy spał, to nie patrzył, którego raz obaczywszy ślepa baba, zaraz zaniewidziała — nad której ślepotą płakać i żalić się potrzeba nawet tym, którzy całe oczów nie mają. Maratończycy uczą, że kiedy słońce jest w znaku Lwa, wówczas kozy pieprzu nie jedzą i wina a miodu nie piją; a kiedy jest w znaku Barana, wówczas psy cła nie płacą i od myta za przewóz są wolne.

Zaprawdę, ziszczają się one dawne profecye, kiedy to Dedalus, burmistrz ze Świsłoczy, prorokował. *Saeculum erit depravatum nequam*. Co znaczy, że wilk przez posły

nie tyje, a wrona, choć biała, to się szwar-
cem myje.

Ej! gdyby teraz wyszedł z babilońskiej
stodoły, niby z mysiej jamy, ów sławny De-
mostenes, kołodziej ze Mścibowa, jakżeby się
zadziwił, zobaczywszy z olenderskim chrza-
nem źrebięcą na półmisku głowę, z musztardą
wołowe nogi, w smole duszoną komarzą wą-
trobę! Zaiste, wołałby on kruchego w białym
sosie indyka, niż z dziegciem flaki. Ba! roz-
dziawiłby ów gębę, jak wrota, przed zapust-
nymi gośćmi, poznawszy, że marchew żółtą,
kapustę kiszoną, zielone ogórki i rzepę twardą
niektórzy za przysmak mają. A przecie szkoda
szafranu do barszczu, limonii do grochu, bal-
samu do kapusty. *O tempora! o mores!*

Teraz na kluski mąki nie żałują, a uczony
Hikfikhocpoclarius, ujrzawszy na płocie zawie-
szoną kobyłą głowę, oświadczył: — Jako jest
ciężko łbowi zdechłego konia gadać, tak samo
niełacno zapiać zabitemu kogutowi w piecu. —
Skąd ja asumpt biorąc krótko powiem: baba
z wozu, kołom lżej.

Izrael rozgniewany, obaczywszy pewnego
Machabejczyka, płynącego borem do Dubna
na kontrakty, kazał go żywcem w stogu siana
utopić, ale mu to na złe wyszło, bowiem Ho-
lofernes Judycie głowę uciął. Gdzie cienko,
tam się rwie.

Nie szkodziły ongi Mardocheuszowi pod pierzyną okrutne lwy i tygrysy — teraz i biedne pchły dokuczają. Przedtem orły w stodole młóciły, teraz i muchy przed psami się kryją. Przedtem ryby po jeziorach pływały, teraz i konie karetami nie jeżdżą. *Terra est rotunda et globosa.*

Kiedy budowano Babilońską wieżę, Daryusz, węglarz z puszczy Tyszkiewiczowskiej, taczkami maślankę z Białowieży woził, a Dyr-dacz, mydlarz z Zalesia, glinę konwią odmierzał. Nie dokończywszy tak sławnej fabryki, pojechali do Wiednia na grodzieńskie piwo, gdzie im się języki od szparagów pomieszały. O czem usłyszawszy w podziemnych krajach Kizgajtos, przewoźnik z Pińska, jakoby z wieży Trockiego zamku na onych zawołał: — Gdzie Rzym, gdzie Krym, mości panowie? — jawnie tem okazując, że kto chce jeść angielskie minogi z anyżem i raki z balsamem, niech nie jeździ do Gdańskiej piwnicy w Rzymie, bo i w Pilwipiszkach czarna krowa białe mleko daje. [*Mors ultima linea rerum!*]

Na wspomnienie o śmierci, słuchacze głęboko westnęli. Ten i ów oczy wzniosł do powały i żałośnie wzdychając, a głowami chwiał, symulowali wielkie przerażenie.

Otarł też oczy kraciatą chustą i Pafcio,

jakoby potęgą własnej wymowy do łez rozrzewniony.

Po chwili, łkającym głosem, tak dalej prawil:

— Eskulapiusz, przedni cyrulik ze Słonima, tak misterną wyrobił z mydła kłódkę, że jej nikt rydlem otworzyć nie mógł. O czem dowiedziawszy się Chaim, szmuklerz mohilewski, posłał mu żywego śledzia, aby go po francusku gadać nauczył, ale mu to na dobre nie wyszło, bo żaden luter ani kalwin w niebie być nie może. *Et respice finem.* Co Amfion, balwierz z Kapadocyi, tak tłumaczy: — Nie chciałeś Żydzie manny, jedźże czosnek.

I koń się potknie, choć ma grzywę na karku. Z tej przyczyny gęsi w wilczurach nie chodzą. Sprawdził to na sobie Samuel, szkolnik krakowski, z Zakretu pod Wilnem, który wyprawivszy się lądem do Garwolina przez Bałtyckie morze, obaczył na Dardańskiej wieży dzikiego niedźwiedzia w marmurowej szubie, ów zasie, nie czekając na obwarzanki smorgońskie, pośpieszył saniami do Chojnic, aby obaczyć cudownego jelenia na czterech nogach z dwoma rogami. *Africa monstra parit.*

Najlepiej w drogę jechać, kiedy toru nie masz. Której perswazyi nie słuchając, Ofermestes, olejnik z Rohaczewa, nie nasmarował

wozu, kiedy czółnem po lodzie przez Wisłę pod Poznaniem jechał. Doświadczył tego i Ezop, o którym świadczą historye, że kiedy jadł malowane prosię, to gębą nie ruszał — o czem dowiedziawszy się Sylvius Aeneas, sołtys ze Szczors chreptowiczowskich, przywiózł mu cygańskiego szczura w sitowym garnuszku, aby go pacierza nauczył, lecz mu go ukradł do swojej bóżnicy rabin tatarski, aby mu na Świśłockiem morzu poławiały się rysie.

Pisze Owidiusz, płóciennik z Krotoszyna, że kiedy dzień najdłuższy, wówczas noc najkrótsza. Sprawdził to na sobie Pauzaniusz, pachciarz z Porozowa, omdlawszy od serdecznej wódki po zabiciu drewnianym berdyszem na pińskich górach dzikiego wielgoryba, który potem w Mitawie czynił manifest, że mu się w Mińsku między solą załęgły robaki. Dobrze jednak napisał Seneka, że zając migdałów nie jada, choć się rodzynki w kurniku nie rodzą. Atoli tyle waży funt szafranu, ile i pieprzu, i dlatego psy w zimie siana nie jedzą, choć w lecie gęsi trawę skubią. *Nulla regula sine exceptione!*

Skończył oracyę Mleczek, głębokim ukłonem słuchaczów pożegnał i w piersi się bijąc, ze stołka zlął.

Zaczem ruszyli wszyscy do jadalni, gdzie

oprócz śledzia, czekał na nich stokfisz kapucyński, przez bogobojnych zakonników przysłany. Był ten stokfisz tak trefnie przyrządzony, że mimo przyrodzonej łykowatości, w ustach się, by miód, rozpływał.

XVI.

Łatkowski, jak należało się spodziewać, afrontu, *publice* doznanego, do kieszeni nie schował i cześnika na rękę wyzwiał. Obojętnie przyjął to pan Mokrzecki, na adherenta wybrał swego Pafcia, nagłąc, aby sprawy zaraz, nie zwlekając, dopełniono.

Ze strony Łatkowskiego, stanął pan Kopeć. Coś on namotał sobie na cześnika i chciał mu przy tej okazji dopiec. Gdy przyszło do układania kondycyj, żądał, by były najtwardsze. Napróżno perswadował mu Mleczeko, że ta twardość właśnie przeciw jegomości Łatkowskiemu się obróci, bowiem rotmistrz, jako *expertus*, niezrównaną nad onym ma wyższość — uparty a zapalczywy szlachcic zamknął mu usta osobliwym zaprawdę argumentem:

— To niech ich obu kaduk porwie, byleby przy tem cześnik tego oberwał!..

Stało na tem, że bić się mają do pierw-

szej krwi, a na żądanie jednego, walka na nowo może być podjęta.

Kondycye ułożono zaraz po posypaniu głów popiołem; spotkanie odbyć się miało na-
zajutrz, na rozświcie.

Ponieważ przez całą noc sypało śnieży-
sko, trudno było potykać się w miejscu otwar-
tem. Na szczęście, nieopodal dworu, stał stary
trephauz, tam przeto adwersarze i ich adhe-
renci samoczwart podążyli.

Jeszcze przed pierwszym złożeniem, osą-
dził cześnik, że to partya cale nie równa. On
szedł do potyczki, jak do tańca, ów jak na
ścięcie. W jurystowskich krętaństwach biegły,
imał się szabli, niby *illiteratus* książki i pióra.

Splunął pan Mokrzecki, kaszel symulując.
I pasya, i litość brały go na widok onej mi-
zeryi.

Na komendę »trzy!«, jął lekko i jakby dla
igraszki, szablą wywijać, innego celu nie ma-
jąc, jak tylko: drasnąć przeciwnika, krwi kro-
plę mu wytoczyć i skończyć z miejsca tę lichą
krotofilę.

Okazało się to przecie mniej łatwem, niż
mniemał..

Drżący od strachu Łatkowski machał swą
szablina, jak waryat, stwarzając cięcia, pchnię-
cia, ryposty i młyńce, o jakich doówczas
w świecie fehmistrzowskim nie słyszano.

Cześnik miarkować musiał sztychy, bo szaleniec nieustannie się odkrywał, mógłby był przeto łącno nadzieć się na szablę przeciwnika, mieć odrąbaną rękę, albo łeb rozplątany. Cześnikowi zasie jeno o kroplę krwi chodziło.

Trwała ona komedya momentów kilka bez żadnego rezultatu. Widząc przeto pan Mokrzecki, że się nad wszelką miarę przewleka, fortelu się jął.

Gdy tamten na oślep rąbał, a rąbał, on, upatrzywszy chwilę, ramię mu swoje nadstawił. Prześliznęła się po onem szabla pana brata, przecinając kontusz i kęś po wierzchu krając ciało. Wnet się to miejsce krwią zafarbowowało — co zoczywszy, Mleczek i Kopeć ręce wzniesli do góry i krzyczeć jęli:

— *Satis! satis!*... Kondycye spełnione!... Honorowi zadość się stało...

Cześnik, cale spokojny, schował szablę do poszew i węża podkręciwszy, na stronę ustąpił.

Za to tamten w srogiej był alteracyi. Na widok krwi cześnikowej zmysły postradawszy, na kolana przed adwersarzem swym upadł i głosem płaczkliwym przebaczenia błagał...

— Nie bądźże waszmość mazgajem!... — ofuknie go Mokrzecki. — Toć słyszałeś, że

honorowi zadość uczyniono. *Ergo*, nikt tu nikomu nic przebaczać nie potrzebuje.

— Więc już żalu do mnie waszmość pan dobrodziej nie czujesz?

— Nie czuję, mości Łatkowski.

— I wrogiem moim nie jesteś?

— Cóż znowu! Nawet amicycyi naszej nic teraz w kontr nie stawia.

— Ach! — wykrzyknie tamten, oczy z wielkiej kontentacyi przewracając — jest mi tak, jakbym się po raz wtóry na świat narodził. I afekty moje dla waszmości pana dobrodzieja takowe są, jakie wyznawa niemowlątko dla rodzica swojego. Fortunnym nazwałbym los, któryby mi stopy waszmości pana dobrodzieja ucałować pozwolił.

Tu ręce załamie jakoby w dezolacyi niezmiernej.

— *O Fatum*, okrutne *Fatum*, najognistszym chęciom moim przeciwiące się! Czemuż, zamiast wytoczyć ocean mojej posoki nikczemnej, pozwoliłeś, aby szczerorubinowym wyciekła strumykiem najszlachetniejsza z krwi tego świata? A ty, śmierciородne żelazo, któreś ośmieliło się spełnić tę zbrodnię najczarniejszą nadwyrężeniem alabastrów cielesnych męża, splendor naszej sławnej Rzeczypospolitej prezentującego! — żelazo kainowe, krwią przelaną razem splamione i uszlachcone! —

niegodneś dłużej u boku się mego kolebać!...
Więc giń i przepadaj, jak ginie i przepada
nocna mraka, gdy wóz Apollinowy na nie-
biosa wyjeżdża!

Po tej eksklamacyi, niechybnie z »Winszo-
wnych aplauzów« wyuczonej, utkwiał pan Łat-
kowski klingę swego oręża w ziemię, potem
z całej mocy zgiął oną, chcąc złamać. Ale się
stało odwrotnie, niż w herbowej dewizie:
Franges, non flectes, bowiem klinga haniebnie
się zgięła a przecie nie złamała. Nie była to
prawa damascenka — ale i wśród ordynaryj-
nych augustówek trafi się podczas stal nie-
podła.

Nie w smak poszły panu cześnikowi one
łamańce i krasomowskie popisy, zaczem rzecze:

— Firki to są, mości Łatkowski! Schowaj
szablinę, bowiem przydać ci się może jeszcze,
bodaj do wykrobywania jurystowskich *erro-
rów*. A co się tknie krwi przelanej, niech cię
o nią głowa nie boli. *Pro fide, lege et rege*,
na użytek publiczny i miłych panów braci,
jeszcze się onej zadość ostało!

Zaczem pięknie skłoniwszy się adwersa-
rzowi, a pana Kopcia, jawnie sobie niechęt-
nego, ledwie ruszeniem brwi pożegnawszy,
zarzucił pan Mokrzecki delię swą na jedno
ramię i ku odejściu się miał.

Wiedział, że w dworze Boryszyńskim znaj-

dzie wszystko, co potrzebne gwoli opatrunkowi, a wierny Mleczko rolę chirurga *expedite* przy nim spełni.

Mniemali wszyscy czterej, że ich wczesna wyprawa niczyjej nie zbudziła uwagi — aliści, wnet po opuszczeniu trephauzu, przekonał się cześnik, że jest całę inaczej.

W ganku, z panem Wojniłłowiczem na czele, stała niemal cała kompania dworska, niewiast nie ekskludując. Kommocycę wielką wyrażały wszystkie lica; w otwartych szeroko i w stronę trephauzu wypatrzonych oczach, malował się ekstraordynaryjny niepokój.

Strój niewiast był negliżowy; w pośpiechu a trwodze, zarzuciła na siebie każda, co pod ręką znalazła. Zbiły się białogłowy w gromadkę, kształtem wylęknionych owieczek — liczka im od wzruszenia pobladły, noski od mrozu poczerwieniały.

Wśród mężczyzn, najruchliwszym był pan Kupść. Mały a zadzierzysty, krzykliwie perorował, na palce się wspinając. Inni także poruszeniami gwałtownemi jawili, jak ich żywo wypadek obchodzi.

Ale żaden ku trephauzowi krokiem nie ruszył, bowiem się to obyczajom rycerskim przeciwilo.

Czujność gospodarstwa i cnych gości zbudził był chłopiec kredensowy, który o świcie

wybrał się pod gaj, siadł na szczygły zasta-
wiać. Ów mimochodem, przez szklane ściany
trephauzu, awantury pojedynkowej dopatrył.
Wnet z wieścią podyrdał do służby, która
ją, nie bawiąc, po męskich spalniach i alko-
wach białogłowskich rozniosła...

Pan Mokrzecki, nie rad wybałuszonym na
się oczom licznego zgromadzenia, zatrzymał
się po wyjściu na moment, upatrując: kędyby
się mimo onego prześlizgnąć? Ale tegoż mo-
mentu ujrzał biegnącą ku sobie postać nie-
wieścią w robdeszanie, która licem i porusze-
niami przestrach wielki wyrażała...

Ledwie zdążył rozpoznać, że to we własnej
osobie jejmość pani Towiańska, już ona doń
przypadła, za rękę pochwyciła i obiema dłońmi
mocno ścisnąwszy, głosem wielkim krzyknęła:

— Żyjesz waszmość?... Ach!... ach!...

Liczko jej nagle, jak śnieg, zbielało —
i dziwne wydając głosy, które były razem ja-
koby śmiejący się płacz i śmiech kwilący, na
ziemię się osunęła...

Upadającą, zdrowem ramieniem podtrzy-
mał cześnik, przyczem nieumyślnie, a raczej
instykiem nieprzemierzonym do tego skłoniony,
krzepko do piersi przycisnął.

Otworzyła oczy, w twarz cześnikową pro-
sto spojrzała, — szkarłat oblał ją całą. Na-

wet szyja i uszy malusienkie koralowemi się uczyniły.

Wszelako, co prędzej się opanowawszy, o własnej mocy na nogach stanęła. Stanąwszy, dostrzegła rozdarcie i ślad krwawy na kontuszu.

— O Boże!... krew?... — zadygota z przerażenia.

Cześnik z uspokojeniem pośpieszył:

— Nic to, pani sędzino dobrodziejko... Skaleczenie małe, draśnięcie...

— {Do wesela zagoi się!...} — wyjechał Pafcio ze zwykłym w takich okazyach konceptem.

Teraz znów kolej przyszła na cześnika. Pokraśniał niebożę, jakby młodzikem był.

Stali tak przez moment oboje, alteracyi pełni — aż ich z niej wybawił fortunnie pan Wojniłłowicz, który wybiegł naprzeciw cześnika i ramiona doń wyciągał ruchem, wyrażającym radość i konsolację.

Za gospodarzem pośpieszyli goście — cała kompania kołem pana Mokrzeckiego otoczyła.

Wszyscy winszowali, wszyscy ścisnąć ciśnęli się — on zaś jeno jedno ramię do uścisków nadstawiał.

O Łatkowskiego nikt nie spytał.

Pani sędzina, Pafcia na stronę odwiódłszy, oświadczyła półszepem, że się ofiarowywa

pielegnować rannego — ile, że w tych sprawach dość ma eksperyencyi, jako z rodu rycerskiego pochodząca.

Wdzięcznem sercem dobre chęci przyjęto — oznajmując zarazem, że ranka jest tak nieznaczna, iż do zagojenia onej nieco wina do przemycia, a potem chleb z pajęczyną, w zupełności wystarczą.

Mleczo, opatrując skaleczenie cześnikowe, nieustannie mamrotał:

— Winszuję... winszuję... winszuję...

I chytrze się pod siwym wąsikiem uśmiechał.

XVII.

— Nierównien, mości rotmistrzu dobrodzieju, grosz groszowi a złoty złotemu. [Dawniej mieliśmy jeno srebrne grosze, dziś król jegoć zasypał nas groszami miedzianymi. Złotówki zasie są srebrne, są i czerwone. Tak samo i z Radziwiłłami. Są Radziwiłły złote, są Radziwiłły srebrne — nie brak takóż Radziwiłłów ze szczerej miedzi..]

— Zawždy, Pafciu duszo, [co Radziwiłł, to książę.] A *princeps* — rzecz pryncypalna!

— Błyszczysz się, rotmistrzuniu wielmożny, złoto prawe — błyszczysz i pozłota. Spróbować trza dźwięku: czysty czy fałszywy?

— Wielceś dziś surowy, Pafciu serce. Wybierasz wśród Radziwiłłów, jak między ułęgalkami.

— Bo dbam, żeby synaczek pana rotmistrza dobrodzieja spożywał owoc ze zdrowego drzewa, a nie z dziczki..

— Jużciż wiadomo, Pafciuniu, że nijakie drzewo o jednej gałęzi trwać nie może. Więc i *arbor Radzivilianae gentis* na różne rozrosła się konary.

— Już z nich dwa uschły do szczytu!

— Nie za mojej to się stało pamięci.

— Ani za mojej. Zczeszła jedna linia na Mikołaju Radziwille, co się był biskupem żmujdzkim uczynił. Dziedziczył po onym król Zygmunt August, ale niewiela mu stąd przyszło — to jedno chyba, że w dziedzicznym Knyszynie Bogu ducha oddał. Zwano tę linię »na Medelach i Goniądzu«.

— Świeć jej, Panie. Przynajmniej dziedzictwo w dobre ręce przeszło.

— W cały wiek później wygasła i druga linia, na Birżach, Dubinkach, Słucku i Kopylu...

— Wiem, Pafciuniu, wiem. Ostatni był Bogusław Radziwiłł, któremu Olelkowiczówna wniosła bogactwa wielkie, ale synaczka urodzić nie chciała. Potem i córa zeszała *sterilis*. Dobrze jeszcze, że one dobra wykupili inne Radziwiłły.

Potał czuba cześnik.

— Z Mokrzeckim tak nie będzie, Pafciuniu!

— To się wie, mości rotmistrz dobrodzieju!

Pomilczawszy momentów kilka, cześnik rzecze:

— Więc do Nieświża radzisz, Pafciu duszo?

— Jak w dym, wielmożny rotmistrzu. To jest Radziwiłłów stolica i gniazdo, skąd się ich herbowe Trąby na całą Litwę rozlegają. Rotmistrzowicz dobrodziej dobrą tam szkołę przejdzie, różności światowych się napatrzy, przyjaźnie zawrze pożyteczne, łaski i niełaski pańskiej doświadczy, *et in omni casu* z próżnemi nie wyjdzie rękoma. A zdarzy-li Bóg, to we fraucymerze księżnej jejmości i przyszłą *sociam vitae* sobie upatrzy.

Cześnik był jakoś markotny.

— Powiadają — zwolna cedził słowa — że stary ksiązę Rybeńko stetryczał — nudziarz jest, kapryśnik, zrzęda...

— To nic, ale magnat całą gębą, i pan, i senator. Województwem trzęsie całym. W jego blasku i Mokrzeccy świetności większej nabędą...

— Sam nie wiesz, co gadasz! — zżymnął się cześnik. — Mokrzeckim ich własna świetność wystarczy. Chwała Bogu, pożyczac jej od nikogo, bodajby nawet od Radziwiłła, nie potrzebują. Coś nazbyt gorące dla dziedziców nieświzkich żywisz afekty. Zapomniałeś, mój Mleczko, że dziś tam jakoby dwa dwory, bo książątka z pieluch wyszło i wąsik onemu się sypie...

— Serdeczny to młodzieniaszek, mości rotmistrz dobrodzieju! — z uniesieniem zawołał rezydent. — Horoskopy stawiają mu najświetniejsze — Jezuita jeden z gwiazd wyczytał, że księżę Karol *in futuro* królem Litwy się staniel..

Cześnik nogą tupnął — niecierpliwie po komnacie chodzić jął.

— Widzę, mój Mleczko, żeś już całe na stronę nieświzką przekabacony. Pewnikiem przy onym królu masz w sperandzie kanclerstwo. Ja tak wysoko nie sięgam i synaczka na dworzanina królewskiego promować nie pragnę. Więc, jeśliś łaskaw, ostawmy ów Nieświż w spokoju.

Zaszurał butami rezydent i zmilczał, jakby mu kto plastrem gębę zalepił.

Pan Mokrzecki, wyczmychawszy się kęs, zagadnie:

— A co trzymasz, serce, o krajczym litewskim?

— O księciu Marcinie?

— Tak: o Radziwile z Czarnawczyc?

— Nic nie trzymam, wielmożny rotmistrz dobrodzieju.

— Zły-li on, czy dobry?

— Może zły... a może dobry... wielmożny rotmistrz dobrodzieju.

— Gadajże wyraźnie: na patrona synowi memu wybrałbyś go, czy nie wybrał?

— Anibym wybrał, anibym nie wybrał, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju.

Zmiarkował cześnik, co się święci. Z pod brwi ściągniętych na Mleczka spojrział, zakasłał i w bok splunął — jak to zwyczaj był jego.

Szerokimi krokami wszecz i wzdłuż izbę przemierzywszy, znów przed rezydentem stanie i spyta:

— A księżę Udalryk do serca ci przypadł?

— O!... księżę Udalryk... o!

— Cóż znaczy twoje »o!«, Pafciu-milczku?

— Nic nie znaczy, mości rotmistrzu dobrodzieju.

— Jakto nic?

— Ano nic.

— Jak mi trzeba rozumieć to »nic«?

— Pytać o to księcia Udalryka. Toćże on dzieło wydał: »O słowie *nic* w swojej przyzwoitości opisanem...«

— Bodajże cię! Nie dogadam się dziś z tobą, Pafciu przekoro.

— Nie jam winien, mości rotmistrzu dobrodzieju.

— Czemuż mi o Radziwiłłach gadać nie chcesz?

— Albożem nie powiedział wyraźnie: są

grosze i grosze, złotówki i złotówki — są także Radziwiłły i Radziwiłły!

— Bodajże cię kaczkę zdeptali!... Nie dogadam ja się dziś z tobą!

Mleczek w milczeniu rozłożył ręce, — mówić się zdawał:

— Bóg świadkiem duszy mojej, żem temu nie winien...

Zamilkł i tamten, i już nie chodzić, ale biegać jął po komnacie, jakby go giez uciął.

Nagle stanie i tonem komendy wojennej rzuci:

— Pojedziemy do księcia Udalryka!

— Pojedziemy, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju... — skłonił się Pafcio.

— Z Józefkiem pojedziemy!

— Z rotmistrzowicem dobrodziejem, mości rotmistrzu dobrodzieju...

Cześnik bystro spojrział na rezydenta.

— A ty-by może wołał gdzieindziej?

— Może-by wołał, wielmożny mości rotmistrzu...

— Do kogóż zatem?

— Właśnież to, rotmistrzu dobrodzieju: do kogo?...

Zmarszczy się pan Mokrzecki, tupnie nogą i krzyknie:

— Cóż to, mój Mleczek — przekwinty?

— Subordynacya, mości rotmistrzu dobro-
dzieju..

— Bodajeś skisł ze swą subordynacją!
Pafcio niziutko się skłonił.

— Jeśli taka wola wielmożnego rotmistrza
dobrodzieja..

Cześnik wyszedł z komnaty, drzwiami mo-
cno trzaskając.

XVIII.

Stary, siwy, czarno odziany sługa, którego mianowano: »kamerdyner«, oznajmił panu Mokrzeckiemu, że jaśnie oświecony książę przyjmie go, wraz z synaczką, przed samym śniadaniem.

— Tak wczas, duszo? — zadziwił się cześnik.

— Jak zwyczajnie, proszę waścidgeja — około południa.

— Bój się Boga, serce! Taż to będzie pora obiadu, nie śniadania!..

— U nas obiad o piątej, proszę waścidgeja.

— To rannego posiłku cale nie jadacie?

— Jakżeby znów! Jadamy go, z łaski Pana Boga i jego książęcej mości. Nazywa się to »kafa«, proszę waścidgeja.

— Nazywa się jeno? A czemże jest *in effectu*?

Stary rozczapierzył chude, kościste palce; stukając w nie kolejno, wyliczał:

— Najpierw, sam książę jegomość pija serwatkę z sucharkami. Dla księżnej jejmości szafarka przyrządza jakoweś dekokty, od których jaśnie pani utyc się spodziewa. Paniętom noszą winną polewkę. Z rezydentów, jeden żąda piwa grzanego, drugi bigosu, trzeci jajecznicy. Wreszcie niższa kategoria, proszę waścidgeja, łyka kminkówkę albo cynamonówkę i wędlinką przegryza.

— Więc kawy, znaczy, nikt u was, serce, nie pija?

Kamerdyner wielce się zdziwił, oczy wytrzeszczył i cości pod nosem mrucząc, jął znów stukać po palcach, jakby liczby swoje weryfikował.

— Ano, proszę waścidgeja — z westchnieniem wreszcie wyrzekł — na to wyszło, co nikt!

Godziny jeszcze nie dostawało do zapowiedzianego posłuchania — cześnik chciał z tego sprofutować, aby rozejrzeć się kęs w rezydencji książęcej, o której w jego stronach różne krążyły powiastki.

Stary sługa ofiarował się za przewodnika.

Ledwie wyszli za parkan, okalający podjazd pałacowy, cześnik ujrzał osobliwy budynek, ni to altanę, ni to młynek — coś w ro-

dzaju chińskich kościółków, które podczas na szpalerach pokojowych figurują.

Miało ono dziwo cztery skrzydła, *alias* śmigi — każdą na inny kolor pomalowaną. Śmigi nie obracały się — ile, że powietrze było ciche i wiaterek by najmniejszy nie dał.

— Ekstraordynaryjny macie wiatrak!... — zauważy pan Mokrzecki, głową kręcąc.

— To nie wiatrak, proszę waścidgeja... — poprawi ów.

— Cóż więc, duszko?

— *Horologium*, proszę waścidgeja... *horologium aëreum*. Inaczej: godzinnik, *alias* zegar wietrzany. Z tamtej strony jest tarcza, i wskaźniki, i godziny wszystkie wymalowane, jak się patrzy. Inwencya to jaśnie oświeconego księcia jegomości. Gdy wiaterek skrzydła porusza, we środku kręcą się takie różne kółka, i wskaźniki akuratną godzinę pokazują.

— A jeśli wiatru, serce, niema?

— To *horologium* w miejscu stoi, proszę waścidgeja.

— I cóż wówczas, duszo?

— Wówczas patrzy się godziny na godzinniku słonecznym, *alias* kompasie, lub też na pektoraliku.

— Bodajże was... — wyrwało się cześnikowi, ale spostrzegł się wnet i dokończył: — Bóg za wasze inwencye błogosławił!

Uszli kroków kilkadziesiąt, aż pan Mokrzecki usłyszy nieopodal jakoweś brzęczenie, mruczenie, stękanie, jakby ktoś na drumli grał, a razem w żywocie boleści cierpiał.

— Bój się Boga, serce! — zawoła — a toż znów co takiego?

— Takoż jaśnie oświeconego księcia pana inwencya. Harfa olejowo-serdelowa... czy serowa... może serenowa? — bo tu człowiekowi trudno wszystko akuratnie spamiętać, proszę waścidgeja.

Podszedł bliżej cześnik i ujrzał rzeczulkę waziuchną, która była w całej długości zamarznięta, ale w tem miejscu oczyszczono ją z lodu i płynęła falą dość wartką.

Rzeczulkę przegradzała wpoprzek jakoby olbrzymia furta, a w rzeczywistości wielka rama drewniana, z naciągniionymi z góry na dół drutami. Woda, przez druty przepływając, ono brzęczenie sprawiała.

— [Ni przypiał, ni przyłatał...] — pomyślał cześnik. — [Ni w pięć, ni w dziewięć, ni w ośmnaście...]

A w głos rzekł:

— I to sam ksiązę jegomość to wszystko *invenit*?

— Czyż jeno to, proszę waścidgeja! U nas na każdym kroku siła tych osobliwości. Lu-

dzie z końca świata, z Oszmiany, ze Smorgoni, zjeżdżają się, żeby one dziwy admiraować.

Cześćnik jeno głową kręcił, co moment powtarzając:

— No, no, duszo... No, no, serce...

Książę był snąc wielkim hołdownikiem Melpomeny i Polihymnii, znów bowiem o uszy idących obily się śpiew i muzyka. Osobliwością w tym wypadku było, że grano i śpiewano — w stodole.

Pospołu z muzycznymi egzercycyami, odbywała się młocka, a jedno z drugim zmieszane, takim kształtem brzmiało:

Tra-la-la-la — łup! cup!

Tra-la-la-la — łup! cup!

— U nas wszystko z muzyką, proszę waścidgeja... — pośpieszył z objaśnieniem stary. — Pastuszkowie za bydłem grają na klarynetach, a gęsiarki na ugorze zawodzą dyszkantem: — Ach! ach! — och! och!... — Jaśnie oświecone państwo sami podczas wychodzą na łąkę — książę jegomość kosi, księżna jejmość grabi, — kapela różne arye wygrywa, a kosiarze i kosiarki chórem przyśpiewują. Wszyscy zaś, proszę waścidgeja, boso wondrous chadzają, a na głowach noszą gierlandy z kwitnącego zielska...

— No, no, duszo... No, no, serce..

Już się zbliżało południe — na oglądanie innych dziwów czasu nie starczyło.

W powrotnej do pałacu drodze, kamerdyner, tabaki zażywszy, takową jeszcze uczynił uwagę:

— Wszystko to, proszę waścienieja, z jednego wyływa...

— Z czegoż, duszo? — ciekawie spytał cześnik.

— Oto z tego, że nasz jaśnie oświecony książę i pan nie jest taki, jak inni ludzie.

— Nie dostaje mu czego, serce?

— Uchowaj Boże! Książę jegomość ma wszystkiego, a głównie mądrości, nad miarę i potrzebę.

— Czy i fortuny, duszo?

— Tego ja wiedzieć nie mogę, proszę waścienieja. Cudzych bogactwów nie zwykłem liczyć. Ale wiem, co mi mówiła Polusia, najmłodsza moja — która we fraucymerze służy i która to od samej księżny jejmości słyszała — że nasz jaśnie oświecony pan jest jakoby drugi Humorus...

— Humorus, serce? Któż to był taki?...

— Humorus czy Rumorus, tego dobrze nie pomnę, proszę waścienieja. Ale zawždy Morus.

— To może, duszo, Homerus?

— Może i Homerus. Umiał ów pono wy-

razy do kupy składać, że się wiązały ze sobą, jak końce litego pasa, albo jak nie przymierzając, w moim kancyonaliku: »Maryja« i »Lelija«, »Dzieciątko« i »Niebożątka«... Nasz ksiązę jegomość, w tej sztuce ekspert, takż podobne figlasy koncypuje.

— To znaczy, serce, że ksiązę *poetus*?

— Tak się to pono mianuje, proszę wasćidzieja.

Na zegarze pałacowym — ale nie »wiatrzanym« — wybiło pół do dwunastej. Stary sługa przyśpieszył kroku, aby gościa czempredzej na pokoje wprowadzić.

Cześnikowicz, przystojnie odziany, czekał już w pięknym, ogrzanym, landszaftami owieszonym przedсионku — skąd wszyscy udali się do księcia Udalryka.

Porannych, przedśniadaniowych gości ksiązę zwykł był przyjmować w komnacie, nazywanej »gotowalnią« — która to nazwa stąd się pewnie wzięła, że się tu pan odziewał, czyli do wystąpienia gotowił.

Gdy cześnik z synem, przez sługę oznajmieni, weszli, ksiązę Udalryk wstał od stołu, książkami, papierami, piórami i wszelkiem kancelaryjnym śmieciem zarzuconego — szybko się z przybyszami przywitał, stołki im podsunął, komplementów zwyczajnych kilka po-

wiedział i znów na miejscu poprzedniem zasiadł.

Zasiadłszy, wnurzył nos w papiery i do pisania się zabrał, haniebnie piórem gęsiem skrzypiąc.

Pan Mokrzecki, profitując z okazji, bacznie przyglądać się jął onemu Radziwiłłowi, o którym dotąd ledwie coś-nie-coś z posłuchów wiedział.

Książę Udalryk cale do swych nieświzkich kolligatów nie był podobien. Musiał być już w leciech podeszłych, co wskazywała skóra na policzkach żółta, pomarszczona i obwisła. Siwizny wszelako nigdzie się nie widziało — ile, że krom brwi poczernionych, ni jeden włoszek nie jawił się ani na obliczu do cna wygolonem, ani na głowie naguteńkiej, a owalnej, jako strusie jajo.

Całą personę książęcą okrywał wielki pudermantel — snąc przed kilkorgiem minut balwierz praktyki tu swoje odbywał. A nie skończył ich jeszcze w zupełności, stojąc bowiem przy drugim stole, trefił, układał i mąką osypywał ogromną, na wysokim postumencie spoczywającą, perukę. Była to peruka z tych, które dopiero Sasi do mody wprowadzili — kilkopiętrowa, nastroszona, runo baranie przypominająca.

Książę pracował przy jednym stole, bal-

wierz przy drugim — obaj milczeli — o panu Mokrzeckim i jego synaczku jakby całe zapomniano...

Cześnik czuba pocierał i czoło marszczył, widząc w tak osobliwym przyjęciu obrazę swej godności szlacheckiej. Cóż to? alboż Mokrzeccy nie równi Radziwiłłom? alboż cześnik nie *possessionatus*? alboż się dwoma urzędami publicznymi nie zaszczyca?

Pasyę mitygował jeno sentencyą, w myśli powtarzaną:

— [Wielkim panom i wielkim kpom wszystko uchodzi...]

A potem jeszcze myślał:

— Ba! — zgadnijże kto mądry: którą kategorię mam dziś przed sobą? Może tu obie w jedną się złączyły?...

Nagle książkę przestał pisać, pióro odłożył, palcem stuknął w czoło, na usta przywołał uśmiech amikalny. Z tym uśmiechem do pana Mokrzeckiego się obrócił.

— *Monsieur* — wyrzekł, nisko się skłoniwszy i kęs szepleniąc — wielkim czuję się względem pana mojego winowajcą. Uchybiłem powadze urzędu i dostojności waszmościnej, a także świętym prawom naszej starolitewskiej gościnności. Ekskuzą moją niech będzie [Horacyuszowe: *Poetis omnia licet.*]

Skłonił się i cześnik, milcząc. Bogiem a prawdą, nie wiedział, co odpowiedzieć.

Ów zasie ciągnął:

— Uważyc racz, *monsieur*, że my, poetusowie, miewamy momenty nienagrodzone. Gdy okazyę miną, już ci ona, jak ptak z otwartej dłoni, uciecze. A właśnie trafiliście waszmoście na moment, gdy mi się rytmy trefne w głowie i pod piórem kształtowały.

Tu weźmie do ręki zapisany papier i z nowym ukłonem zapyta:

— Mogeż mieć śmiałość pochlebiania sobie, że moje niedołęzne lukubracye uszu waszmościnych nie obrażą? Nie udarowało mię niebo takowem, jak skarbnikową żydaczewską, *ingenium* — podczas wszelako i mnie, mizeraka, dowcip nawiedza...

Znów cześnik uniżonym pokłonem gotowość swą stwierdził — gwoli czemu ze stołka się nawet podnosząc. Józefek także przykład ojcowy naśladował.

Więc ksiązę Udalryk, głowę zadarłszy, zabrał się do odczytania świeżo skomponowanych rymów. Recytował one głosem podwójnym. Był to bowiem *dialogus*, w którym jedna strona przemawiała dyskantem, druga zasie basem.

Książę czytał:

— »*Echo korespondujące przechodzącej się po sali Damie*«.

Dama (discanto). Już tej sali okropnej cale nienawidzę.

Echo (basso). Widzę.

Dama. Po kompaniach, po gościach, cale, jak po wojnie.

Echo. Oj, nie!...

Dama. Kto to jest, co tu gada, lubo sala pusta?

Echo. Usta...

Dama. Co za usta, co za rzecz rozmowy zażywa?

Echo. Żywa...

Dama. Ktoś ty? powiedz wyraźnie, ale nie zdradziecko.

Echo. Dziecko...

Dama. Przebóg! skąd u mnie dziecko? — chyba omamienie?

Echo. Ma mienie.

Dama. Czy Kupido? — lecz tylko Wenerze on sprzyja.

Echo. I ja!...

Trudno — ba! cale wyimaginować sobie niepodobna — jakie ekstraordynaryjne miny wyprawiał książę, recytując owe rymy osobliwe. To oczy mrużył i nos wystawiał; to brzuch wciągał, jakby z jego głębin głosu chciał dobyć basowego; to wreszcie podrywał

się cały z siedzenia, na podobieństwo wskakującego na płot koguta...

Skończywszy, utkwił rozgorzałe źrenice w pana Mokrzeckim, czekając wyraźnie na aplauz.

Zbyt świeckim był człekiem cześnik, aby mu onego odmówić. Więc klasnął w dłonie, szturgając łokciem Józefka, by czynił toż samo.

— Paradnie! wyśmienicie! superfinowo! — powtarzał, w pokłonach się zginając. — Z jaśnie oświeconego księcia prawy Kochanowski!...

Oczy przytem w dół spuszczał, jakby bojąc się, by z nich symulacyi nie wyczytano.

— Proszę waszmości dobrodzieja — odpowie głosem fletowym ksiązę — zauważyć chciej, *monsieur*, jakie tu były trudności do skonwinkowania, jakie *Scyllas et Charibdas* do przebycia... Wszelako wrodzone *ingenium* pomogło, że się wszystkiemu dało rady, i mój rytm, niby czołn ubożuchny, z litewskiej jedliny wystrugany, na drugą stronę fortunny się przeprawił...

— *Ad majorem Dei gloriam*... i gwoli większemu uhonorowaniu jaśnie oświeconego księcia pana! — układnie oświadczył pan Mokrzecki, zawczasu sobie Radziwiłła, acz nie nieświzkiego, kaptując.

Ów obrócił się z łaskawym uśmiechem do Józefka:

— Dobrze, że i młody usłyszał. W pamięci mu to zostanie. Uczono go niezawodnie w konwiktach jakowymś, że jeno Rzymianie a Grecy w poezji wysoko się wznosili — pozna teraz, że i w litewskich lasach wyrastają podczas laury. Po muszkatele, po cytryny, po jabłka granatowe, trzeba nam jeszcze za morza jeździć — rytm foremny już się dziś i w domowej zagrodzie *in vernaculo* wyhoduje...

Musnął się po golusieńkim czerepie, potem dłonią wygolone policzki przejechał.

— Ani wątpię, *monsieur* — mówił dalej, wprost już do cześnika — że o uszy waszmości dobrodzieja obito się już nieraz nazwisko naszej prześwietnej poetessy, skarbnikowej żydaczewskiej: jejmości pani Helźbiety Druźbackiej...

Znów cześnik na milczącym pokłonie poprzestał — nic, Bogiem a prawdą, o onej osobie nie wiedząc. Pokłonił się także Józefek, nauczony we wszystkim rodzica naśladować.

Wspomnienie o pani Druźbackiej rozgrzało księcia. Umoczył dwa palce w wielkiej z muszli w srebro oprawnej tabakierze, która między papierami stała i szczyptę tabakowego proszku w górę podnosząc, z afektacją niemalą mówił:

— *Musa* to jest *Sarmatica*, na którą wieki

całe czekaliśmy! Splendor Korony, Litwy —
ba! całej Rzeczypospolitej naszej! Jego ekscele-
lencya biskup-referendarz Załuski, *amicus meus
dilectissimus*, zebrał wszystkie onej Safony pol-
skiej rytmy, jako się zbiera perły z rozerwa-
nego naszyjnika, i w jedną księgę zamknąw-
szy, w typografii pijarskiej odciska. Ja zaś,
antiquo modo, takową do jejmości epistołę
skomponowałem...

Palcami, ściskającymi tabakę, w gołą cza-
szkę stuknął i recytować jął:

»Nie z prostej skóry pas ciągnę *Rzemienia*,

(Uważ, *monsieur*, że to się tknie Rzemie-
nia nad Wisłoką, gdzie *Musa Sarmatica* gnia-
zdo swe uwiła).

»Nie z prostej skóry pas ciągnę *Rzemienia*,
Z której tu snuje Muza swe osnowy,
Tać z Helikońskich cór idzie plemienia,
W *Drużbackich* kroplach kręte kroi rowy«,

(Wody »Drużbackie« waszmości dobrodzie-
jowi *ignotae* być nie mogą).

»Gdzie po kamykach szumne grają zdroje,
Skąd poetyckie dają smak napoje...«

W tem miejscu książkę Udalryk, zatrzy-
mawszy się przez moment dla nabrania od-
dechu, sprofitował z okazji, aby nareszcie ona
szczyptę proszku, w palcach ściskanego, w cze-
luściach okazałego nosa umieścić.

Niedługo na konsekwencyę czekano... Potężny grzmot wstrząsnął zatechłe od kurzu i pachnideł perukarskich powietrze...

— *Vivat*, jaśnie oświecony książe! — krzyknął pan Mokrzecki, na równe nogi się zrywając.

— *Vivat*, jaśnie oświecony książe! — powtórzył za ojcem rotmistrzowic.

— *Merci... Merci...* — zaśpiewał cienko książe, kłaniając się temu i tamtemu.

Zarazem powstał z miejsca i *solenniter* oświadczył:

— Pozwólcie, *messieurs*, że w gratulacyi waszmościów dobrodziejów jeden *error* skoryguję. Na uboczu moją skromną pozostawiając personę, wykrzyknijmy raczej wszyscy: »*Vivat Musa Sarmatica!... Vivat Sapho Polona!*«

— *Vivat!... Vivat!...* — rozległy się głośnie okrzyki, w których wziął nawet udział stary majster od peruki, Francuz, ni słowa nierozumiejący po polsku.

Księżciu z wielkiej kontentacyi nos poczerwieniał a usta szeroko się rozciągnęły, jak u męża leśnego, *alias* Satyra.

Ująwszy odłożony papier, *de noviter* do czytania się zabrał.

Ale w tym momencie, na dziedzińcu rozległ się głos dzwonu...

Zerwie się *poetus* na równe nogi i zakrzyknie:

— *Monsieur François!... Ma perruque!... Vite! vite!*

Stary balwierz, uciesznie podrygując na cienkich, jak kijki, nóżkach, przyskoczył i z pośpiechem umieścił na głowie księcia olbrzymią stertę umączonych, trzęsących się loków. Biały pył uniósł się chmurą w powietrze.

Książę Udalryk, z żywością ośmnastoletniego młodzianka, zrzucił swój lekki, w zielone i wiśniowe pasy, robdeszan i ukazał się w pięknym stroju francuskim, stosownym nie jeno do stołu, lecz nawet do sali bawialnej.

We drzwiach od komnat wewnętrznych, zjawił się sędziwy kamerdyner, w pięknej barwie, w rękawicach białych, i z ukłonem oznajmił:

— Jaśnie oświecona księżna jejmość oczekiwania ze śniadaniem jaśnie oświeconego księcia jegomości i jaśnie wielmożnych ichmości dobrodziejów!

Otworzył podwoje i na stronę ustąpił — zaczęli wszyscy udali się do jadalni.

Na powitanie księżnej, wystąpił pan Morzecki z wielce fortunnym komplementem.

— Piąty rok mija — wyrzekł, kościste jej ręce obcałowując — jak udarował mię los widokiem jaśnie oświeconej księżny jejmo-

ści. Ale choć mi świeża jeszcze pamięć na dyamencie serca głęboko jej konterfekt wyrznęła, nie poznałbym jej w dzisiejszej całej osoby metamorfozie...

— Czyżbym tak wielce postarzała?... — kwaśno uśmiechnie się całe jeszcze młoda pani Udalrykowa.

— Tyle jeno, co różany pąk, gdy się w kwiat okazały rozwinie. Inna jest odmiany rzeczony przyczyna. Gdym przed pięciorgiem roków księżnę jejmość oglądał, byłaś jaśnie oświecona pani kształtu subtelnego, *ad instar* Serafinów, które po kościołach malują. Dziś — oczy przecieram, widząc przed sobą białogłową okazałą, *mulierem* co się zowie *formosam*...

Raka spiekła jejmość z uciechy niezmierniej. Niczem nie można jej było tak ukontentować, jak chwając jej rzekomą otyłość. Ktoby jej powiedział, że wygląda, jak Holofernes, pewnieby mu fortunę całą oddała. Zwyczajny to ludzkiego, a nadewszystko białogłowskiego przyrodzenia defekt.

Wkupiwszy się w łaski pani domu, był odtąd cześnik przedmiotem jej osobliwej obserwancyi. Z nim głównie dyszkurowała, dla niego najpochlebniejsze miała słówka i uśmiechy. Owo zgoła dobrze się działo przy stole panu Mokrzeckiemu.

Książę Udalryk, wedle wyrażenia swego:

»lutnię na kołku powiesiwszy«, zabawiał gości narracyami o swych osobliwych inwencjach.

Był właśnie *in tractu* budowania maszyny ekstraordynaryjnej, którą człek do ramion sobie przytwierdziwszy, latać mógł, jako ptak, po powietrzu.

Wszyscy *obstupuerunt et ora tenebant*, gdy narrator, krasomówstwem własnem porwany, na krzesło skoczył i rękoma, niby skrzydłami machając, lot wielkiego ptaka imitował...

Cześnikowicz, jak na młodziana dobrze edukowanego przystało, poprzestawał jeno na słuchaniu starszych, cale się do konwersacyi nie mieszając. Siedział także z gębą zamurowaną Pafcio, do stołu książęcego, jako *nobilis*, przypuszczony — tak, iż zdawało się, że nie Mleczkiem, ale Milczkiem zwać mu się przystoi.

Po śniadaniu, wszyscy się do zajęć swych rozeszli: książę jegomość do wierszów i maszyny latającej, księżna do klawikordu i krosienek, inni do gospodarstwa, nauki, lub korespondencyi. Cześnik, z Józefkiem i Pafciem, do pokojów gościnnych powrócili — ile, że promenadą zimową już byli tego dnia do syta uraczeni.

— Cóż, panie synu — zagadnie pan Mo-

krzecki, pasa rozluźniając — dom książęcy do gustu waści przypadł?

A zanim ów na odpowiedź się zdobył, dorzuci jeszcze:

— Dyzgustów zresztą waścinych pod uwagę brać nie będę...

Na takie *dictum*, cóż rzec było można?

Skłonił się jeno cześnikowicz i bąknął:

— Tak będzie, jak pan ojciec dobrodziej postanowi...

— A ty, Pafciu duszo — zwrócił się cześnik do rezydenta — co z tego wszystkiego konkludujesz?

Pafcio nisko się skłonił.

— Konkluduję, że najlepiej będzie powtórzyć złote słowa rotmistrzowica dobrodzieja: tak się stanie, jak waszmość pan dobrodziej postanowisz.

Tupnie nogą cześnik.

— Znów mi się, widzę, piskorzem wywijasz! Zawzięłeś się na mnie, czy co?

Pafcio milczał.

— Gadajże! nie bądź rybą!

— Więc powiem, bez urazy wielmożnego rotmistrza dobrodzieja. Jeśli pan Józef dobrodziej na poetusa, albo li też na inwentora ma być promowany, tedy będzie mu w tym domu, jako słowikowi w gaju olszowym, a Pegazowi przy Kastalskiem źródle...

— A jeśli ja z Józefka uczynić żądam gospodarza wiejskiego, a podczas i rycerza, męża, jak to mówią, do rady i zwady, do pługa, do szabli i na sejmik?...

Mleczek ramiona rozłożył, głowę pochylił i nic nie wyrzekł.

Więc namarszczy się pan Mokrzecki, po pokoju biegać weźmie, — wreszcie stanie, rękoma machnie i rzuci:

— Atl...

XIX.

Gdy nazajutrz goście wkraczali na pokoje książęce, ze zdziwieniem ujrzeni księcia jego mości, trzymającego w ręce papier jakowys, stukającego palcem w czoło i głosem fletowym wykrzykującego:

— Awantura!... Awantura!...

Zwrócił się też zaraz książę do wchodzących i objaśnił:

— Imaginujcie sobie, *messieurs*, że w powiecie waszmościów zdarzył się *casus* niesłychany. Na jeden z dworów szlacheckich napadli nocą Cyganie!

— Na czyj?... — zagadnie cześnik z widomym niepokojem.

— Na dwór białogłowy jednej, dla której, acz rzadko widywanej, stateczną w sercu chowam adoracyę: na dwór pani sędziny Towiańskiej.

Ledwie to usłyszał cześnik, siły go opu-

ściły i osunął się, omal, że nieprzytomny, na krzesło. Gdyby krzesła nie było, runąłby nieochybnie na ziemię.

Rzucono się ratować. Sama księżna jejmość z solami trzeźwiącemi przybiegła; Pafcio z Józefkiem rozrywali spinki u żupana i guzy przy kontuszu; ksiązę tabakierę pod nos wtykał. Na służbę krzyknięto, by chirurga ksiązęcego sprowadziła.

Szczeńciem, było to jeno krótkie omdlenie. Za momentów kilka, pan Mokrzecki przyszedł do siebie. Ale osłabiony był wielce i twarz mu się osobliwie zmieniła.

Ksiązę Udalryk, przy pomocy Mleczka i cześnikowicza, przeprowadził cześnika do swojej stancyi, którą przezwał modnie »kabinet«. Wpierw jeszcze zamienił z księżną jejmością spojrzenia znaczące, które mówić się zdały:

— Skąd u gościa naszego taka alteracya?... Wzdyć mu pani Towiańska nie siostra i nie krewna? Coś się w tem święci...

W »kabinecie«, pierwsze słowa pana Mokrzeckiego były:

— Nicze się jej, niebodze, nie stało?...

— Ależ proszę waszmości — odpowie ksiązę — uspokój się, *monsieur*. Jakkolwiek *singularitates* tego wydarzenia nie są mi je-

szcze znane, to wiem napewno, że pani Towiańska przy życiu pozostaje.

— Jechać nam trzeba!... jechać natychmiast!... — wykrzyknął cześnik, o własnej już sile powstając.

Książę przybrał minę strapioną.

— Żalność to dla mnie wielka i niemal dys-honor, że waszmość pan dobrodziej, za ledwie w progi moje wstąpiwszy, już mi serce groźbą odjazdu zasmucasz. Bądź pewien, *monsieur*, że w innych okazjach posunąłbym się aż do uniżonych molestacyj, do rąk całowania — ba, nawet do zamknięcia wszystkich wrót w mojej ubożuchnej zagrodzie, aby się dłużej widokiem tak godnej osoby kontentować. Widzę wszelako, że tu działają wyższe nad popolitą cnotę siły — że magnes, który waszmości gdzieindziej pociąga, niczem zwyciężyć się nie da. Niechże więc będzie, jako *monsieur* żądasz — ale *sub conditione*: że ja waszmości pana i dobrodzieja mego *personalliter* w powiat lidzki odwiozę.

Łaska to była ekstraordynaryjna — więc cześnik, do kolan książęcych pochylając się, eksplikować jął: jako nie czuje się godnym takowej ze strony Radziwiłła — aczkolwiek nie nieświzkiego — ofiary.

Ów przecie przy swoim trwał.

— No, no, już się waszmość o mnie nie

frasuj... Mitra mi z głowy nie spadnie... Bra-
ciaśmy wszyscy — służyć sobie wzajem po-
winniśmy... Przytem, dowiedz się *monsieur*,
że ja mam w tem i swój personalny interes...

— Możliweż to?... — zadziwi się cześnik. —
Uwierzyć mi trudno, żeby jaśnie oświecony
książę, którego imię Fama stugębna po całej
Litwie roznosi, mógł znajdować się w jako-
wymś akordzie z ledwie znanym przez po-
wiat swój szaraczkiem...

— Tak przecie jest *in effectu*. Ale o tem
na cztery oczy pomówimy...

Tu, *sub pretexto* przygotowań podróży, oddał księżę z »kabinetu« Mleczka i cześni-
kowicza; zaczem, obracając na gościa wiel-
kie, wypłowią, ale z osobliwą kordyalnością
patrzące oczy, *ex promptu* wyrzekł:

— *Poetis omnia licet*, niechże więc będzie
wolno staremu poetusowi otwarcie myśl swą
wyłożyć. Oto postanowiłem jechać z wasz-
mością z tej racyi, że chcę być jego — dzie-
wostwem.

Skoczy cześnik, jak oparzony i pokraśnieje,
niby żak, na gorącym uczynku złapany.

— Ależ, mości księżę... Cóż bo jaśnie
oświecony księżę jegomość sponuje... Ani
słówkiem jednym porozumienia nie dałem...

Na to księżę jeno się uśmiechnął i tabaki
zażył. Zaczem nie odpowiadając wprost, rzecze:

— Gust masz, *monsieur*, wyśmienity i zupełnie go z waszmością podzielam. Białogłowa jest grzeczna i stateczna; rozumku i urody Pan Bóg jej nie poskąpił. A i substancyi po nieboszczyku dość tam ostało. Już ja coś o onych afektach od pani obersztlejtnantowej Bitowttowej słyshałem — którą takż wielce adoruję, równie dla cnót jej, jak dla gładkości. Więc proszę być dobrej myśli i wesołej cery — wszystko się, *Deo svavente*, uładzi...

— Ależ, mości książę... — bąkał cześnik, czerwony wciąż, jak piwonia.

— No, no, *monsieur*, dość tych protestacyj.

Przysunął się z krzeselkiem do cześnika, za szyję objął go kordyalnie — do ucha szepnął:

— Obaj mamy białe włosy a serca gorejące. Więc *satis*. Rozumiem i ekskuzuję.

XX.

Był wieczór majowy — jasny, ciepły, pachnący, pełen owej błogości, która jest nieba przedsmakiem. Rechotały i kumkały [żaby litewskie, zawołane muzykantki;] w olszynie słowiczek śpiewał a śpiewał, zapominając o świecie i wszystkim jego mizeryi.

[W rakowickim ogrodzie rozkwitły bzy i róże; czeremcha okryła się także puchem drobnych, białusienkich kwiatów. Wschód naciągał już delię z granatowego aksamitu, gwiazdami wyszywaną, które połyskiwały, jak perły kałakuckie; na zachodzie było jeszcze kęs czerwono, a pod tę czerwoność leciały słonki, na które zdrajca myśliwiec z flintą się czaił.

Zmartwychwstawało ze śmierci zimowej całe przyrodzenie, wlewając w serca ludzkie otuchę; bowiem jeśli zima jest *imago mortis*, tedy wiosna wyrażać musi *imago resurrectionis*...]

W tej samej, co przed dwoma laty, izbie, przy tym samym stole — ba, przy tymże kałamarzu i nad tymże papierem — siedział pan Mokrzecki i dumał. Tak samo, jak wówczas, stał przed nim puhar, winem nalany, jeno, że wino miało teraz barwę nie purpury, lecz bursztynu. I gdy przeniknął je płomień świecy woskowej, co na stole płonęła, szczerem złotem się wydawało.

Pan Mokrzecki był odziany świątecznie i minę miał także świąteczną. Pod orlim, wydatnym nosem, siwe wąsy sterczały mu zawadyacko; policzki rumieniły się, jak najdozalsze jabłko; oczy pod gęstemi brwiami skrzyły się, jak karbunkuły.

Przez moment dumał, a potem wina rzetelnie pociągnąwszy i białego a obfitego czuba potarłszy, pióro w inkauscie umoczył, ręką zamachnął i pisał:

»Roku 1753, miesiąca maja, 15 dnia, w uroczystość Świętej Zofii, wdowy i męczenniczki, przy pogodzie na schwał cudnej, jakiej za mojej pamięci nigdy jeszcze na Litwie o tej porze nie bywało, pojąłem *in sociam vitae*, ślubami małżeńskimi, niewiastę - anioła, jejmość panią Maryę *de domo* Bobolównę, w pierwszym małżeństwie za imćpanem ś. p. Janem Towiańskim, sędzią granicznym powiatu wołkowyskiego będącą. Która ślubowała

mi wiarę, przyjaźń stateczną i opiekę nad czworgiem dzieciak moich, a ja onej nawzajem dozgonny afekt serdeczny i ojcowskie dla jej córki nieletniej, Zuzanny, przywiązanie.

Boże Przedwieczny! Ojcie Sprawiedliwy! pobłogosław nam wszystkim w tem życiu, a po skończonym dni naszych terminie, delicyi niebiańskich daj skosztować. Amen!

Dla pamięci, ręką moją własną, takową notacyę napisałem, i dla dalszego czasu a wiadomości dzieciom moim zostawuję. W Rakowiczach, roku 1753, miesiąca maja 25 dnia.

Antoni Kazimierz Mokrzecki,
cześnik powiatu lidzkiego, rotmistrz
Buławy Polnej W. X. Litewskiego«.

Skończywszy pisanie i piaskiem je zasy-pawszy, cześnik odwrócił papier i na drugiej stronie proporczykiem po kilkakroć postukawszy, z westchnieniem wyrzekł:

— Siódme... Siódme amen!

Osunął się na kolana, dłonie złożył i oczy ku ryngrafowi z Matką Bożą obróciwszy, długo się modlił — a łzy perliste po jagodach mu spływały...

KONIEC.

INSTYTUT
BADAŃ JĘZYKOWYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

01-800 Warszawa

Tel. 26-69-83, 26-62-31 w. 42



F
916